tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 1 (1292) ROK XXVI 1 STYCZNIA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

Tym, któr. będą nas czytać w roku 1983

Do siego Roku!

A salon mam w kapeluszu

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

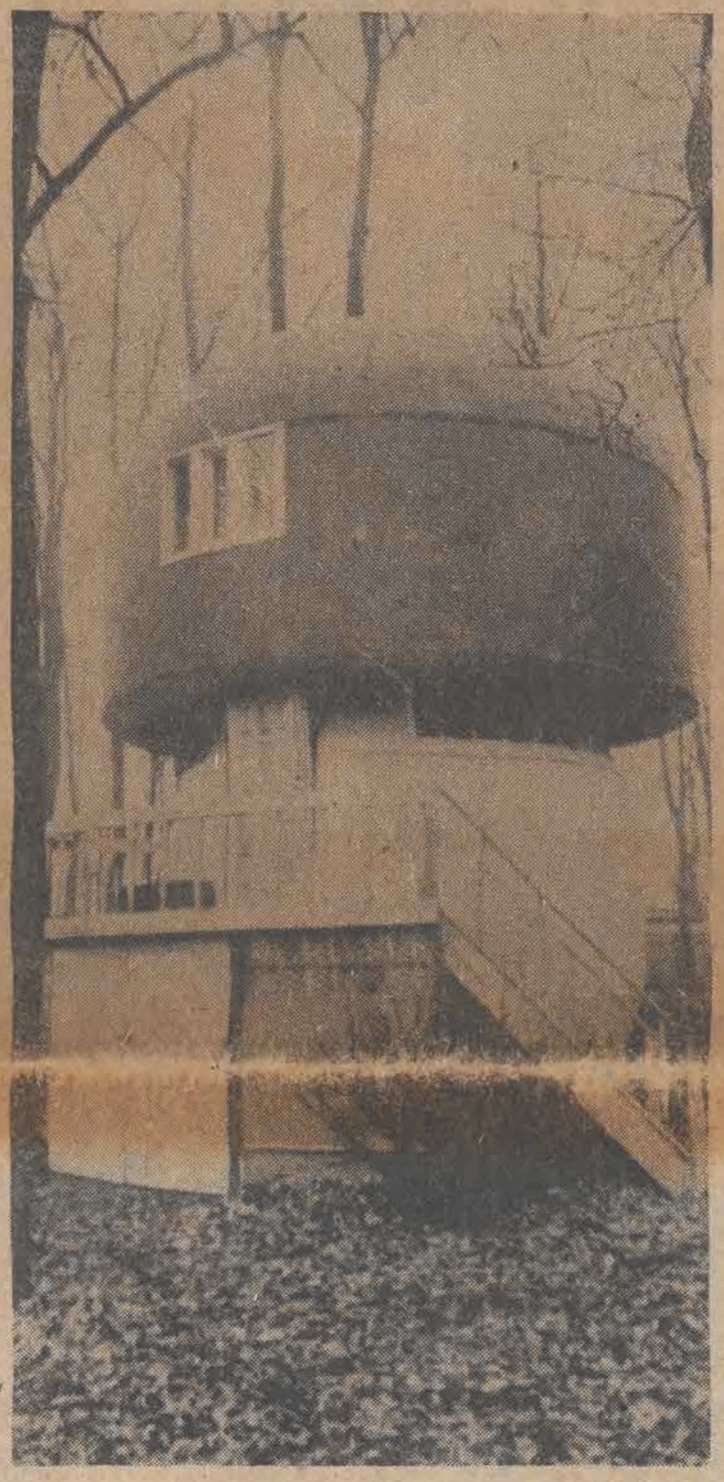

Foto: M. Zajdler

— Stary, daj spokój z tą szmirą — Mirek Zajdler, redakcyjny fotoreporter, jest wyraźnie zdegustowany. — I po to ciągnąłeś mnie przez pół Polski?! — Chcesz to cię „zdejmę" na tle tego wspaniałego okazu rodzimej flory i lecimy dalej...

[illegible] w mgle, równo deszczyku, wśród ogołoconych z liści drzew parku, we mgle, która nadciągała siwą płachtą znad oddalonego o paredziesiąt metrów jeziora — obiekt naszego zainteresowania wyglądał rzeczywiście nieciekawie. Koszmarnie wręcz. I groteskowo. Nawet stawiane pod Łodzią „góralskie" chałupki tak nie kłuły. Brakowało tylko jelenia, który by zaryczał z uciechy. — Żeby choć paru gipsowych krasnali posadzili wokół, albo dali stylową fontannę — rechotał radośnie Mirek. — Nie wypieszczony ten prawdziwek czegoś...

Bo rzeczywiście, za moimi plecami pysznił się potężny, betonowo-blaszany... grzyb. Normalny, tyle że wysoki na jakieś 6—7 metrów „borowik". Do tego przedstawiciela naszych lasów miał go przynajmniej upodobnić kolorek „kapelusza", no i kształt całości. Kilkanaście okienek w „korzeniu" i mały taras pozwalały jednak przypuszczać, że nie wyrósł on w czasie listopadowych opadów, tylko zadziałała tu ręka jakiegoś fachowca! Ale dlaczego grzyb, a nie na przykład poziomka albo laskowy orzech?

Z mieszanymi uczuciami wspiąłem się po drewnianych schodach oplatających „korzeń" na taras. Drzwi były zamknięte. Przez jedno z wąskich okienek zajrzałem do wnętrza. „Przytulnie to tu może i jest" — przemknęło mi przez głowę; jakaś kanapka, wykładziny, zapalona wewnątrz lampa, zagospodarowany fragment kuchni sprawiały przyjemne wrażenie. Właśnie ciepła, odizolowania, radości z posiadania własnego locum.

Zostawiwszy wiadomość za klamką ruszyliśmy na poszukiwanie właścicieli grzyba. Ale jak na złość, choć pilotowało nas wielu przygodnych znajomych, rozwiali się oni gdzieś wśród spokojnych uliczek Myśliborza. By czasu nie tracić — zajrzałem na parę minut do Urzędu Miasta i Gminy. — Murowane w sprawie grzyba Bronowickiego — usłyszałem zza drzwi wiodących do gabinetu naczelnika, gdy sekretarka anonsowała moją wizytę.

— *Domyślam się w jakiej sprawie* — rozpoczął rozmowę szef miasta Janusz Winiarczyk, którego wraz z zastępcą Ludwikiem Makowskim zastałem nad stertą służbowych papierów zalegających potężne biurko. — *Powiem krótko: długo zasta-*

7

Na jedną jedyną noc...

TERESA JERZYKOWSKA

Średnia statystyczna pensja z trudem starcza do końca miesiąca. Z zapałem narzekamy: co za to można kupić? Skoro więc nic kupić nie można, raz wydamy ją nierozsądnie, ale za to przyjemnie. Wbrew pozorom, wcale o to niełatwo. W większości kobiet siedzi bowiem taki „ktoś", kto głośno protestuje gdy zamiast dżemu albo jeszcze dziesięciu pomidorowych koncentratów chcemy kupić niepotrzebny kapelusz lub [illegible] w kształcie kolorowej [illegible] nie pozwala nam malować paznokci, bo i tak lakier zniszczy się przy zmywaniu, gdy mamy do wyboru mycie okien albo plotki z koleżanką, przemawia za tą pierwszą, ponurą czynnością. Na co dzień może to i dobrze, jednak od czasu do czasu warto zapomnieć, że jesteśmy rozsądne i zaradne, że świetne z nas gospodynie, u których podłoga lśni jak lustro (a po co, przecież i tak nikt się w niej nie będzie przeglądał), dobre żony, cenione pracownice i w ogóle ludzie godni szacunku, a przypomnieć sobie, że jednak jesteśmy kobietami.

Oczywiście, nie namawiam nikogo do porzucenia pracy, wydania na kiecki wielomiesięcznych oszczędności i strojenia min przed lustrem w nie posprzątanym mieszkaniu, ale ... trochę nieodpowiedzialności nie zaszkodzi, zwłaszcza w karnawale. Skoro więc podjęłyśmy decyzję, że pozwalamy sobie na szaleństwo, musimy się odpowiednio przygotować, aby ta jedna, jedyna noc była naprawdę udana.

W PRZYJEMNEJ KOLEJCE

Dla prawdziwej kobiety (a któraż z nas nie jest prawdziwa?) nie może być dobrej zabawy bez nowego stroju. Rozpoczynamy więc od wędrówki po sklepach. Aby od razu było wytwornie, mogą to być salony Mody Polskiej. Panuje opinia, że ceny są tu szczególnie wysokie, ale to niezupełnie prawda. Mimo generalnych podwyżek, jakie nastąpiły w lutym, średnia cena artykułów sprzedawanych przez Modę Polską była niższa, niż w 1981 roku. Obroty natomiast przekroczyły wszelkie oczekiwania. Roczny plan wykonany został w ciągu 9 miesięcy, przy czym sprzedano dwukrotnie więcej towarów, (liczonych w sztukach, nie zaś wartościowo) niż w porównywalnym okresie poprzedniego roku. Czego spodziewać się możemy w okresie karnawałowym — mówi Elżbieta Skulimowska, zastępca dyrektora d.s. handlowych łódzkiego oddziału Mody Polskiej.

W tym czasie do salonów trafi

6

To nie jest kolekcja „Mody Polskiej". Ta suknia ma już 80 lat.
Foto: CAF

Sektor przypadków szczególnych

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Siedem tysięcy osób przybyło na seans o godzinie trzynastej. Hala Sportowa wyglądała tak, jakby za chwilę miał się odbyć jakiś ważny mecz hokejowy. Przed halą stało dużo karetek pogotowia, samochodów milicyjnych i wozów strażackich, a w środku roiło się od pielęgniarek i lekarzy.

Znajomy neurolog był zdenerwowany. Palił papierosa; powiedział, że jeszcze nigdy nie brał udziału w podobnej imprezie.

— Podłącza się pan, panie Andrzeju? — zapytał.

— Ano — mówię — chyba się podłączę.

— To niech pan uważa. Z tego, co wiem, publiczność podzielona została na grupy chorobowe. — Zaczął wymieniać te straszliwe grupy: co do mnie, nie wymieniam ich, albowiem zdaniem redaktora mógłbym sprawić tym olbrzymią przykrość ludziom. Tak czy owak, dowiedziałem się od znajomego neurologa, że lepiej unikać pewnych miejsc w sektorze przypadków szczególnych, gdzie bioenergia pana Nardellego może mi nie tyle pomóc, co zaszkodzić.

— Jeszcze zarazi się pan!

Usiadłem pośrodku sali, na wprost linii, która dzieli lodowisko na pół. Wyjście mistrza Nardellego poprzedzały wystąpienia licznych osób towarzyszących, profesorów i docentów różnych specjalności, dziennikarzy i lekarzy. Odniosłem niemiłe wrażenie, iż większość z nich próbuje załapać się na cudzą sławę.

Nastrój nie był zbyt podniosły, bo to, wiecie, jupitery, mikrofony. Konferansjer (nie znajduję dla tego młodego człowieka innego określenia) apelował, aby skupić się i zrelaksować jednocześnie. Pani adiunkt zrobiła próbę spirali, tak, że wszyscy uczestnicy seansu schwycili się za ręce umożliwiając płynny przebieg impulsów. Pan profesor scharakteryzował drogę życiową mistrza, którego przodkowie wywodzą się z Italii; podczas wojny, jako młody chłopiec, walczył z Niemcami; żyjąc, figuruje na liście rozstrzelanych. Dziennikarz radiowy, autentycznie wzruszony, mówił o cudownych i niezrozumiałych wypadkach ozdrowień, których był świadkiem po seansach pana Nardellego. Sam pan Nardelli również nie ukrywał tych faktów. Raz po raz wybuchały gromkie brawa.

Kto wie? Może ten wstęp był konieczny? Wzbudzał wiarę, podsycał nadzieje. Chorzy, zdesperowani i cierpiący czekali w napięciu na wielki akt.

Po kilku bezskutecznych próbach wszystkie ogniwa spirali połączyły się wreszcie. Zapadła ogromna, przytłaczająca cisza. Potem odezwał się czyjś głos:

— Co czujecie?

Z różnych punktów hali padały odpowiedzi:

— Mrowienie w rękach!

— Mrowienie w nogach!

— Gwałtowne bicie serca!

Ostrzegano, że mogą być wypadki omdleń. Ściskając dłoń naszego redakcyjnego fotoreportera, rzeczywiście uległem wrażeniu, że mdleję.

— Słabo mi — powiedziałem.

5

10,-
J. P. W ŁODZI
ci 117266/2008

Inflacja — co z nią czynić?

Inflacja była przez cały prawie okres powojenny jakby nieobecna w naszej, bogatej przecież, publicystyce społecznej. Niewiele też można było przeczytać o niej w opracowaniach naukowych. Jedynie w latach 1956—57 spotkać można było kilka poważniejszych artykułów naukowych na ten temat. Inflacji, zgodnie z podstawowymi kanonami gospodarki socjalistycznej, miało w socjaliźmie nie być. Sądzono, że dzięki objęciu całej gospodarki planowaniem oraz bilansowaniem tzw. Centrum będzie mogło tak sterować strumieniami towarów i pieniędzy by pomiędzy nimi nie było dysproporcji. Ponadto długo dominował pogląd, eksponowany zresztą przez propagandę, że ceny w socjalizmie nie będą rosnąć, że wzrost cen, a więc jedno ze znamion inflacji jest jedynie upiorem kapitalizmu. W niektórych krajach socjalistycznych poglądy te są żywe do tej pory.

Pojęcie inflacji, istota procesów inflacyjnych, jej źródła i skutki nie są więc znane wyedukowanym po wojnie Polakom. Nawet w uczelniach ekonomicznych niewiele o tym mówiono, skąpe są również rozdziały o inflacji w podręcznikach akademickich, a w wielu z nich na ten temat wręcz nic nie ma. Nawet w najnowszej encyklopedii ekonomicznej, wydanej w 1974 r., o inflacji w socjalizmie nie można nic przeczytać.

Przyspieszona inflacja jest zjawiskiem groźnym, podstępnie niszczącym zarówno całą gospodarkę (w skali makro) jak i jej podstawowe elementy, to znaczy gospodarstwa domowe. Oczywiście, trzeba też o tym wiedzieć, że zawsze znajdzie się pewna grupa ludzi, która na tym będzie korzystać, ale zdecydowana większość obywateli ponosić będzie dotkliwe straty.

INFLACJA W POLSCE — NIECO RETROSPEKCJI

Z procesami inflacyjnymi i to narastającymi mieliśmy do czynienia w całym pierwszym powojennym 10-leciu, a więc w latach 1945-54. Dopiero wymiana pieniędzy w październiku 1950 roku, wysokie podwyżki cen i regulacje płac w styczniu 1953 roku, a także zahamowanie w latach 1954—55 wzrostu płac i zwiększenie produkcji dóbr konsumpcyjnych po pierwszym „manewrze gospodarczym" w 1954 r zahamowały procesy inflacyjne. Okres ten nie trwał jednak długo, bo już w 1957 r. ujawnia się pewna nadwyżka pieniędzy nad podażą artykułów konsumpcyjnych. Było to efektem znacznych podwyżek płac w latach 1956—57. W latach następnych podwyższono więc, w ramach kampanii antyinflacyjnej, ceny wielu artykułów spożywczych i zahamowano wzrost płac. Głównym jednak czynnikiem stopującym wówczas inflację był znaczny wzrost podaży artykułów gospodarstwa domowego. Rozpoczynano bowiem produkcję i upowszechnianie takich przedmiotów jak pralki, lodówki, telewizory, motocykle, skutery, zaczęto importować na dużą skalę zegarki itp.

W latach sześćdziesiątych nie było w zasadzie klasycznej inflacji. Można jedynie mówić o objawach tzw. inflacji utajonej, to znaczy brakach towarowych. Dominowała wtedy polityka deflacyjna, polegająca na hamowaniu wzrostu płac oraz stabilizacji cen. Wzrost poziomu życia, aczkolwiek niezbyt widoczny, odbywał się głównie poprzez dodatkowe zatrudnienie czyli wzrost aktywizacji zawodowej społeczeństwa, a nie drogą zwiększania płac realnych, które powiększały się wówczas w tempie ok. 2 proc rocznie (wg. oficjalnych danych).

Początek nowej dekady, a więc lata siedemdziesiąte, to równocześnie diametralna zmiana polityki ekonomicznej. W wyniku dużych i niemal powszechnych podwyżek płac, na rynku pojawiła się masa dodatkowego pieniądza, a więc znów zaczęły narastać zjawiska inflacyjne. Wyrazem tego była osławiona kampania wyprodukowania dodatkowej masy towarowej o wartości 20 miliardów zł (tzw. Bank 20 miliardów). Powiększający się — jakbyśmy to teraz nazwali — nawis inflacyjny starano się zredukować głównie przy pomocy zwiększonego importu artykułów konsumpcyjnych, z reguły zakupów na kredyt. Likwidację nawisu utrudniało zamrożenie w latach 1970—73 cen podstawowych artykułów konsumpcyjnych. Od 1975 roku wobec stałego napływu dodatkowego strumienia pieniądza, między innymi w wyniku rozszerzenia frontu inwestycyjnego i wzrostu świadczeń społecznych, procesy inflacyjne zaczynają się nasilać, czego dowodem są rosnące dość szybko ceny oraz niedobory coraz większej ilości towarów. Ogłoszony w 1976 roku „manewr gospodarczy", mający na celu zmniejszenie produkcji dóbr inwestycyjnych na rzecz konsumpcyjnych nie udał się. Drastycznie musiał się zmniejszyć import. Inflacja coraz bardziej więc narasta, a w latach 1980—82 możemy już mówić o wielkiej, niemal galopującej inflacji.

U ŹRÓDEŁ INFLACJI

Jakie są przyczyny inflacji? Jest ich oczywiście wiele. Za najważniejsze z nich uznaje się:

1. Tradycyjny system funkcjonowania gospodarki socjalistycznej, który, jak sądzi jeden z najwybitniejszych ekonomistów socjalistycznych, współtwórca reformy węgierskiej — Janos Kornai ma niemal naturalną skłonność do utrzymywania się niedoborów zarówno w sferze produkcji dóbr konsumpcyjnych, jak i inwestycyjnych. Praprzyczyną owych niedoborów jest hołdowanie zasadzie „miękkich" ograniczeń pieniężno-budżetowych, na której opiera się działalność socjalistycznych przedsiębiorstw w systemie centralistycznym. Idzie w praktyce o to, że przedsiębiorstwo może wydatkować więcej pieniędzy niż wynoszą jego wpływy. A dzieje się tak dlatego, że istnieje rozbudowany system subwencji, różnych dotacji podmiotowych, przedmiotowych, ulg podatkowych, umorzeń kredytów itp. Krótko mówiąc, socjalistyczne państwo otacza kuratelą kulejące i deficytowe przedsiębiorstwa, co oczywiście nie mobilizuje ich do podnoszenia efektywności gospodarki ani wdrażania innowacji, a w ostateczności do wzrostu produkcji. Stałe rozszerzanie tej „opieki i pomocy" powoduje w praktyce pogłębianie się niedoborów w gospodarce; zwiększa się bowiem liczba leniwych „biorców" a maleje liczba „dawców', czyli producentów dających gospodarce nadwyżkę ekonomiczną.

2. Poważne zakłócenia w strukturze produkcji przejawiające się w zbyt dużym udziale produkcji środków produkcji (dóbr inwestycyjnych) i stosunkowo niskiej produkcji dóbr konsumpcyjnych. Takie zaś proporcje są z reguły wynikiem realizacji zbyt dużego programu inwestycyjnego. Taka struktura inwestycji oddziałuje negatywnie na bieżącą sytuację rynkową z dwóch powodów: po pierwsze, powoduje jak wspomniano, ograniczanie produkcji, a więc podaży artykułów konsumpcyjnych, a po wtóre wpływa istotnie na wzrost ilości pieniądza na rynku. Dzieje się tak dlatego, że w sferze realizacji inwestycji wzrasta znacznie zatrudnienie, a równocześnie dochody tam pracujących są z reguły dość wysokie, znacznie wyższe niż w sferze działalności pozainwestycyjnej. W wyniku tych zjawisk zniekształcają się proporcje podziału dochodu narodowego na akumulację i spożycie. Przypomnijmy, że na początku lat pięćdziesiątych, a więc w okresie wielkiej industrializacji na akumulację przeznaczano niemal 30 proc dochodu narodowego, a w połowie lat siedemdziesiątych wskaźnik ten zbliżył się nawet do 40 proc.

3. Kolejna, ważna przyczyna to zbyt niski wzrost wydajności pracy w stosunku do istniejących możliwości techniczno-organizacyjnych naszej gospodarki i niepowiązanie wzrostu płac z wydajnością. Zjawiska te wystąpiły na dużą skalę właśnie w latach siedemdziesiątych. Dużym błędem jak już wspomniano, były znaczne podwyżki płac na początku ubiegłej dekady i równoczesne zamrożenie cen. Sądzono prawdopodobnie, że jak się ludziom podwyższy płace, to będą później chyba z wdzięczności lepiej pracować. Decyzje te były między innymi efektem długoletniego traktowania płacy jako kategorii społeczno-politycznej, a nie ekonomicznej. Druga seria podwyżek płac to lata 1979—82 i to również podwyżek „za darmo", bez ekwiwalentu w postaci wzrostu produkcji. Nie byłoby tak źle, gdyby tym podwyżkom towarzyszył proporcjonalny wzrost wydajności pracy, ale tak nie było. Szacuje się, że w latach siedemdziesiątych średnioroczny wzrost wydajności pracy w naszym przemyśle wahał się w granicach 6—7 proc., a przyrost płac nominalnych wynosił ok. 10 proc.

Ewenementem ekonomicznym jest kształtowanie się tych wskaźników w latach 1981—82. Od czerwca 1981 roku do czerwca 1982 płace nominalne wzrosły o ok. 60 proc., a wydajność obniżyła się o prawie 20 proc. Do tego dodać trzeba skrócenie czasu pracy i różne inne zakłócenia w produkcji.

4. Innym zespołem przyczyn inflacji jest rozwój sfery nieprodukcyjnej (oświata, kultura, lecznictwo, obrona, administracja itp.) Najbardziej dynamicznie sfera ta rozwijała się na początku lat pięćdziesiątych i w latach siedemdziesiątych. Wzrosło znacznie zatrudnienie w tych działach gospodarki i wyraźnie podwyższone zostały płace. Na rynek napływała więc nowa masa pieniądza. Oczywiście rozwój tej sfery jest ze względów społecznych bardzo potrzebny. Pracownicy tzw. działów nieprodukcyjnych oddziałują co prawda na przyrost dochodu narodowego, ale pośrednio i w długim okresie, natomiast na bieżąco są tylko konsumentami tego dochodu, nabywcami dóbr i usług.

5. Z powyższym wiąże się również rozwój świadczeń społecznych zarówno pieniężnych jak i w naturze, a więc emerytur, rent, stypendiów, zasiłków rodzinnych, usług w zakresie lecznictwa, dopłat do lekarstw, wczasów pracowniczych itp. I tu znów, podobnie jak i poprzednio mamy konflikt pomiędzy kryteriami i celami społecznymi oraz ekonomicznymi. Wzrost świadczeń społecznych w warunkach olbrzymiego nawisu inflacyjnego jest pożądany społecznie, ale ekonomicznie niemal szkodliwy. Jest to zresztą konflikt nie tylko nasz, ma znamiona konfliktu powszechnego, dotyczy bowiem również gospodarek wysoko rozwiniętych. Wzrost i upowszechnianie świadczeń społecznych powoduje napływ na rynek znacznych ilości pieniędzy nie mających dostatecznego nawet pokrycia w produkcji towarów.

6. Można by wymienić jeszcze kilka mniej istotnych czynników inflacjogennych, a to w szczególności:

a) niewłaściwą strukturę produkcji towarów konsumpcyjnych, a szczególnie różnego rodzaju usług materialnych — odpłatnych. Usługi mają bowiem charakter komplementarny do dóbr materialnych bądź też substytucyjny. Wraz z rozwojem konsumpcji dóbr materialnych winna rozwijać się również sfera usług. Usługi „ściągałyby" więc część pieniędzy z rynku.

b) zaniedbanie rolnictwa przejawiające się w anachronicznej strukturze agrarnej oraz niedoinwestowaniu. Tak na przykład już wzrost podaży maszyn rolniczych i innych środków do produkcji rolnej angażowałby znaczną część dochodów ludności wiejskiej, a równocześnie dzięki modernizacji wieś dostarczałaby więcej produktów żywnościowych.

c) uwzględnić trzeba również czynnik psychologiczny, który szczególnie w latach 1980—82 odgrywał istotną rolę. Idzie tu głównie o powstawanie swoistej paniki rynkowej, gorączki zakupów i to często nieracjonalnych. Powodowało to przyspieszone ogołacanie sklepowych półek, narastanie spekulacji itp.

CO ZATEM ROBIĆ!

Z niewielkich, acz chronicznych dolegliwości, inflacja stała się na progu lat osiemdziesiątych główną chorobą naszej gospodarki. Zjawisko to jest tym bardziej groźne, że odnosi się wrażenie jakoby tzw kompetentne czynniki nie zdawały sobie sprawy z tego stanu rzeczy i lekceważyły tę chorobę. Wiele, jeśli nie większość działań mających na celu wyprowadzenie kraju z kryzysu i uzdrowienie gospodarki w słabym stopniu uwzględnia istnienie nasilonej inflacji. Powoduje to i będzie powodować, że działania te będą mało bądź całkiem bezskuteczne. Przykładem mogą tu być proponowane zmiany w systemie płac wdrażane od stycznia 1983 r. Jeśli nawet nowy system materialnych motywacji jest poprawnie skonstruowany to jednak procesy inflacyjne mogą pośrednio sprawić, że system ten nie spełni zadań.

Zjawiskiem wysoce negatywnym, aczkolwiek z pewnych względów zrozumiałym jest uleganie przez władzę nieustającej presji rewindykacyjnej społeczeństwa i podnoszenie płac coraz to innym grupom społecznym. Powoduje to, że osławiony nawis inflacyjny nie tylko nie zmniejsza się, ale jak niektórzy szacują, nawet wzrasta. Problem nie tylko we wzroście globalnym nawisu, ale również w jego strukturze i rozkładzie społecznym, który zmienia się dość niekorzystnie, tzn. u większości ludzi zasoby gotówki obniżają się, a u znacznej mniejszości wyraźnie rosną. Niezmniejszenie nawisu oznaczałoby m. in. że wysokie podwyżki cen z lutego poszły na marne, że zostały skompensowane wzrostem dochodów i sytuacja jest taka jak w roku 1981, tylko na innym poziomie cen i płac. Wniosek z tego jest taki, że w ramach walki z inflacją i równoważenia rynku należałoby znów dokonać znacznych podwyżek cen. Czy to jest możliwe, czy struna społecznej wytrzymałości nie pęknie?

Jak zatem z inflacją walczyć i ograniczać jej zgubne skutki? Otóż potrzebna jest, musimy to otwarcie powiedzieć, tzw. końska kuracja, bardzo bolesna, ale skuteczna. Odłączyć trzeba na pewien czas sprawy społeczne od ekonomicznych. Idzie o to, że nie można już dalej ulegać presjom rewindykacyjnym społeczeństwa, to znaczy dalej podwyższać płac, rent, emerytur, zasiłków rodzinnych itp. Płace mogą wzrastać tylko o tyle, o ile wynika to ze zwiększenia wydajności pracy. Jeśli w najbliższym czasie nie zahamuje się napływu na rynek dodatkowego, nie mającego pokrycia w towarach pieniądza, to lada miesiąc będziemy mieć po prostu hiperinflację taką, jak w latach 1923—24. Trzeba to otwarcie, szczerze społeczeństwu powiedzieć.

Oczywiście ograniczenie napływu pieniądza i zmniejszenie popytu sprawy nie załatwi. Z odsieczą musi przyjść druga strona tzn. podaż towarów i usług. I tu należy zastosować także wszystkie możliwe sposoby nie wyłączając nawet drastycznych, jak przywrócenie na pewien okres starych norm czasu pracy czy znaczny wzrost dyscypliny pracy. Jest to może niepopularne i budzi odruch sprzeciwu, ale każdy rozsądny człowiek przyzna, że jest to jedyna realna i uczciwa droga do poprawy bytu i możliwie rychłego wyjścia z kryzysu. Tak działo się przecież prawie we wszystkich krajach, których dobrobytem dziś zachwycamy się. Przykładem niech będą tu Niemcy, o których wytężonej pracy po wojnie pisał w „Sprawach Polaków" Edmund Osmańczyk, czy Japończycy, którzy z niewielkiego i zniszczonego kraju stali się w krótkim czasie trzecią potęgą gospodarczą świata.

Nie ma się więc co łudzić, że znajdziemy jakieś inne polskie wyjście z kryzysu, a tym samym skuteczny sposób walki z inflacją. Proponowane przez niektórych ekonomistów różne terapie i medykamenty, jak np. manipulowanie stopami procentowymi, przedpłaty na przyszłe towary, czy wymiana pieniędzy nic nie dadzą, mogą tylko psuć krew a efektów i tak nie będzie. A propos przedpłat. Niemal dwa lata temu wprowadzono przedpłaty na samochody, które miały być rozlosowywane. Była to dość udana próba zamrożenia znacznych kwot „gorącego" pieniądza. Niestety, nie wie lewica co czyni prawica. Z wylosowanych książeczek realną szansę zakupu czterech kółek ma co drugi posiadacz szczęśliwego losu, a w przyszłości podobno co czwarty. Wróciły natomiast osławione talony i egzystują pod pseudonimem asygnaty, oczywiście dla wybranych. Czy sprawą tą nie powinien się zająć wymiar sprawiedliwości?

CZESŁAW BYWALEC
WITOLD KASPERKIEWICZ

W następnym numerze „Odgłosów"

- WYWIAD Z WICEPREZYDENTEM LECHEM KROWIRANDĄ
- ŻEGNAJ, MONSIEUR HULOT!
- WYWIAD Z KORĄ!
- DWIE KOLUMNY SCIENCE FICTION
- WIERSZE DOROTY CHRÓŚCIELEWSKIEJ

SYSTEM MX W KONGRESIE USA

Realizacja programu MX — rakiet nazwanych przez waszyngtońską administrację „strażnikami pokoju" napotkała w ubiegłym tygodniu na zdecydowany opór — w poniedziałek 20 grudnia obie izby Kongresu — Senat i Izba Reprezentantów uchwaliły kompromisowy projekt ustawy o wydatkach rządowych uzgodniony wcześniej przez tzw. komisję konferencyjną. Ustawa nie zawiera funduszy w wysokości 988 mln. dolarów na produkcję pierwszych pięciu pocisków MX. O nastrojach kongresmenów świadczą wyniki głosowania: Izba Reprezentantów przyjęła ustawę stosunkiem głosów 232:54, a Senat zaaprobował ją stosunkiem głosów 55:41.

Z tekstu ustawy nie skreślono wydatków na prace badawcze i rozwojowe nad systemem MX, co stanowi niebagatelną sumę 2,5 mld. dolarów, jednak większość tych pieniędzy nie będzie mogła być wydatkowana, dopóki Kongres nie wyrazi zgody na sposób rozmieszczenia nowych pocisków.

Ogółem ustawa obejmuje wydatki w wysokości 414 mld. dolarów, z czego na potrzeby Pentagonu aż 231 miliardów. Pomoc dla zagranicy określa suma 11 miliardów dol. z czego 2,185 miliarda dla Izraela (pomoc wojskowa i gospodarcza). Ta ostatnia liczba jest mniejsza niż poprzednio uchwalił Senat i mniejsza od propozycji administracji.

Prezydent Reagan zapowiedział poprzednio, że zastosuje wobec ustawy veto, jeśli zawierać ona będzie wydatki na program robót publicznych. Program ten został skreślony i dnia 21 grudnia Reagan podpisał ustawę o wydatkach rządowych.

Prezydent wyraził rozczarowanie wyeliminowaniem przez Kongres sumy przewidzianej na produkcję pierwszych rakiet MX. Jednocześnie wyraził nadzieję, że sformułowania komisji pozwolą na dotrzymanie przewidywanego terminu rozmieszczenia tych pocisków w roku 1986, po podjęciu — zaaprobowanej przez Kongres — decyzji o systemie ich rozmieszczania. Prezydent — zgodnie z ustaleniami — ma po pierwszym marca przedłożyć Kongresowi swoje plany dotyczące rozmieszczenia rakiet MX. System rozmieszczenia ma być następnie zatwierdzony przez obie izby w ciągu 45 dni. Dopiero wówczas możliwe będzie rozpoczęcie realizacji programu.

Agencje przypominają, że zaproponowany przez administrację Reagana system romieszczenia 100 pocisków MX w tzw. gęstym skupisku w stanie Wyoming budzi wiele zastrzeżeń i był jednym z głównych powodów wstrzymania funduszy przez Kongres. Prezydent i jego doradcy nadal twierdzą, że jest to najlepszy z wielu rozpatrywanych projektów, jednakże wyraża zasadność wyrażanych pr[illegible] wiedział powołanie specja[illegible] funkcjonariuszy poprzedn[illegible] nicznych, których zadani[illegible] planu gęstych skupisk o[illegible] rozwiązań.

Bliżej o rakietach „MX na str. 4, w artykule Henryka Sto- **czyńskiego.**

MADRYT — KBWE KONSBUZABEIRO

Dla każdego obserwatora sesji madryckiego spotkania sygnatariuszy Aktu Końcowego KBWE jest aż nadto oczywiste, że najważniejszym jest ten fragment przygotowywanego dokumentu końcowego, który zawierać będzie mandat na zwołanie konferencji w sprawie środków budowy zaufania, bezpieczeństwa i rozbrojenia w Europie. (W Madrycie przydługi termin: „Konferencja w sprawie środków budowy zaufania, bezpieczeństwa i rozbrojenia w Europie" skrócono, używając akronimu „KONSBUZABEIRO").

Podczas zakończonej 17 grudnia VI rundy madryckich rozmów nie toczyły się żadne oficjalne negocjacje w sprawie Konsbuzabeiro, tym niemniej zajmowały one wiele miejsca w spotkaniach nieformalnych — początkowo bilateralnych, następnie w wąskim gronie ekspertów z udziałem kilku tylko delegacji Wschodu i Zachodu.

Jak podają niektóre źródła zachodnie, zastrzegające sobie anonimowość, inicjatywa tych rozmów zrodziła się wśród zachodnioeuropejskich krajów NATO, została bez entuzjazmu zaaprobowana przez USA i bardzo przychylnie przyjęta prze delegacje radziecką.

Pewien pośpiech strony zachodniej w podjęciu tematyki Konsbuzabeiro wynika — jak się ocenia — z faktu, że zainteresowanie ZSRR zwołaniem konferencji może zaniknąć po terminie rozmieszczenia nowych amerykańskich eurorakiet, tj. za około 6 miesięcy.

Ocenia się, że kompromis może być osiągnięty teraz, tj. w toku rozpoczynającej się 8 lutego 1983 r. VII rundy spotkania, albo nigdy. Prawdopodobnie z tego powodu Waszyngton ugiął się pod naleganiami zachodnioeuropejskich sojuszników i w imie jedności NATO wyraził zgodę na aktywizację negocjacji.

Wartość VI rundy madryckiego spotkania KBWE polega na tym — jak twierdzą komentatorzy — iż bardzo dokładnie rozeznano stanowiska wszystkich państw uczestniczących i grup państw. Wszyscy stwierdzili, że gotowi są dyskutować mandat na zwołanie Konsbuzabeiro na podstawie dokumentu końcowego grupy państw niezaangażowanych i neutralnych. Stwierdzono równocześnie co w tym dokumencie jest sporne, a co nie wywołuje zastrzeżeń. Pozwala to patrzeć z optymizmem na dalszy przebieg dyskusji wokół tej sprawy.

Oceny perspektyw VII rundy są jednak zróżnicowane. Rozmowy z politykami — delegatami zachodnimi pozwalają się zorientować, że liczą oni na postęp, ale oczekują, że stanie się on wynikiem ustępstw Wschodu. Widzą zresztą te problemy nader jednostronnie, o czym świadczy np. fakt, że jeden z delegatów wyraził powątpiewanie, czy ZSRR gotów będzie dyskutować temat związków zawodowych, mimo iż delegat radziecki złożył w tej sprawie jednoznacznie pozytywne oświadczenie.

iw/zm/395/2008

Klient na klęczkach

Nie ujawniam imion i nazwisk moich rozmówczyń, uczennic, które odbywały i odbywają praktyki w sklepach. Nie wymieniam nazwy szkoły, ani sklepów. Uczennice mówią bowiem krytycznie o pracy handlu i postawach ludzi, z którymi się zetknęły. Samodzielną pracę podejmą już w lutym 1983 roku. Nie warto im szkodzić już na starcie. Pierwsze pytanie, które im zadałam było proste:

— Dlaczego wybrały ten zawód?

UCZENNICA II: — Sądziłam, że będzie to zawód najlepszy z najgorszych. Nie dostałam się do liceum, postanowiłam więc zostać ekspedientką. Wydawało mi się, że praca w sklepie pozwala na kontakt z wieloma ludźmi. Przez duże okna w sklepie widać świat, ludzi, życie. I wcale mnie nie rozczarowało to, że w pierwszej klasie musiałam myć podłogi w sklepie. Rozumiałam, że muszę przez to przejść. Rozczarował mnie stosunek sprzedawców do klienta. Traktowanie go z góry, jako coś gorszego.

— A czy nie kierowałyście się tym, że sprzedawca ma łatwiejszy dostęp do towarów, że kto ma handlowca w rodzinie, ten nie musi się o nic martwić?

UCZENNICA IV: — Ja nie. Kiedy myśmy zaczynały naukę jeszcze tak pusto w sklepach nie było.

UCZENNICA III: — Może teraz młodsze koleżanki tym się kierują. My nie.

UCZENNICA V: — Starałam się dostać do innej szkoły, ale nie wyszło. Wybrałam zawód ekspedientki, bo lubię kontakt z ludźmi. Każdy klient jest inny, do każdego trzeba inaczej podejść. Kiedy wyjdziemy z kryzysu taki kontakt znów będzie możliwy.

UCZENNICA III: — Nie lubię monotonnej pracy. W sklepie można z klientem porozmawiać, pomóc mu. Na przykład matka mówi, że ma chore dziecko i bardzo czegoś potrzebuje. Ja jej nie mogę tego sprzedać, bo nie ma. Ale mogę jej powiedzieć, kiedy będzie dostawa i choćby w ten sposób pomóc.

UCZENNICA IV: — Od małego dziecka bawiłam się w sklep. I tak już zostało. Ten zawód mi się podoba. Szkoda, że w kryzysie ma on inny charakter.

NIKT NAS NIE PYTA O POMYSŁY

— Co robicie na praktykach?

UCZENNICA III: — Wiedziałam, że na początku trzeba będzie sprzątać w sklepie. Dostałam praktykę w dużym domu towarowym. Jej przebieg zależał od obsady stoiska. Na jednym mogłam sprzedawać razem ze sprzedawczynią lub kierowniczką i wtedy wiele się nauczyłam. Na innym stemplowałam paragony. Czasem przez całe 8 godzin. A jeszcze na innym rozpakowywałyśmy towar i rozbijałyśmy kartony. Niektóre dziewczyny wykazywały inicjatywę i interesowały się tym, jak np. ten towar ustawić na półce. Inne — nie. I też było dobrze. Nikt nas nie pytał, czy mamy jakieś pomysły.

UCZENNICA IV: — W pierwszej i drugiej klasie głównie sprzątałam i biegałam po sprawunki dla pani kierowniczki. Dopiero teraz mogłabym się czegoś nauczyć, ale czasu zostało bardzo mało.

UCZENNICA V: — Byłam w niewielkim domu towarowym i miałam dobrą kierowniczkę, która mnie sporo nauczyła. Ale uczennicom często się nie wierzy, że coś chcą, że potrafią. Klienci patrzą na nas z ukosa, bo myślą, że my mamy wszystkiego w bród. A to nie jest prawda.

UCZENNICA I: Mam praktykę w sklepie spożywczym. Przez cały czas mam mało kontaktu z klientem. Jeśli któraś z nas ma smykałkę do liczenia, to czasem instruktorka pozwoli jej coś policzyć. A innym mówi, żeby się nie pchały, bo nie mają po co! Jak te dziewczyny będą przygotowane do pracy?

— Już niedługo będziecie pracować samodzielnie. I co wtedy?

UCZENNICA I: — Do pracy idziemy już w lutym. I dopiero wtedy, tak naprawdę, zaczną się uczyć swojej pracy. A ja do tej pory nie umiem ukroić np. tyle sera, ile sobie życzy klient.

UCZENNICA II: — Sądziłam, że w sklepie nauczę się sprzedawać, szybko liczyć. A mnie uczono sprzątania. Tak, jakbym tego nie umiała robić!

UCZENNICA III: — Klienci będą się na nas denerwować, bo co uchodzi uczennicy, nie uchodzi samodzielnemu sprzedawcy. A my będziemy powolne, będziemy robić błędy, bo nie jesteśmy do pracy należycie przygotowane.

— Dlaczego wasze praktyki źle przebiegają? Czy w sklepie nie ma kto się wami zainteresować, czy nie ma na to czasu?

UCZENNICA I: — Mamy przecież instruktorki, które powinny się nami interesować, ale się nie interesują. Są w sklepie, ale najczęściej siedzą u kierowniczki i piją herbatę. A kiedy się dowiadują, że ma przyjść kontrola, to każą nam na gwałt wszystko uzupełniać. I kontrola wypada dobrze. Ale codzienna praktyka jest taka, jaka opisałyśmy.

UCZENNICA V: — Kiedy już pójdziemy do pracy i będziemy popełniać błędy, to powiedzą, że to szkoła nas źle przygotowała. W szkole uczymy się przecież teorii, a praktyki w sklepie. I tej praktyki nam brakuje.

JESTEM Z INNEJ BRANŻY

— Przyczyn złej praktyki trzeba więc szukać w sklepie. A w sklepie jest tak: na sali kilka uczennic pilnuje towaru, żeby go ktoś nie ukradł. Kasa natomiast czynna jest tylko jedna. Kolejki stoją też przed stoiskami. Czy wam się to podoba? Jak się czujecie w takiej roli?

UCZENNICA IV: — To jest okropne. Ta podejrzliwość. Jest przecież tylu uczciwych ludzi, a ja stoję i mam każdego traktować, jak potencjalnego złodzieja.

UCZENNICA I: — Byłoby lepiej, gdybym mogła pomóc ekspedientce sprzedawać.

UCZENNICA III: — Powinnyśmy się uczyć handlować, a nie pilnować klientów. Sytuacja jest niemiła i dla nich, i dla nas.

UCZENNICA I: — Sprzedawczynie czasem nie chcą, aby im pomagać. Jest tłok przed stoiskiem cukierniczym, więc pytam ekspedientkę, w czym mogę pomóc. Powiedziała: — wynieś te kartony. Tylko do tego byłam jej potrzebna.

UCZENNICA IV: — Przy stoisku obok jest ogromna kolejka, a ja sobie sprzątam. I nie mogę podejść i pomóc koleżankom, bo jestem z innej branży.

UCZENNICA V: — U mnie uprawnienie do pracy w kasie mają, oprócz kasjerki, kierowniczka i jej dwie zastępczynie. Przy stoiskach sprzedaje się szybko, ale jeśli czynna jest tylko jedna kasa, to musi być do niej długa kolejka. I bardzo rzadko któraś z pań kierowniczek pofatyguje się do drugiej kasy.

UCZENNICA IV: — Ale nie możemy wszystkiego uogólniać. Ludzie są różni. W moim stoisku jest na przykład dobra organizacja pracy. Klientów obsługuje się szybko i sprawnie. To jest zasługa kierowniczki.

— Co zmieniłybyście w pracy w sklepach?

UCZENNICA III: — Usprawniłabym przede wszystkim wzajemną pomoc ekspedientek. Tam, gdzie jest towar i tłok, posyłałabym te, które mają puste półki i nic nie robią.

UCZENNICA II: — Ja nie wierzę w to, że cokolwiek w handlu można zmienić. Na pewno ta i owa by chciała coś zrobić, ale same nie zrobią nic, bo reszcie nie jest to potrzebne. Dziewczyny, które przychodzą do pracy, jeszcze chcą coś zmieniać. Ale jak popracują trzy lata, to już wszystko uważają za normalne. Jak się rozbije butelka z mlekiem to resztki mleka, czasem i ze szkłem, przelewają do innej butelki, dolewają mleka z kilku pełnych, a ubytki uzupełniają wodą.

UCZENNICA IV: — Jak się rozsypie mąka, to zamiata się ją i wsypuje do torebek.

UCZENNICA V: — Zupełnie nie liczą się z ludźmi. W sklepie tłok, a jedna idzie po zakupy dla siebie. Wraca i wychodzi inna. W szkole nas uczą, że nie powinno się w czasie pracy załatwiać swoich spraw.

UCZENNICA II: — A czy to jest w porządku, że uczennica biega po mieście, żeby wpłacić kupony Totolotka dla kierownika?

UCZENNICA IV: — W ubiegłym roku, przed świętami, wysłano mnie na pomoc do sklepu mięsnego. A tam kazano moczyć w wodzie śmierdzące kurczaki. Pytam — po co? Odpowiadają mi, że jak trochę popracuję, to sama będę wiedziała po co. Poszły oczywiście do sprzedaży i ludzie je kupili. Później kazano mi myć w gorącej wodzie i smarować oliwą podśmierdłą kiełbasę. Znów poszła do sprzedaży i ludzie kupili. Powiedziałam o tym instruktorce, chciałam, żeby mnie zabrała z tego sklepu. Powiedziała, że nic na to nie poradzi i że tydzień jeszcze wytrzymam. Wytrzymałam.

NIECH SOBIE POSTOJĄ

— Handlowcy narzekają na klientów, że są nerwowi, hałaśliwi, ordynarni. Co wy sądzicie o klientach?

UCZENNICA V: — Po prawdzie, to więcej miałyśmy styczności z handlowcami niż z klientami. Handlowcy nie traktują nas poważnie. Koleżanki już mówiły, że wyręczają się nami dla załatwiania swoich spraw. Ja na przykład musiałam pół dnia stać po szynkę dla mojej pani kierowniczki.

UCZENNICA III: — Posyła się nas chętnie do biura, aby załatwiać różne papierki i mówi, że tego też trzeba się nauczyć.

Albo inny przykład. Przed stoiskiem tłok. Przywieziono towar. Wzięłam się do rozpakowywania. Robię to szybko. Naraz sprzedawczyni mówi do mnie: — nie śpiesz się tak, niech sobie postoją! No i musiałam zwolnić rozpakowywanie towaru.

UCZENNICA I: — Klienci są nerwowi, bo muszą dobrze się nachodzić i nastać, aby coś kupić. Ja ich rozumiem.

UCZENNICA II: W podręczniku pisze, że kierownik powinien spotykać się z klientami, aby wyjaśnić różne nieporozumienia. Ale to teoria. Praktyka jest taka, że jak przyjdzie towar, to jego część pozostaje na zapleczu.

UCZENNICA I: — I ludzie pewnie myślą, że część z tego my kupujemy. Otóż, to nieprawda. Najpierw kupuje personel, część się odkłada niby dla nas, ale przychodzą różni znajomi oraz krewni kierownika i kupują towar od tyłu.

WYCHOWUJĄ NAS SUROWO

UCZENNICA III: — Najwięcej może sprzedawać „od tyłu" kierownik. Ekspedientki mają już mniejsze możliwości. My — żadnych. Nawet dla siebie czasem ciężko jest coś kupić. Nas wychowują surowo.

UCZENNICA I: — Do kierowników przychodzą też ludzie z biura i kupują sobie, co chcą. A oni powinni przecież pilnować, aby tak się nie działo. To jest zwykła nieuczciwość.

Foto: M. Zajdler

UCZENNICA III: — Konwojent przywozi towar i pieniądze w kopercie, bo część towaru sprzedał już nim dowiózł do sklepu.

UCZENNICA V: — Albo przychodzi materiał i lista nazwisk pań z hurtowni, które sobie życzą tego materiału tyle i tyle. Wszystko wypisane. Przychodzą, płacą i biorą bez kolejki, bez kłopotów.

UCZENNICA III: — Jeśli będą w sklepach pełne półki, to nie będzie takich sytuacji.

— Czy to jest tylko wina kryzysu?

UCZENNICA II: — Według mnie nie. Starsi pracownicy handlu mają już taki lekceważący stosunek do klienta we krwi. Już to im weszło w nawyk. Oni czują się wyżsi od klienta. Za ich plecami leży towar. A co ma klient? Co on może? On ma tylko pieniądze i chce kupić. To dla handlowca się nie liczy. I tego, takiego stosunku młodsi uczą się od starszych.

UCZENNICA IV: — Klienci też potrafią dopiec człowiekowi. Po jednej i drugiej stronie lady są ludzie dobrzy i źli.

CZUJĄ SIĘ JAK WŁADCY SWEGO SKLEPU

— Co można teraz zmienić? Jeszcze w kryzysie.

UCZENNICA III: — Jak będzie towar, to zmieni się i atmosfera w sklepie. Ludzie nie będą lady przewracali, będzie spokojnie, ekspedientki też nie będą takie nerwowe. Można będzie klienta grzecznie obsłużyć.

UCZENNICA IV: — Będzie czas też na rozmowę z klientem.

— To piękna idylla. Ale konkretnie?

UCZENNICA V: — Już się trochę zmieniło na lepsze. Choćby to, że część towaru sprzedaje się rano, a część po południu.

UCZENNICA II: A ja chyba w ogóle zrezygnuję z pracy w sklepie. Chciałabym sprzedawać w kiosku Ruchu.

— Dlaczego?

UCZENNICA II: — Bo nikomu bym nie podlegała na co dzień. Z tego, co widziałam i co opowiadały mi koleżanki wiem, że wielu kierowników traktuje młodych pracowników jak ludzi gorszych. Oni czują się władcami swoich sklepów. Mnie to nie odpowiada. Nie lubię być tak traktowana. Nie wyobrażam sobie pracy w takiej atmosferze. Wiem, że nie wszędzie tak jest, ale ja mam akurat same przykre doświadczenia. I dlatego podjęłam taką decyzję.

UCZENNICA III: — Oczywiście, że nie wszędzie tak jest. Ja trafiłam na bardzo dobrą kierowniczkę. Jest bardzo wymagająca, ale też dba o swój personel. Chciałabym pracować z nią dłużej.

— Mówiłyście, że nikt was nie pyta o pomysły. Teraz was pytam i jakoś tych pomysłów za wiele nie macie. Powtórzę więc pytanie: jak można już dziś, mimo kryzysu, usprawnić pracę w sklepie? Tak, żeby klient to zauważył.

UCZENNICA IV: — Koniecznie trzeba szybciej obsługiwać klientów. Sprzedawca musi pamiętać, że ludzie są teraz szczególnie zmęczeni, że mają mało czasu.

UCZENNICA V: — Dlatego trzeba włączyć do bezpośredniej sprzedaży uczennice.

UCZENNICA I: — Trzeba w pracy myśleć. Jeśli jest długa kolejka, to nie powinno się posyłać uczennic do sprzątania stoiska. Ludzi to denerwuje, bo sądzą, że my się celowo obijamy.

UCZENNICA V: — Większą uwagę trzeba zwrócić na wyczerpującą informację. Pojawia się teraz więcej towarów zastępczych. Klient ma prawo o nich nie wiedzieć ale sprzedawca musi dokładnie wiedzieć co mu proponuje.

— Czego nauczyła was szkoła?

UCZENNICA V: — Towaroznawstwa i matematyki.

UCZENNICA II: — Organizacji i techniki handlu. Ale część z tej wiedzy brzmi jak piękna bajka. Na przykład coś takiego jak regularne spotkania z klientami, plansze, estetyczne wywieszki, zapisywanie życzeń klienta. Przecież to czysta utopia.

UCZENNICA I: — Dowiedziałam się, że w każdym stoisku powinien być zeszyt, w którym klient może zapisywać swoje życzenia. Wiem, że teraz taki zeszyt nie ma sensu. Ale czy kiedykolwiek takie zeszyty były?

— No, a książki życzeń i zażaleń?

UCZENNICA I: — W sklepie bardzo się ich boją i robią wszystko, żeby klient nie mógł się wpisać do książki. Byłam świadkiem, kiedy klienta proszącego o książkę życzeń i zażaleń niekulturalnie zwymyślano. I klient książki nie dostał.

UCZENNICA II: — A ja się zastanawiam, gdzie podziało się hasło: klient nasz pan. I czy jeszcze kiedyś wróci.

UCZENNICA III: — Uświadom sobie, że kiedyś ekspedientka klękała przed klientem i mierzyła mu buty. Dziś klient klęka przed ekspedientką, żeby tylko mógł te buty kupić.

Tyle zapis na taśmie magnetofonowej. Sądzę, że rozmowa z uczennicami szkoły handlowej zmusza do zastanowienia, się nad pracą handlowców, nad sposobem przygotowywania młodej kadry w handlu, nad stosunkiem do klienta. Ale również i nad naszymi potocznymi poglądami na temat młodzieży. Ta młodzież wcale nie jest taka zła. To raczej my, dorośli, niewiele jej mamy ciekawego do zaproponowania.

Rozmawiała i opracowała:
BOGDA MADEJ

KTÓRĘDY DO PRZODU?

Pochwała sceptycyzmu

„Głupszy jestem niż za młodu — nie wiem którędy do przodu?" Ten refren współczesnej ballady stanowi lapidarne a trafne odzwierciedlenie stanu umysłów Polaków, charakteryzującego się przewagą pytań i wątpliwości nad odpowiedziami. Jakże to odmienne od właściwego czasom minionym i neominionym powszechnego zadufania, że oto wiemy z absolutną pewnością co i jak, wystarczy jedynie wcielić to w życie, a zapanuje pomyślność powszechna i ogólne zadowolenie.

Takie właśnie zadufanie dominowało wśród rzeczników i zwolenników przeobrażeń socjalistycznych w naszym kraju od ich początków do lat siedemdziesiątych włącznie. To właśnie przewaga takiego podejścia sprawiła, że nie udało nam się przeprowadzić do końca ani jednej dyskusji uściślającej specyfikę polskiej drogi do socjalizmu. Wszystkie, nawet najciekawiej zaczęte, były przerywane szybko jednoznacznymi orzeczeniami, że wszystko jest jasne i oczywiste, wystarczy tylko robić. Weszło to w nawyk na tyle silnie, że nawet kryzysy z lat 1956 i 1970 nie spowodowały zastąpienia przez obyczaje sprzyjające publicznemu myśleniu. Zapoczątkowywane wtedy dyskusje były wkrótce zagłuszane burzliwym aplauzem dla kolejnego przywódcy i dziarskim okrzykiem „pomożemy!"

Stało się to na tyle właściwością narodową, że nawet w ruchu organizującym się między sierpniem '80 i grudniem '81 poza partią, a wkrótce i przeciwko partii, nie było również miejsca na myślenie. Dość szybko bowiem wzięła górę wiara, że wszystko jest proste i jasne, wystarczy zburzyć to co stare, a każde „inaczej" niż uprzednio będzie równoznaczne z „lepiej". Naturalną konsekwencją tego była coraz większa skuteczność działań destrukcyjnych, rozkładających do reszty funkcjonalność naszego organizmu narodowego i zagrażających totalną katastrofą państwu.

Było, minęło — tak jedno, jak i drugie. Pozostało zwątpienie w pomysły nazbyt proste i łatwe, sceptycyzm, niechęć do zawierzenia na kredyt komukolwiek i w cokolwiek. Taki stan ducha w narodzie traktowany jest potocznie jako zjawisko negatywne, niekorzystne, stanowiące dyskomfort dla ogółu i istotną niedogodność dla rządzących.

Twierdzę, iż jest to dużym uproszczeniem. Dialektyczne podejście każe dostrzec w tym sceptycyzmie także, a nawet głównie dobre strony. Szanse na przezwyciężenie niedobrej tradycji akceptowania „w ciemno" pozornie ponętnych wizji rozwoju, zaniedbywania dokładniejszego ich sprawdzenia najpierw „na rozum" — w procesie publicznego myślenia, zanim zostaną poddane praktycznej próbie „na ludziach". A jest to jednym z głównych warunków skuteczności socjalistycznego doskonalenia formacji społeczeństwa.

Wszystkie uprzednie formacje powstawały i usprawniały się przednaukową metodą prób i błędów — żywiołowego sprawdzania różnych sposobów organizowania życia społecznego, odrzucania niefunkcjonalnych innowacji, zaś utrwalania i upowszechniania trafnych. Postęp społeczny dokonywał się więc metodą zbliżoną do zdefiniowanego przez Karola Darwina doboru naturalnego organizmów żywych, zapewniającego przetrwanie mutantów lepiej dostosowanych do zmiennych warunków otoczenia, zaś zagładę nie dostosowanych. Z tą różnicą, że tu organizmy współzawodniczące o przetrwanie miały kształt całych społeczeństw.

Kapitalizm, który wyrósł również z tego sposobu doskonalenia formacji społeczeństwa, zastąpił „ducha Bożego" przez laicko bezduszny rynek i jego prawa bezwzględnej walki konkurencyjnej firm i społeczności o przetrwanie. Przyspieszyło to znamienicie postęp, ale zarazem wkrótce doprowadziło do granicy, za którą zdawanie się na tradycyjną metodę prób i błędów okazuje się już niedopuszczalne. Nastąpiło bowiem rozbicie odrębności poszczególnych cywilizacji — proces reprodukcji życia ludzkiego stał się globowy. Rezultatem dominacji starej metody prób i błędów w jakościowo nowych warunkach było wyeliminowanie cywilizacji mniej sprawnych przez silniejsze — przez zniewolenie bądź eksterminację całych społeczeństw. Dalsze eksperymentowanie tąż samą metodą stawia pod znakiem zapytania szanse przetrwania ludzkości. Dość przypomnieć kryzysy lat trzydziestych, faszyzm i drugą wojnę światową jako rezultat „błędnego" wariantu ich przezwyciężania i uświadomić sobie, czym groziłaby powtórka podobnego błędu" przy obecnym poziomie techniki zbrojeniowej. Bądź wziąć na serio zagrożenie ekologiczne wynikające z kontynuowania rynkowej gry z przyrodą.

W sposób najbardziej powszechny i niejako codzienny nieskuteczność metody prób i błędów ujawnia się w tym, iż tą drogą nie może już żadna ze społeczności przezwyciężyć niedorozwoju przemysłowego i wydobyć się z uzależnień od wyżej rozwiniętych państw imperialistycznych. Ten pewnik, odkryty przez Lenina, został potwierdzony przez fakt, że w XX wieku już żadne nowe państwo nie zyskało na kapitalistycznej drodze, rozwoju zapewniającego w pełni partnerskie pozycje w międzynarodowym podziale pracy. Nawet tak spektakularne próby tego typu, jak w Iranie Rezy Pahlaviego, Brazylii, Meksyku czy Nigerii, kończą się z reguły połowicznym rozwojem, zwiększającym zależność tych społeczności od imperialistycznych monopoli.

Możliwość przezwyciężania tego uzależnienia stwarza zastąpienie rozwoju metodą prób i błędów w jej kapitalistycznym wydaniu — metodą naukowego rozeznawania i wytyczania celów i sposobów postępu oraz ich uściślania i korygowania odpowiednio do zmiennych realiów rzeczywistości. Czyli metodą właściwą dla naukowego socjalizmu. To właśnie posłużenie się nią przez Lenina i partię bolszewików pozwoliło na zdefiniowanie możliwości zapoczątkowania socjalistycznych przeobrażeń w Rosji, umożliwiło skorygowanie w porę zaplątania, w jakie nowy ustrój popadł na skutek nadmiernie długiego stosowania strategii tzw. komunizmu wojennego, wykorzystanie instrumentów rynkowych w okresie Nowej Polityki Ekonomicznej bez odbudowy siły i władzy burżuazji oraz nakreślenie jakościowo odmiennej niż w kapitalizmie metody industrializacji — z priorytetem środków produkcji umożliwiającym wielokrotne przyspieszenie uprzemysłowienia. Te nowatorskie, śmiałe rozwiązania nie powstawały tylko czy głównie w ciszy gabinetów i sal konferencyjnych. Były rezultatem publicznego myślenia, burzliwych dyskusji i ostrych sporów. Fakt, że nieraz zaciekłych i owocujących spięciami politycznymi, ale praktyka potwierdzała, że takie właśnie sprawdzanie koncepcji postępu najpierw „na rozum" zanim „na ludziach" okazuje się mniej kosztowne społecznie niż kryzysy i konflikty.

I tego właśnie zabrakło w polskim wydaniu budownictwa socjalistycznego. Niedostatek ten łagodziło częściowo i do czasu korzystanie z doświadczeń radzieckich. Łagodziło częściowo tylko dlatego, że przejmowanie tamtejszych wzorców bez przedyskutowania wymogów adaptacji ich do polskich warunków, pogarszało nieuchronnie jakość powtórki w stopniu sprzyjającym niekiedy kompromitowaniu oryginału. Do czasu zaś, gdyż od zbudowania w naszym kraju podstaw uprzemysłowienia, stanęliśmy razem z innymi krajami socjalistycznymi wobec nowego zadania: wypracowania koncepcji trafniejszego niż w kapitalizmie spożytkowania przemysłowych sił wytwórczych dla zaspokajania zasadnych aspiracji społeczeństwa do uwolnienia od niedostatków i dostateczniejszego życia. To właśnie fakt, iż w ubiegłych dekadach, a w ostatniej w szczególności, zaniedbaliśmy naukowego rozwiązania tego nowego zadania, że poddaliśmy się skłonności do naśladowczego przejmowania wzorców dostatku od innych — tym razem z kapitalistycznego Zachodu, zaowocował kryzysem.

Przezwyciężenie tego dramatu — zmądrzenie przynajmniej po szkodzie — wymaga nie tylko sprawniejszego działania, ale przede wszystkim myślenia. Gruntowniejszego rozważenia koncepcji dalszego rozwoju najpierw w ogólnonarodowej dyskusji, nim staną się wytyczną praktyki. A do tego lepsze warunki niż powszechna ufność przeradzająca się w zadufanie, iż „Polak potrafi", stwarza sceptycyzm, skłonność do ostrożnego przyglądania się nowym pomysłom i projektom. Czyli właśnie taki stan ducha i umysłów, jaki — wedle mojego rozeznania — dominuje w naszym narodzie współcześnie. Nie stwarza to warunków do zagłuszania aplauzem wątpliwości. Tracą szanse pozyskania wpływów tak paternalistyczni przywódcy pretendujący do jedynie słusznych objawień, jak i nawiedzeni cudownymi pomysłami ideolodzy. Teoretykom i politykom trudniej w tych warunkach przekonać o trafności swych projektów nowych programów i instytucji. Jest to z pewnością doraźna niewygoda. Ale zarazem jedyna szansa na ukształtowanie nowego u nas obyczaju „gruntowniejszego testowania" projektów naprawy Rzeczypospolitej w stadium projektowania, co jest mniej dotkliwą metodą eliminowania potencjalnych pomyłek niż za pomocą kryzysów. Podobnie jak im więcej potu na poligonie, tym mniej krwi w boju — im więcej sceptycyzmu i sporów w fazie projektowania nowych rozwiązań społecznych, tym mniejsze zagrożenie następnymi kryzysami i konfliktami.

I dlatego głoszę pochwałę sceptycyzmu. Za Karolem Marksem, którego dewizą życiową było wszak: „O wszystkim należy wątpić!"

MARIUSZ GULCZYŃSKI

HENRYK SROCZYŃSKI

MX — rakiety śmierci

Kiedy czyta się wystąpienia prezydenta Reagana, w których uzasadnia on swe programy zbrojeniowe, odnosi się wrażenie, że Stany Zjednoczone są bezbronne i bezsilne. W ostatnim wystąpieniu prezydenta poświęconym sprawie budowy nowego systemu broni nuklearnej Mx zawarte są słowa:
„Gdy objąłem ten urząd, dowiedziałem się, że w naszych siłach zbrojnych mamy samoloty niezdolne do latania i okręty, które nie mogą opuścić portów głównie z braku części zamiennych i załóg... Nasze siły nuklearne zostały zbudowane przed epoką mikroobwodów. Nie jest w porządku wymagać od naszych młodych mężczyzn i kobiet w mundurach, aby utrzymywali i posługiwali się takimi antykami. Wielu z nich oddało już swe życie w wybuchach pocisków i wypadkach lotniczych spowodowanych przez starość ich wyposażenia. Musimy zastąpić i zmodernizować nasze siły i dlatego właśnie postanowiłem wydać decyzję w sprawie produkcji i rozmieszczenia nowych pocisków ICBM, znanych jako Mx.

Mx znaczy „Missile Experimental" (rakieta eksperymentalna), ale nazwa ta odnosi się nie tyle do jednego rodzaju broni, ile do całego systemu broni międzykontynentalnej. Prace badawcze nad pociskiem Mx rozpoczęto jeszcze w 1976 roku i związane były z dyskutowaną wówczas koncepcją rozmieszczenia 200 takich jednostek w głębokich tunelach.

Wstępną decyzję o realizacji programu budowy rakiet Mx podjął prezydent Carter w czerwcu 1979 r., na dziesięć dni przed spotkaniem z Leonidem Breżniewem w Wiedniu. Ta decyzja, o której wtedy mówiło się w Stanach Zjednoczonych, że miała ugłaskać przeciwników SALT II w związku z zapowiedzianym parafowaniem układu w Wiedniu wzbudziła w społeczeństwie amerykańskim poważne sprzeciwy. „No Mx" — to hasło przeciwników rozmieszczenia nowej broni stało się bardzo popularne w stanach Nevada i Utah, gdzie wyłącznie miały być zlokalizowane te rakiety, a następnie w stanach: Teksas, Oklahoma i Colorado, dokąd również miały zawędrować. Senat amerykański wprawdzie przeznaczył 670 milionów dolarów na projekt Mx, ale wobec protestów nie poparł projektów budowy podziemnych schronów i torów, tak jak domagali się tego Carter i Pentagon. Senatorzy zawsze udzielający poparcia dużym wydatkom obronnym, tym razem zwrócili się do Pentagonu o wysunięcie innych, bardziej ograniczonych propozycji budowy systemu Mx.

Studia nad sposobami rozmieszczenia rakiet Mx trwały kilka lat i obejmowały zwłaszcza dwie koncepcje: według pierwszej — rakiety miały być nieustannie wożone między wyrzutniami w łączących je tunelach, zaś według drugiej — krążyłyby na platformach po torach na otwartej przestrzeni. Ta druga koncepcja zakładała również, że każdy z 95-tonowych pocisków z głowicą nuklearną, będzie miał do pokonania swą własną pętlę długości 15 mil, łączącą 23 zbudowane z betonu wyrzutnie. Olbrzymie, podobne nieco do ciężarówek transportery, miały od czasu do czasu przewozić potajemnie 200 pocisków od schronu do schronu. Celem tej wędrówki rakiet miało być utrzymanie przeciwnika w stałej niepewności co do aktualnego miejsca ich przechowywania. Cały system zostałby rozrzucony na terenie obejmującym ponad 10 tys. mil kw., w 47 odludnych dolinach górskich. Budowa pochłonęłaby dwa miliony ton cementu i wymagałaby zatrudnienia 22 tys. ludzi. Jak oceniano, podjęty wysiłek równałby się budowie Wielkiego Muru Chińskiego i piramid egipskich, nie mówiąc już o Kanale Panamskim.

Właśnie burza protestów w stanach, w których miały być zlokalizowane te rakiety, burza zagrażająca storpedowaniem całego przedsięwzięcia, skłoniła Pentagon do przedstawienia nowej koncepcji budowy systemu Mx. Plan, który ostatnio zaakceptował prezydent, i który ma zatwierdzić Kongres, przewiduje rozmieszczenie pocisków w zespole sąsiadujących ze sobą silosów — wyrzutni w bazie lotniczej Warren w pobliżu Cheyenne w stanie Wyoming. Baza 100 rakiet ma mieć 22 km długości i 1,6 km szerokości. Każdy pocisk zamierza się wyposażyć w 10 głowic samodzielnie naprowadzających się na cel; każda głowica będzie zawierać ładunek wybuchowy o mocy 365 kiloton, czyli 25 krotnie większy od bomby atomowej zrzuconej na Hiroszimę. Funkcjonariusze Pentagonu stwierdzają, że pocisk Mx po raz pierwszy da Stanom Zjednoczonym możliwość zagrożenia dla dużej liczby radzieckich pocisków rakietowych wystrzeliwanych z ziemi, chroniąc jednocześnie przed ewentualnym atakiem 1.054 pociski Minuteman, stanowiące podstawową broń strategiczną USA.

Licząc się z opozycją, prezydent Reagan stara się pozyskać jak najszersze wsparcie dla rakiet Mx. Jego argumentacja, iż bezpieczeństwo USA jest poważnie zagrożone, a rząd nie ma atutów oraz argumentów przetargowych, niezależnie od tego czy jest prawdziwa czy nie, początkowo znalazła — co stwierdza prasa amerykańska — dość szerokie zrozumienie w Stanach Zjednoczonych. Niemniej jednak Ronalda Reagana oczekuje długa batalia w Kongresie, choć i tu mobilizuje on wszystkie siły. Ponieważ sprawą najważniejszą będzie przyznanie sum na pierwszy etap budowy systemu rakiet Mx, prezydent zabiegał, aby odpowiednie kwoty przyznał Kongres w obecnym składzie (nowo wybrani kongresmeni, wśród których przewagę stanowią demokraci, obejmą swe funkcje dopiero w styczniu 1983 r.). Wprawdzie nie ma zwyczaju, by w okresie od wyborów do upływu kadencji zwoływano sesje, prezydent jednak uczynił to, wykorzystując swoje konstytucyjne uprawnienia.

Wielu polityków słusznie przewidywało, że już w obecnym składzie Kongresu będzie wystarczająco silna opozycja, aby obalić plany prezydenta w zakresie budowy nowego systemu broni międzykontynentalnej. Występując w programie telewizyjnym, demokratyczny senator Ernest Hollings, który jest członkiem podkomisji senackiej d.s. wydatków obronnych, zaproponował zamrożenie sumy 988 milionów dolarów niezbędnych na budowę pierwszych pięciu pocisków Mx. Natomiast znany „jastrząb", również demokratyczny senator Henry Jackson, który zazwyczaj nalega na wysokie programy zbrojeniowe, oświadczył w wywiadzie, że plan prezydenta Reagana w kwestii rakiet Mx „znajdzie się w bardzo głębokich kłopotach".

Być może uda się prezydentowi Reaganowi w przyszłym roku zyskać aprobatę dla bezprecedensowego systemu rakiet na lądzie, ale już dziś wielu wybitnych polityków przestrzega przed złudzeniami, iż USA będą w stanie zdobyć przewagę militarną nad ZSRR. Logika wskazuje bowiem, że Związek Radziecki przystąpi do realizacji programu będącego odpowiednikiem amerykańskiego systemu rakiet mobilnych, co niezmiernie skomplikuje weryfikację przestrzegania przyszłych porozumień.

Wielu ekspertów poddaje także w wątpliwość skuteczność amerykańskiego systemu rakiet Mx. Zdaniem niektórych wojskowych, ZSRR byłby w stanie opracować skuteczny system przezwyciężania metody „mobilnych rakiet" w ciągu 4—5 lat, zanim jeszcze rakiety Mx zostaną zainstalowane.

Trwają też dyskusje w samych Stanach Zjednoczonych w kwestii czy nowy system rakiet ma rzeczywiście tylko charakter obronny. Wielu specjalistów wykazuje, że system Mx z 1000 głowic nuklearnych służyć może także do pierwszego uderzenia, uderzenia z zaskoczeniem. Minister obrony Gaspar Weinberger odrzuca oskarżenia, iż pociski Mx są bronią ofensywną. „Gdyby tak było to nie martwilibyśmy się jak chronić te pociski przed zniszczeniem" — powiedział. Zapomniał tylko dodać, że każda wyrzutnia broni strategicznej, którą dysponuje jedna czy druga strona, praktycznie znajduje się w schronach odpornych na ataki bronią atomową.

Z drugiej strony rozważa się czy wprowadzenie nowego systemu broni nie będzie sprzeczne z układami SALT I i SALT II. Pentagon stara się przekonać Kongres i opinię społeczną w USA, że proponowane przez Reagana rozmieszczenie pocisków nie narusza układów SALT i twierdzi, że jeśli Kongres odrzuci propozycje prezydenta, to ZSRR nie będzie miał powodów, aby uczestniczyć w rokowaniach na temat zbrojeń strategicznych w Genewie. Są to oświadczenia niezgodne z prawdą. Arytkuł 4 porozumienia SALT II, o czym przypomniała prasa radziecka, wyraźnie zabrania budowy dodatkowych wyrzutni lądowych dla pocisków międzykontynentalnych.

Ale nie tylko te elementy, składające się na uzasadnienie konieczności budowy rakiet Mx, są podważane przez ekspertów i polityków. Ostatnio bowiem podnoszą się również głosy obalające mit, że USA pozostają w dziedzinie zbrojeń w tyle za Związkiem Radzieckim. Oto Ośrodek Informacji Obronnych w Waszyngtonie opublikował raport, stwierdzający w konkluzji, że prezydent Reagan nie miał racji twierdząc, iż ZSRR uzyskał przewagę militarną nad USA w podstawowych rodzajach broni.

„Reagan zapoczątkował olbrzymią rozbudowę potencjału militarnego z przekonaniem że Stany Zjednoczone mogą zmusić Rosjan do wydania ostatnich rezerw gotówki. Naciski militarne nie rzucą jednak Rosjan na kolana. Wręcz przeciwnie, może to wzmóc radzieckie wysiłki zbrojeniowe" — niedawno pisał amerykański dziennik „International Herald Tribune". W innych amerykańskich pismach coraz częściej stawiane jest pytanie czy w ogóle ma sens ogromne marnotrawstwo bogactw naturalnych w sytuacji, gdy istnieje możliwość utrzymania równowagi sił i bezpieczeństwa na znacznie niższym pułapie. Duże też echo wywołała wśród oponentów zbrojeń w USA opublikowana niedawno przez stronę radziecką propozycja rozważenia 25-procentowej redukcji arsenałów strategicznych obu supermocarstw, zamiast 10 procentowej przewidzianej w układzie SALT II.

Plany uzyskania bezspornej przewagi militarnej nad Związkiem Radzieckim, jakie marzą się wielu generałom i politykom w USA, są rzecz jasna planami wielce niebezpiecznego kształtowania życia ludzkości na stosach broni. Ale również niebezpieczne są tendencje forsowania zbrojeń tylko po to, by móc rozmawiać ze Związkiem Radzieckim z pozycji siły, by broń stanowiła argument polityczny. W jednym i drugim przypadku prowadzi to tylko do zaostrzenia sytuacji międzynarodowej. Oddala to również perspektywy odprężenia, a tym samym oddala możliwość podjęcia wspólnych przedsięwzięć dla przezwyciężania ogromnych problemów, które już dziś zagrażają bytowi miliardów ludzi na świecie.

Sektor przypadków szczególnych

Dokończenie ze strony 1

— Bujasz.

— Nie. A ty coś czujesz?

— Jakieś takie dziwne kłucie w ręku.

— Koniec zabiegu — obwieścił głos.

Za nami płakał jakiś mały chłopczyk. Matka uspokajała go jak mogła. Kobieta, która trzymała malca za drugą rączkę, zaczęła się pieklić, że popsuł eksperyment.

— Miał być spokój i skupienie — krzyczała — a ty darłeś się jak opętany!

Odwróciłem się i mówię:

— Czy pani przypadkiem nie przesadza?

— Niech się pan nie wtrąca!

Siedząca obok mnie niewiasta obserwowała mnie z nieukrywaną niechęcią.

— Pan też jakoś dziwnie się zachowywał — oświadczyła.

— A to dlaczego?

— No, tak! Jedną rękę trzymał pan w kieszeni. Może na panu skończył się obieg, a tu człowiek płaci za wejściówkę...

Sąsiad wziął mnie w obronę:

— Oświadczam pani, że była pani podłączona jak najbardziej prawidłowo. Czuła coś pani?

— Nie.

— No to nie wiem...

Rozmowy i kłótnie umilkły, bowiem głos zabrał ponownie Stanisław Nardelli. Stwierdził, że eksperyment się powiódł. Sztuki, aczkolwiek mogą, nie muszą być natychmiastowe. Są ludzie, którzy poczują poprawę stanu zdrowia dopiero po kilku dniach lub nawet później. Nie zaleca się kontaktu z żadnym innym bioterapeutą w ciągu najbliższych sześciu miesięcy, gdyż może to poważnie zaszkodzić.

Brawa.

Publiczność zaczęła wstawać z miejsc i opuszczać halę. Niektórzy robili to przy pomocy pielęgniarek. Nawiasem mówiąc, pielęgniarki były niezwykle usłużne, niezwykle uważne i niezwykle troskliwe; wszystkie bez wyjątku ubrane były w nieskazitelnie białe fartuchy i czepki. Służby porządkowe również działały bez zarzutu — żadnych zamieszek, zatorów, korków, ani śladu histerii, krótko mówiąc: wzorowa, doskonała organizacja.

Zgodnie z anonsem dziennikarze udali się do sali konferencyjnej, gdzie mieli możność spotkać się ze Stanisławem Nardellim w wąskim gronie. Oprócz dziennikarzy siedziało tam wiele innych osób, lekarzy naukowców nienasyconych pacjentów, różdżkarzy; był zaprzyjaźniony z mistrzem terapeuta, który zasilał go przed każdym seansem swoją energią, był również wysokiej rangi milicjant.

Jeśli chodzi o mnie i fotoreportera „Odgłosów", nie chciano nas wpuścić. Bramkarz o wyglądzie big-beatowca, związany zapewne na co dzień z tą kondycją, zakwestionował nasze prasowe karty, więc zmuszony byłem dać mu publicznie po łapach.

Weszliśmy. Akurat w tym samym momencie jakaś niestara kobieta rzuciła się z głośnym szlochem na pierś pana Nardellego. Zorientowałem się, że chodzi o poprawę wzroku. Pan Nardelli przytulił ją i długo głaskał po głowie. Zebrani niecierpliwili się trochę, gdyż wdzięczna, szalenie zdenerwowana, wręcz rozhisteryzowana kobieta uniemożliwiała im rozmowę z terapeutą. Jednakże obecne na sali pielęgniarki stanęły w jej obronie. Któraś podała jej gazetę z artykułem o panu Nardellim, mówiąc:

— Niech pani spróbuje.

Kobieta przeczytała głośno parę zdań, po czym znowu zaczęła szlochać:

— Widzę! Widzę!

Dwóch porządkowych odprowadziło ją pod ścianę, radząc, aby się uspokoiła. Podano jej adres, na który może kontaktować się z panem Nardellim. Po kilku minutach przyszła do siebie; przestała drżeć, ręce nie trzepotały już w powietrzu.

Pan Nardelli spokojnie i rzeczowo odpowiadał na pytania, posługując się piękną, precyzyjną polszczyzną. Czy leczy? Wielkie słowo. Wspomaga raczej wysiłki lekarzy. Każdy chory, który miał z nim styczność, powinien zachować jak najściślejszy kontakt z prowadzącym doktorem, brać lekarstwa i stosować się do jego zaleceń. Sam zresztą również zachowuje te kontakty, zarówno jako pacjent, jak i bioterapeuta. Jest człowiekiem schorowanym. Leżał w szpitalach, przeżywał stany krytyczne, ocierał się o śmierć. Miał ciężko chore serce i tak zwaną postępującą marskość wątroby; dokucza mu wysokie ciśnienie: dwieście czterdzieści na sto dwadzieścia; w trakcie zabiegów, kiedy przekazuje swą bioenergię chorym, ciśnienie skacze; jest bardzo wyczerpany, słania się dosłownie na nogach. Teraz jednak czuje się dobrze. To wielkie szczęście pomagać cierpiącym. Nie, nie jest głodny. Uprzejmie, lecz odmownie dziękuje organizatorom, którzy zapraszają go na obiad. Za godzinę, o szesnastej, czeka go kolejny seans, tym razem z grupą najciężej doświadczonych przez los. Chciałby przedtem trochę odpocząć, skoncentrować się należycie.

Nim zaczął działać (prosi, aby nie używać słowa: leczyć) pod swoim nazwiskiem, przez cztery lata występował anonimowo.

— Sprawdzałem się — mówi. — W szpitalach, klinikach. Zawsze pod okiem doświadczonych lekarzy.

W ten sposób zdobył absolutną, poświadczoną przez autorytety pewność co do swoich ogromnych, nadludzkich (ktoś powiedział: nadprzyrodzonych) właściwości i możliwości.

Chętnie rozstał się z maską anonima. Wcale nie ukrywa, że występowanie pod własnym, pięknym zresztą, nazwiskiem przynosi mu satysfakcję. Nie wykrzywia się również na środki masowego przekazu, bo sam pisze książkę, która ukaże się zapewne w ciągu roku.

Ktoś pyta, jaki był najdziwniejszy wypadek w jego terapeutycznej karierze.

Mówi, że wiele było takich wypadków. Zdarzało się przecież, że po seansach zbiorowej terapii sparaliżowani i kalecy ludzie odrzucali kule i pieszo, o własnych siłach wracali do domu. Kto nie wierzy, niech zapyta milicji, która te porzucone kule zbierała.

— Co panu w czasie wykonywania zabiegów najbardziej przeszkadza?

Okazuje się, że nie „co", tylko „kto". Jednostki o złej woli. Można by domniemywać, chociaż pan Nardelli nie precyzuje tego wyraźnie, że oprócz dobrej bioenergii istnieje bioenergia zła. Złośliwy, nieżyczliwy ludziom osobnik, który ową energią dysponuje, może nie tylko staranować wysiłki dobrego terapeuty, ale również bardzo chorym zaszkodzić.

— Ma pan w świecie lekarskim i naukowym wielu gorących zwolenników. Ale nie brak także, zapewne i tutaj, sceptyków.

— Bardzo poważam sceptyków, cenię sobie ich opinie. Muszę jednak dodać, że wielu zagorzałych sceptyków stało się z czasem moimi zagorzałymi zwolennikami. Sprawiło mi to szczególną radość.

— Krótko mówiąc, może pan pomóc nawet tym, którzy w pana nie wierzą.

— Tak.

Ucieszyłem się w tym momencie, jestem bowiem typem Niewiernego, no... powiedzmy: Niedowierzającego Tomasza. Bliższy byłem wiary, kiedy oglądałem obszerną, dobrze udokumentowaną audycję o Panu Nardellim w telewizji. Tu, w łódzkiej Hali Sportowej, wrażenia zbladły. Stało się to, być może, za sprawą towarzyszących terapeucie autorytetów za dużo mówili, za dużo chwalili. Bliskość mistrza, skromność, fakt, że mogłem dotknąć go ręką, też robiły swoje. Brakło nimbu tajemnicy i milczenia, które zawsze tak bardzo zaciekawia i frapuje.

Poszliśmy na obiad do halowej restauracji, gdzie wydawano posiłki organizatorom i służbom porządkowym. Nikt się nie tłoczył, nie awanturował. Tknięta bakcylem dobroci kelnerka podała nam zupę. My na to:

— Tak za darmo?

A ona:

— Jak się nakarmiło siedemset osób, nakarmi się jeszcze dwie.

Nie zdążyliśmy zjeść drugiego dania, gdyż było już po czwartej. Lada chwila miał odbyć się drugi zabieg, tym razem nie w hali, tylko w parterowym, obszernym przedsionku przed wejściem.

Przedsionek przypominał kaplicę, albo raczej nawę kościelną. Z góry, z balkonów, oświetlały go jaskrawe reflektory. W dole, na kamiennej posadzce, rozmieszczono w równych szeregach chorych. Niektórzy leżeli na noszach, inni siedzieli na kółkowych wózkach inwalidzkich. Leżący trwali w głębokiej apatii, ich nieruchome, zżółkłe od stałego przebywania w zamkniętych pomieszczeniach twarze nie wyrażały żadnych uczuć, poza milczącym, przewlekłym, pełnym skupienia cierpieniem. Twarze siedzących ożywiała nadzieja i oczekiwanie. Były wśród nich dzieci — wieczny wyrzut świata.

Przedsionek wznosił się po kilku schodach na coś w rodzaju podestu, za którym znowu biegły prowadzące na balkon stopnie. Na podeście ustawiono stół, krzesła i mikrofon. Wszystko to, jak powiadam, do złudzenia przypominało kościół przygotowujący się do jakiegoś ascetycznego, zmodernizowanego obrządku. Asystenci pana Nardellego wyglądali jak ministranci w cywilu. Jeden z nich, ów konferansjer, wygłaszał ten sam mniej więcej tekst, co w hali. Odbyła się kolejna próba spirali. Pielęgniarki, inne tym razem, szczelnie wypełniły wszystkie luki, stając lub przykucając pomiędzy noszami i wózkami i trzymając chorych za ręce. Pierwsze szeregi wyglądały tak: jeden chory — jedna pielęgniarka, jeden chory — jedna pielęgniarka, jeden chory — jedna pielęgniarka; dalej, wśród siedzących na wózkach, było już różnie: większość sama, bez pośrednictwa pielęgniarek, mogła połączyć się rękami. Za wózkami wyrastały dwa nie połączone ze sobą, ucinające się nagle końce spirali, to znaczy: dwa ogonki pieszych, stojących, niekoniecznie chorych osobników płci obojga, między którymi wyróżniał się wysoki zomowiec i trzech milicjantów.

Stojący obok mnie na balkonie, pośród licznej i stłoczonej rzeszy obserwatorów, reporter zauważył:

— Oto prawdziwa jedność narodu.

Człowiek o twarzy machera sportowego, który na co dzień przedkłada zapewne dobry mecz nad szczęście własnej rodziny, troszcząc się jednakże między jednym kuflem piwa a drugim o swoją nadwątloną wątrobę, wygłosił z namaszczeniem niezwykle głęboką sentencję:

— Każdy chce zaakumulować trochę zdrowia.

— A pan już akumulował?

— Tak.

— To podłącz się pan jeszcze raz.

— Dwa razy nie można. Nie słyszał pan, że bardzo łatwo przedawkować?

Dziennikarz radiowy (ten sam) powitał na podeście pana Nardellego, posługując się identycznymi zwrotami co w hali, w związku z czym jego wzruszenie wydawało się mniej szczere i trochę wyblakłe. Pan Nardelli natomiast zachował się z identyczną prostotą i godnością.

Zabieg przebiegał sprawnie i szybko. Zgodnie z ostrzeżeniem, w pierwszym rzędzie zanotowano wypadek omdlenia. Niebawem chorzy i zdrowi ruszyli do wyjść. Pielęgniarki niosły nosze i pchały przed sobą wózki na kółkach. Na dworze czekała już na trzeci seans kolejna rzesza chorych — tym razem dzieci.

Warto podkreślić, iż pan Nardelli postanowił przekazać cały dochód z łódzkiego spotkania na konto instytucji opiekujących się chorymi i kalekimi dziećmi właśnie. Zatem, czy ktoś jest sceptykiem czy nie, wobec tego faktu musi pochylić czoła.

Gwoli prawdzie muszę przyznać, że po kontakcie z bioenergią pana Nardellego, jakkolwiek wcale o tym nie myślałem i nie pomagałem sobie żadną autosugestią, poczułem się lepiej z sercem (znacznie mniej skurczów dodatkowych). Jeśli dodać, że kilka lat temu po dotknięciu pana Harrisa zapadłem na zapalenie płuc, wszystko wskazuje na to, że nasz polski bioterapeuta jest rzeczywiście silniejszą indywidualnością, niż jego brytyjski kolega.

Do podobnego wniosku dochodzą zresztą powoli sami wyspiarze i cały w ogóle świat. Sława pana Nardellego rośnie. Nasz terapeuta przesyła już swoją zbawczą bioenergię na odległość, za morza i oceany, do Londynu i Nowego Jorku.

Niechaj więc dalej wierzą wierzący, co zaś się tyczy sceptyków, poczęstuję ich następującą anegdotą.

Do pewnego znakomitego fizyka, laureata nagrody Nobla, przyjechał na wywiad głośny reporter, który ku swojemu niepomiernemu zdziwieniu stwierdził, iż uczony przymocował sobie do drzwi domu końską podkowę.

— I pan, wielka sława naukowa, wierzy, że podkowa przynosi szczęście? — zapytał reporter.

— Ależ skąd! Oczywiście, że nie wierzę! Z tym, że wie pan... podkowa przynosi szczęście bez względu na to, czy ktoś wierzy czy nie wierzy.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Foto: M. Zajdler

Dokończenie ze strony 1

atrakcyjne dziewiarstwo z importu, m.in. damskie i męskie swetry moherowe i szetlandzkie, bielizna, galanteria skórzana, zwiększone dostawy koszul męskich, w tym także białych, odpowiednich do wizytowych garniturów. Sweter możemy kupić przy okazji, ale przede wszystkim szukamy przecież sukienki. Przygotowano suknie wizytowe z wysokogatunkowych wełen i z aksamitu, bardzo dobre, gdy wybieramy się na prywatkę. Po karnawale przydadzą się na wiele okazji. Nie znajdziemy natomiast kreacji typowo balowych. Zwykle pojawiały się w okresie karnawału bardzo udane, szyte w krótkich seriach we własnych zakładach produkcyjnych toalety. W tym sezonie zabrakło tkanin i sukni nie było z czego uszyć. Jeśli więc chcemy wystąpić w wielkiej gali, trzeba skorzystać z usług zaprzyjaźnionej krawcowej, albo wyciągnąć z dna szafy nie przemijająco modną czarną suknię, jaką chyba każda z nas posiada. Dodatki sprawią, że i w starej będziemy wyglądać jak nowe.

Możemy natomiast oczekiwać w sklepach Mody Polskiej niezłego zaopatrzenia w kosmetyki. Zagraniczne pudry Maxa Factora, wody toaletowe Pierre'a Cardin, udane wyroby firm polonijnych sprzedawane będą po cenach budzących niekiedy grozę, ale obok nich znajdą się także dużo tańsze kosmetyki krajowe, m.in. z serii „Pani Walewska" i „Gazela", męskie wody kolońskie firmy „Uroda". Aby je kupić, trzeba będzie postać w kolejce, ale to chyba jedna z niewielu przyjemnych kolejek. Dla najmłodszych kobiet, które jeszcze kosmetyków ani wieczorowej sukni nie potrzebują, w sprzedaży znajdą się spodnie firmy „Levi Strauss", w sam raz na młodzieżową prywatkę.

WOLNOŚĆ O ZACHODZIE SŁOŃCA

Gdy już mamy się w co ubrać, trzeba pomyśleć o dalszych szczegółach naszego wyglądu. A więc przede wszystkim głowa. Wszystkie znamy twierdzenie, że dobra fryzura to połowa urody, ale na co dzień demonstrujemy często spłaszczone pod grubą czapką kosmyki. W wyborze fryzury nie dajmy jednak ponieść się zbytniej fantazji. Jeżeli po balu zobaczymy na własnej głowie posklejane lakierem srebrne loki, zepsuje nam to humor na długie tygodnie. Jak się uczesać, radzi mistrz fryzjerski Hieronim.

Przede wszystkim liczy się dobre strzyżenie, takie, aby kobieta mogła utrzymać fryzurę bez konieczności cotygodniowych wizyt u fryzjera. Jeśli farbowanie — to na kolory naturalne, często w pasemka. Odrosty wtedy nie rażą i zabieg można powtarzać rzadko, co bardzo ważne przy obecnych trudnościach z kupnem farb. Bardziej odważne i pragnące zdecydowanej odmiany panie mogą zafundować sobie „zachód słońca" — pasemka w trzech kolorach zorzy, najbardziej efektownie prezentujące się u brunetek.

Włosy mogą być różnej długości, od krótkiej, rozwichrzonej „gawroszki", ujmującej co najmniej 10 lat z wyglądu, poprzez miękko układającą się, jakby rozwianą przez wiatr, bardzo kobiecą „włoszkę", aż po „liberty", fryzurę z włosów dłuższych, na których wykonuje się tzw. trwałą pionową. Uczesania takie dobre są na wszystkie okazje. Moda w tym roku nie wymaga specjalnych fryzur wieczorowych. Możemy natomiast przed balem ozdobić włosy efektowną zapinką, albo srebrną i złotą pasmanterią.

RANO UŚMIECH, WIECZOREM NENUFAR

Gdy głowę mamy „z głowy", przychodzi pora na twarz, szyję i dekolt. Aby były naprawdę w doskonałym stanie, warto co najmniej miesiąc przed balem odwiedzić gabinet kosmetyczny. Ale postanowiłyśmy przecież szaleć jedną noc, a nie kilka tygodni, więc pewnie na taką wizytę zabraknie nam czasu. Jak mimo to wyglądać ładnie, radzą Monika Główkowa i Helena Perkowska, kosmetyczki z gabinetu Sp-ni Uroda i Zdrowie.

W noc poprzedzającą bal trzeba położyć się wcześniej i dobrze wyspać. Od rana, w pracy uśmiechać się do wszystkich, nawet do nielubianych koleżanek. W ten sposób unikniemy zdenerwowania, odbijającego się bardzo niekorzystnie na wieczornej urodzie. Po południu kąpiel i kilkanaście minut relaksu w ciemnym pokoju. Dzieciom tłumaczymy, aby były w tym czasie cicho, bo mama pięknieje, a mąż, przerażony naszymi przygotowaniami, i tak się nie odzywa. Leżymy więc, na oczach kompresy z herbaty, na twarzy maseczka. Do wyboru: papka drożdżowa, piana z białka z sokiem cytrynowym lub rozgniecioną truskawką, gotowany kartofel z ciepłym mlekiem. Wstajemy wypoczęte i już możemy się malować. Paryż lansuje w tym roku makijaże o dźwięcznych nazwach „nenufar", „ nasturcja" i „narcyz", utrzymane w gamie kolorystycznej tych kwiatów. Są one jednak trudne do wykonania we własnym zakresie, a nieumiejętne próby przyniosą efekt opłakany. Wybieramy więc makijaż łatwiejszy, jeden z kilku modnych wariantów, pamiętając o dostosowaniu go do własnego typu urody. Blondynkom ładnie będzie w kolorycie pastelowym, na przykład tak: puder jasny beż, róż lekko śliwkowy, rozbielony, usta w kolorze azalii lub cyklamenu, cień na powieki błękitny lub turkusowy, tusz granatowy. Brunetkom można polecać zrobienie „ciepłej" twarzy: puder brzoskwiniowy, policzki oranż z odcieniem różu, również oranżowa pomadka, cienie na powieki w tonacji miedziano-brązowej. Dla wielu kobiet korzystny będzie

Na jedną, jedyną noc

Foto: M. Zajdler

także makijaż w kolorze złotego beżu, powieki zielone lub turkusowe, róż i pomadka w odcieniu pralinowym. Na duży bal ciągle modne są sztuczne rzęsy i naklejane na twarz błyszczące ozdoby. Kosmetyczki przestrzegają jednak przed eksperymentowaniem tuż przed wyjściem z domu. Jeśli chcemy mieć nową twarz, lepiej wypróbować ją kilka dni wcześniej.

A GDY SIĘ SKOŃCZY BAL

I wreszcie jesteśmy gotowe. Kosztowało to sporo i w złotówkach, i w koniecznym do zdobycia sukni, dodatków itp wysiłku. Ale nie zaczynajmy przeliczać teraz wydatków na paczki masła. W tę noc nie jesteśmy przecież rozsądne i zatyrane. W nagrodę On popatrzy na nas, jak na zupełnie obcą kobietę, a na te naprawdę obce nie popatrzy wcale. To nic, że On akurat nie jest nowym narzeczonym, który srebrnym Audi zawiezie nas na Riwierę, ale trochę łysym i brzuchatym mężem, właścicielem rozdeptanych kapci. Jeżeli my się odpowiednio postaramy — zmieni się w tego sprzed lat, o którym myślałyśmy przecież po nocach.

A następnego dnia, gdy odeśpimy już karnawałowe szaleństwo, zostanie ubytek w portfelu, suknia w szafie z naftaliną, dobrze ostrzyżona głowa i trochę wspomnień na zwykłe dni, gdy znowu będziemy dzielnymi ludźmi. Do następnego roku.

TERESA JERZYKOWSKA ■

Dachowanie

Bolesław W. zasnął przy maszynie. Kierownik szarpnął go za ramię, potrząsnął energicznie:

— Życie ci zbrzydło? — wrzasnął. — Chcesz wsadzić głupi łeb pomiędzy tryby?

Bolesław podniósł ociężale głowę. Twarz miał bladą, oczy zaczerwienione.

— Nie wyrobię, szefie — jęknął zbolałym głosem.

— Choryś?

— Chrzciny mi zaszkodziły...

— To czuć, kumoter — warknął kierownik i skrzywił się obrzydliwie, ponieważ z ust Bolesława wionął mu w nozdrza skąsniały odór alkoholu.

— Już trzeci dzień — pożalił się Bolesław W. — Wody święconej nie żałowali na tych chrzcinach.

— Ja nie chcę, Boluś, żeby cię pokropili przy maszynie. Spieprzaj do chaty, ale już! Portier przeważnie drzemie, więc może cię nie przyfiluje.

Ale portier akurat cierpiał na bezsenność. Bolesław W. powiedział mu, że zasłabł przy maszynie. Wyszedł na chwiejnych nogach, otworzył drzwiczki swojego fiata 125 koloru groszku i usiadł za kierownicą. Dochodziła dwudziesta. Był zmierzch, latarnie jeszcze się nie paliły, padał drobny, gęsty, nieprzyjemny deszcz. Bolesławowi nie chciało się jechać, chętnie by pospał w jakimś zacisznym kątku. Usłyszał jakieś mamrotanie, westchnienie i pomyślał, że po chrzcinach zaczyna mieć halucynacje, bo to westchnienie wyrwało się z jego własnej piersi. Ruszył wolno i ujechawszy z dwieście metrów zobaczył moknącego w deszczu kolegę, co się nazywał Janusz B. Przystanął, uchylił gościnnie drzwiczki.

— Wsiadaj, stary! — zawołał przyjaźnie.

Janusz wskoczył ochoczo do auta, mokry i zziębnięty.

— Bóg zapłać, Bolek. A będzie ci po drodze?

— Zawsze mi jest po drodze. Zwłaszcza, gdy czuję coś na pokrzepienie.

— To żegluj prosto do mnie!

Bolesław W. przycisnął gaz. Wjechali w wąską ulicę, wyłożoną mokrą kostką bazaltową. Było ciemno, tylko u wylotu jak świetlista gąsienica przemykał sznur aut z włączonymi reflektorami. Znak nakazywał jechać sześćdziesiątką, ale fiat śmigał co najmniej osiemdziesiątką. Tamte światła z wylotu zbliżyły się gwałtownie, zapląsały w oczach Bolka. Fiatem zarzuciło, koła wpadły na trawnik. Bolesław W. poczuł strach, w głowie mu zaszumiało, ręce rozpaczliwie kręciły sterem. Fiat znowu wpadł na trawnik, kierowca dojrzał w przelocie sylwetkę kobiety, która znikła w ciemności; auto obróciło się o trzysta sześćdziesiąt stopni, wjechało na chodnik, koła oderwały się od płyt; fiat przekoziołkował trzy razy i zatrzymał się na dachu. Stara kobieta leżała na chodniku, twarzą do ziemi, tak jak upadła. Zanim nieliczni przechodnie ochłonęli, nim oderwali wzrok od ciała mężczyzny, który wypadł z koziołkującego fiata, w mrok wtopił się inny mężczyzna...

Po chwili z rozbitego okna wypełzł Bolesław W., cały i zdrowy, ale blady, z błędnym wzrokiem, mocno roztrzęsiony. Podszedł do leżącego twarzą do ziemi, tuż przy krawężniku, Janusza B.. Odwrócił go na plecy. Żył jeszcze, lecz twarz miał zakrwawioną i pokiereszowaną, był nieprzytomny.

— Ludzie, ratujcie człowieka — zaczął powtarzać, blady i zaszokowany.

Nie wyglądał na pijanego, ani na takiego, co zamierza zbiec z miejsca wypadku. Ale nim nadjechała karetka pogotowia i radiowóz milicyjny, Janusz B. zmarł. Bolesław W. wpadł w panikę. Podał mylnie nazwisko denata, toteż trudno było ustalić jego tożsamość i powiadomić żonę. Bolesław załamał się całkowicie, gdy mu powiedziano o drugiej ofierze — starej kobiecie. Ta, na szczęście, doznała niegroźnych obrażeń ciała.

Patrzył zrezygnowany, jak pogotowie zabiera ofiary wypadku. Milicjanci z „drogówki" robili swoje. Postawili auto na kołach, na pogniecionym dachu znaleźli ślady krwi. Tam, gdzie leżał denat, deszcz rozmywał plamę krwi. Teren nie oświetlony, widoczność ograniczona padającym deszczem, śliska nawierzchnia, nadmierna szybkość. A kierowca, sprawiający wrażenie załamanego, lecz całkowicie trzeźwego, „chuch" miał jakiś niewyraźny...

Zabrano go do szpitala. Pielęgniarka pobrała krew, włożyła ampułkę do pudełka. Bolesław W., wciąż zaszokowany i osłabiony, podpisał protokół pobrania. Milicjant zaprowadził go do radiowozu. Pudełko z ampułką położył na desce rozdzielczej, tuż nad kierownicą.

— To gdzie siadamy, panie pirat?

— Z tyłu.

— Mógłbyś pan prysnąć, panie pirat.

— A po co? Już mnie macie.

— Krew cię obciąża, człowieku. Piłeś...

— Trzy dni temu, na chrzcinach.

— Siadaj pan obok mnie. Nie wiadomo, kto pana chrzcił.

Pojechali. Dobroduszny glina zagadnął:

— A może by tak, obywatelu, zawiadomić rodzinę?

— Po co?

— Będą się martwić. Lepiej niech wiedzą, żeście w tym deszczu stuknęli człowieka i siedzicie pod naszą opieką.

— Nie mam rodziny.

— W ogóle?

— Przynajmniej w tym mieście.

Ale gdy mijali pewien odrapany budynek, Bolesław rzucił nań okiem i twarz mu się zmieniła, dostrzegł bowiem zaparkowany za płotem znajomy sobie samochód.

— Panie sierżancie — mówi — mam narzeczoną. — Powiem jej, czego się dopuściłem.

— Słusznie! Niech się nie łudzi, biedaczka. Nie welonka dla niej, lecz krepa.

Milicjant zatrzymał się, cofnął, wysiedli i zamknąwszy radiowóz, poszli na drugie piętro. Narzeczona, Bożena L., na widok swego niedoszłego wbiła palce w blond włosy i jęczy:

— O Boże, Boże, coś ty narobił?

— Nie Bóg, jeno wasz narzeczony — sprostował taktownie sierżant.

— A on ci, nie inaczej — lamentuje Bożena. — Czy ty wiesz, nieszczęśniku, kogoś życia pozbawił?

— To obywatelka też wie? — zdziwił się funkcjonariusz.

— Całe miasto już mnie wytyka palcami. Mnie już nie żyć, panie majorze. Mnie w tej białej ślubnej sukience nie do ołtarza, lecz do trumny — zawodzi narzeczona zbrodniarza. — Co z nim będzie, panie majorze?

— Zaopiekuję się nim — rzecze ów dobrotliwy sierżant. — Pojedziemy na miejsce wypadku, posłuchamy, co każą, a potem chyba do ciupy na Komendzie. Jak zbadają krew, co ją wieziemy autem, może wypuszczą.

Bożena ucałowała swego Bolka, nie omieszkawszy szepnąć mu do ucha zmienionym głosem, żeby się nie martwił, bo ona czuwa.

Wrócili do radiowozu i odjechali. Po minucie, w ślad za nimi ruszyła stara popielata warszawa. Sierżant zatrzymał się na miejscu wypadku, obok drugiego radiowozu. Chłopcy radarowcy kończyli różne pomiary, rozbity fiat czekał na hol, żeby go na parkingu strzeżonym mógł zbadać ekspert. Milicjant z sąsiedniego radiowozu podał sierżantowi słuchawkę radiotelefonu. Ten, wysłuchawszy poleceń, powiedział do Bolesława głosem strasznie wzburzonym:

— Numerek z was, obywatelu piracie! Przez ciebie już dwie baby zemdlały.

— Jedna tylko potrąciłem, sierżancie.

— Ale podałeś fałszywe nazwisko denata! Nie jego żona omal trupem nie padła w kostnicy.

— To był Janusz B.

— Ano właśnie! Rozpoznała w nim sąsiada. Potem zemdlała właściwa żona. Jedziemy do Komendy!

Ledwie ujechali ze sto metrów, a tu machają rękami z rozpaczą dwie nadobne, straszliwie zmoknięte niewiasty. Sierżant przyhamował. Kobiety proszą żałośnie o podwiezienie.

— Nie mogę, kochane. Eskortuję pirata niebezpiecznego.

— Ale my niegroźne, panie władzo. Autobusy nie kursują, deszcz pada, a w ciemnych ulicach rozboje...

Sierżant skruszał i pozwolił kobietom usiąść w tyle radiowozu. Za niecałe pół kilometra jedna z kobiet wysiadła, ale tak nieszczęśliwie, że upadła w kałużę, wrzeszcząc, że milicja chce ją przejechać. Sierżant wyskoczył, aby jej pomóc wstać i w ogóle, a ta druga mówi do Bolesława:

— Pryskaj!

— Nie mogę. Mają moją krew.

— Gdzie?

— A tutaj — wskazał deskę rozdzielczą, ale nim sięgnął po pudełko z fiolką, do szoferki wsiadł sierżant. Ruszył ostro, mocno zdenerwowany, przemknął przez dwie przecznice, z trzeciej wyładowała się nagle popielata warszawa i rozkraczyła się w poprzek jezdni. Sierżant wyskoczył z szoferki i jak nie bluźnie:

— Ożeż ty, samobójco! Taki spity, że milicji nie widzi!

Ale obywatel dojrzał, bo warszawa śmignęła nagle przed siebie jak ogier smagnięty batem. Sierżant zaklął, odwrócił się i widzi, że Bolesław W. mknie w dół ulicy i znika za rogiem. Sierżant zawrócił i pognał za zbiegiem, ale ten dopadł już torów kolejowych. Milicjant rzucił się w pogoń. Biegli tak ze sto metrów wzdłuż szyn, raptem z tyłu zabłysły reflektory lokomotywy. Sierżant zwolnił, bezradnie patrząc, jak zbieg przeskakuje szyny. Gdy lokomotywa przejechała z hałasem, pobiegł za Bolesławem W., ten jednak zniknął w krzakach, wspiął się na nasyp i na dobre utonął w ciemnościach. Sierżant jeszcze nie zrezygnował, ale ześliznąwszy się z mokrego nasypu, dał za wygraną i wrócił do radiowozu, w którym nie było już ani pasażerki, ani ampułki z krwią.

Dopiero o godzinie trzeciej w nocy zjawiła się w mieszkaniu Bożena L. Była u koleżanki, która to poświadczyła. Bożena miała rodzinę w spalskich lasach, natomiast zbiegły Bolesław W. miał ojca w mieście K. Jednakże tam go nie znaleziono. Przez pierwszą noc Bolesław błąkał się po polach, aż zasnął w stogu siana. Rano podszedł pod dom narzeczonej. Zobaczył stojący radiowóz i zbiegł. I znowu błądził po lesie, po polach, głodny i zarośnięty. Nie mógł jednak prowadzić takiego trybu życia w nieskończoność. Udał się w sobie tylko znajome miejsce, aby przespać się w popielatej warszawie, która garażowała blisko ogródków działkowych, i rankiem spotkać się z jej właścicielem.

Nie wiedział jednak, że milicja wyniuchała, iż Bożena ma w tym mieście brata. Ten młody człowiek o imieniu Wawrzyniec był śledzony. I jak na trzeci dzień udał się wreszcie do swojego auta, został nakryty razem z niedoszłym szwagrem. I cóż się okazało? Otóż na owych nieszczęsnych chrzcinach Bolesław W. nie tylko zapił, ale i poderwał pewną swawolną rozwódkę. Przez trzy dni nie pojawił się u narzeczonej. Tą poleciła bratu, by śledził niewiernego. Wawrzyniec miał smykałkę do zamków, przeto odemknął drzwiczki fiata i legł na podłodze, za przednim siedzeniem, a że był lekko cyknięty, zasnął, nie doczekawszy wyjścia Bolesława ze zmiany w fabryce. Ocknął się, gdy ten zabrał Janusza B. Z dialogu domyślił się, że jadą na miejsce erotycznych igraszek, milczał przeto, pragnąc dotrzeć do celu nie zauważony. Gdy fiat dachował, Wawrzyniec nie doznał obrażeń, wymknął się więc pierwszy z wraka i zbiegł, zanim ktokolwiek to spostrzegł. Powiadomił siostrę o zdarzeniu oraz znajdujące się u niej dwie koleżanki. Gdy Bolesław przyszedł z sierżantem, wszyscy dowiedzieli się o trasie, jaką pojedzie radiowóz. Wawrzyniec natychmiast wpadł na pomysł porwania Bolka lub choćby umożliwienia mu ucieczki, a przede wszystkim wykradzenia ampułki z krwią. Zabrał dziewczyny, podrzucił je w pobliżu radiowozu, a dalej zdarzenia potoczyły się, jak przewidział. Bolek zbiegł, a druga z koleżanek zabrała ampułkę z krwią.

Żeby nie robić żartów z tragedii, dachowania i pogrzebu, morału z tej historii nie będzie.

JAN WIDLAK ■

A salon mam w kapeluszu

Foto.: M. Zajdler.

Dokończenie ze strony 1

nawialiśmy się co z tym fantem zrobić. Kazimierz Bronowicki to rzeczywiście niespokojny duch, taki samouk — złota rączka, z tych co to wszystko potrafią. On zresztą swój pierwszy „grzyb" postawił jeszcze w latach pięćdziesiątych. Ten obecny stoi na jego miejscu. Ale pierwowzór chyba się rozsypał, nie wiem zresztą dokładnie, nie było mnie tu wtedy. Sprawa wróciła w ubiegłym roku, kiedy córka konstruktora, z mężem — Zbigniewem Buczyńskim chcieli stworzyć drugiego prawdziwka. Znudziły im się bodajże sublokatorskie mieszkania, a u nas z oczekiwaniem na własne „M" sytuacja jak i w całym kraju. Medytowaliśmy trochę, ale w końcu myślę tak: jeden przecież, nad jeziorem, nie będzie tak straszył, a oni mają szczere chęci, szkoda ten zapał zmarnować — dostali gdzieś w połowie lipca tego roku naszą zgodę. Dokumentację zrobił Bronowicki, no i całe miasto chodziło oglądać, jak bodaj w sierpniu rozpoczęli przy ulicy Marcinkowskiego budowę tego swojego domku.

— *A pewnie, byłem tam w środku i mnie się nawet podoba* — ciągnie naczelnik — *i garaż jest, i taki duży salonik, zobaczy pan, jaki mają fajny system ogrzewania. I słowo daję, liczyliśmy tu przecież parę razy, ale koszt wszystkich materiałów, bez drewna, nie przekracza 114 tysięcy złotych. To rewelacyjnie nisko.*

— Podobno jest wielu chętnych na podobne okazy i wkrótce będziecie mieć tu całe osiedla „maślaków", „koźlarków" i „pieczarek" — strzelam w ciemno.

— *Bez przesady, powoli, powoli, na razie mamy jeden, nad innymi się zastanowimy, na działkach jeszcze dwa czy trzy raźio nie będą. Ale miasto na grzybowe osiedla oczywiście nie pójdzie. A tak na marginesie to ten niezmordowany Bronowicki chce jeszcze nad jeziorem postawić... latający talerz. To znaczy taki mały hotel czy zajazd, gdzie wokoło centralnie usytuowanej kawiarni mieściłyby się pokoje gościnne. A wszystko byłoby na wysokości kilkunastu metrów. Oryginalne to byłoby i chyba wrócimy do tematu, nad naszym jeziorem to by się przydało nie tylko w sezonie letnim.*

— Właśnie, jezioro macie w środku miasta, a jakieś czyste wyjątkowo być musi, bo i wędkarzy widziałem, a to najlepszy dowód, że jeszcze się w ściek nie zamieniło. Żadnych bogatych ośrodków wczasowych tu nie macie? Żadnych górników ani odlewników?

— *Chętnych było i to wielu, ale rezygnowali, gdy twardo stawialiśmy warunek podstawowy: wybudujcie oczyszczalnię ścieków. No i mamy ponad 640 hektarów lustra wody. Wciąż czystej.*

— Z mieszkaniami w Myśliborzu podobie jak w całym kraju — drążę temat do końca. A na tak modne i poszukiwane obecnie strychy chętnych u was nie ma?

— *Są, ale bodaj kilkanaście udało nam się zagospodarować, no, w końcu Myślibórz liczy 11 tysięcy mieszkańców. Poza tym najważniejszą przeszkodą jest moim zdaniem nierealny przepis, zmuszający młodych do zapłaty za wszystko z własnej kieszeni. I to sprawę kładzie, bo chętni muszą kupić wszystkie materiały, dać swoją robociznę, a mieszkanie z trudem zdobyte i wyremontowane do niego nie należy. A wystarczyłoby gdybyśmy mogli choć część materiałów przekazać nieodpłatnie. Niech ma je za darmo, ale niech pokaże co potrafi...*

Zgadza się: o tym nieżyciowym przepisie słyszałem już od wielu osób. Ministerstwo Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska w swoim zarządzeniu, o zręcznym, lakonicznym tytule „W sprawie zagospodarowania zbędnych suszarń, strychów i innych pomieszczeń w budynkach stanowiących własność państwa", bodaj w paragrafie trzecim, ustęp pierwszy, punkt drugi wspomina, iż „Przebudowy pomieszczeń dokonuje wnioskodawca na własny koszt (...)".

No, dosyć tych mieszkaniowych rozważań, pędzimy znów do „grzybka", by poznać jego wnętrze, a przede wszystkim właścicieli i budowniczych. W zapadającym błyskawicznie zmierzchu „borowik" sprawia z zewnątrz bardziej sympatyczne wrażenie. Z rozświetlonymi okienkami z daleka przypomina rzeczywiście jakiś księżycowy pojazd, który wylądował w lesie nad brzegiem jeziora.

Są. Właściciele czekają już na nas. Przepraszają na parę minut, ale chcą choć w dużym skrócie wytłumaczyć jakiemuś młodemu małżeństwu, bodaj z Rybnika, zasady budowy, koszt, podać wykaz materiałów. Goście, których przewija się tu ostatnio bardzo dużo są wyraźnie zauroczeni. Żegnają się, a ja przez wąskie okienko w saloniku widzę, że jeszcze na schodach coś gorączkowo sobie tłumaczą, przeliczają, dyskutują. To jedni z wielu, dla których Grzyb (bo od tej chwili zacząłem o nim myśleć z prawdziwym uznaniem) jest rzeczywiście życiową szansą na wygodne, samodzielnie stworzone, przemyślane od fundamentów po strych, a przede wszystkim swoje — mieszkanie.

Borowik jest, przyznać trzeba, bardzo funkcjonalnie zaprojektowany. To nieco śmiesznie brzmi, ale ma... cztery kondygnacje. Bo tak: w dole „korzenia" usytuowany jest garaż („maluch" mieści się bez kłopotów) i mała piwniczka. Wyżej — niewielki przedpokój, zgrabna kuchenka, łazienka. Jest i natrysk, i osobno WC. Środkiem „korzenia" wspinamy się stromymi schodami do głównego pokoju, powiedzmy — w „kapeluszu", który według orientacyjnych obliczeń ma około 30 metrów kwadratowych powierzchni! Ba — całość liczyć ma około 60 metrów! W tym pokoju niemal cała ściana jest oszklona; naliczyłem bodaj 19 okienek, co prawda wąskich, ale to i dobrze, bo złodziej się przez nie nie przeciśnie. Jeśli ktoś lubi szczegóły, to mogę podać, że w całym domku jest ich 27. Ale to nie koniec pokojowej wyliczanki: w czaszy, nad salonem znajduje się jeszcze obszerny strych, który w zależności od upodobań użytkowników przeznaczyć można na sypialnię, ciemnię fotograficzną, suszarnię itp. Ale to już zależy od pomysłowości gospodarzy, ich przedsiębiorczości, podobnie jak wyposażenie wnętrza. Można wykorzystać typowe segmenty, typowe meble, ale gdy ktoś ma takie życzenie wszystko można urządzić „na okrągło", jak cię ściany prowadzą.

Gospodyni, Danuta Buczyńska, która wspomagana przez męża, kończy znów wyłuszczać szczegóły kolejnym amatorom budowy Borowika (tym razem ze Szczecina), wstawia na dole czajnik z wodą na herbatę, a ja po paru minutach mam okazję oglądać (lub raczej — odczuwać) efekty działania oryginalnego systemu ogrzewczego. Oszczędnego i funkcjonalnego — co najważniejsze. Nie wdając się w bliższe, techniczne meandry wspomnieć można, że przez całą wysokość domku, od kuchni po strych biegnie wąska, metalowa rura, bodaj z szamotową cegłą w środku. Wystarczy w kuchni rozpalić ogień i całe wnętrze błyskawicznie się nagrzewa. Dosłownie w parę minut zrobiło się ciepło i przytulnie jak we własnym łóżku.

Za oknem mżyło potężnie, listopadowy deszcz cicho brzęczał po szybach i blaszanym daszku, wygodnie rozparci w fotelach piliśmy parującą herbatę i rozmawiali o... łabędziach. Bowiem główny projektant, pan Kazimierz Bronowicki, o którym znajomi mówią, że nie ma rzeczy, której nie potrafi stworzyć, pomysłów budowlanych ma dziesiątki, jeśli nie setki. Brak miejsca nie pozwala na szczegółowy opis tej osoby, której żaden zawód nie jest obcy (astronomią też się zajmuje) pozostawmy jednak tego człowieka z krwi i kości, wszechstronnie uzdolnione „złote rączki" na osobny reportaż. A o łabędziach wspominamy, bowiem wśród wielu projektów budowlanych był i domek przypominający kształtem tego ptaka. Z wrodzonej przekory pewnie Bronowicki usytuował wejście do Domku-Łabędzia w..., no, mniejsza gdzie, projekt nie doczekał się realizacji, ale różnych kształtów grzyby najbardziej go pociągały. I „latające spodki".

— *A pierwsze projekty naszego borowika i wszystkie techniczne wyliczenia sporządzał tata na asfalcie, obok naszej mini-działki, która liczy wszystkiego 50 metrów kwadratowych. On ten dom zbudował praktycznie z głowy, dopiero niedawno architekt z Gorzowa sporządził projekt techniczny z prawdziwego zdarzenia.*

— *Te zdolności, zamiłowanie do budowy czegoś oryginalnego i trochę mimo wszystko zręczności w palcach odziedziczyłam właśnie po ojcu* — opowiada z nie ukrywaną dumą pani Danuta. *Jestem co prawda technikiem budowlanym z wykształcenia, ale ze specjalnością dekorator wnętrz, a godziny swej pierwszej pracy spędzałam w nadleśnictwie i nawet taki leśny parking udało mi się zaprojektować. Też jak tata, z głowy, w przysłowiowe dziesięć minut. Ale grzybek zupełnie mnie zauroczył, ten zbudowaliśmy przecież z ojcem w dwójkę, to była cała ekipa. On sporządzał rysunki na asfalcie, a ja zdobywałam i woziłam materiały.*

— *Co potrzebne? Już wyliczam podstawowe materiały: 2,5 tony cementu, 1000 cegieł pełnych, 600 „dziurawek", 4 metry sześcienne drewna odpadowego (koniecznie tzw. króciaki, bo inaczej niepotrzebnie nam koszta skoczą w górę), 45 arkuszy blachy ocynkowanej, 60 płyt pilśniowych „twardych" i tyleż „miękkich". Koszt wydaje mi się dość niski — maksymalnie 150 tysięcy złotych. Chociaż po zakończeniu tylko tej budowy wyliczyłam sobie, że można go jeszcze zmniejszyć.*

— *Czas całej roboty?* — gospodyni wciąż recytuje z pamięci. — *Ten stawialiśmy niecałe dwa miesiące, ale gdybym miała pod ręką wszystkie surowce — ręcze że uwinę się bez kłopotów w dwa tygodnie, a w miesiąc można zamieszkać. Każdy laik, budujący coś takiego pierwszy raz w życiu będzie potrzebował na zakończenie roboty, no, czy ja wiem — najdłużej pół roku.*

— *Marzy mi się już nieco inny obiekt, chciałabym bardzo pomóc ojcu w realizacji tego „spodka", w którym mogłaby się znaleźć jakaś kawiarnia na przykład i pokoje gościnne. Ale najpierw chciałabym jeszcze pomóc takim jak ja (no, teraz to już na szczęście przeszłość), tym, którzy nie mają własnego dachu nad głową. Mają nawet nieco grosza, w spółdzielni dostaną swoje locum, gdy będą już w podeszłym wieku, na własnościowe ich nie stać i gnieżdżą się w jakichś pokojach sublokatorskich.*

— *Tak, tak, mamy już za sobą pierwszą audycję radiową tu nagrywaną; gdy cała sprawa „poleciała" na telewizyjnej antenie, temat stał się głośny. Masę osób jest autentycznie zainteresowanych budową Grzybka, sama poznałam w parę tygodni chyba z 1500 bezdomnych, codziennie dostajemy średnio gdzieś 150 listów, często dramatycznych, błagalnych, z prośbą o pomoc. Marzy mi się taka cykliczna audycja w telewizji, coś w stylu pana Adama Słodowego, tylko nie w sprawie ramki do obrazu, ale własnego domu. Jak to widzę? Ano mogłabym powoli, w kilkunastu odsłonach, tłumacząc wszystkie szczegóły, zbudować na oczach milionów telewidzów takiego następnego borowiczka. A wtedy już nawet właściciel dwóch „lewych" rąk dałby sobie doskonale radę.*

— *Oczywiście, mam pod ręką kilka różnych wersji. Przecież w podobnym stylu można obok postawić odrębny garaż, i budę dla psa, i śmietnik także. No, borowiki rzadko rosną indywidualnie. Dla osób dysponujących większą gotówką jeszcze inna propozycja: za następne 150 tysięcy stawiamy obok drugi, identyczny z zewnątrz grzybek, łączę kapelusze takim fajnym, oszklonym gankiem i mam domek bliźniak o powierzchni użytkowej około 120 metrów! Z dwoma strychami, dwoma garażami a i pokoje są większe, bo już choćby drugiej kuchni czy łazienki nie muszę urządzać. No i jak pan to widzi?*

— *Ogrzewanie, oczywiście według taty koncepcji, nawet mnie zaskoczyło swoją prostotą i efektami praktycznymi. Ciepłe powietrze błyskawicznie ogrzewa cały domek, a mieliśmy już kilka naprawdę chłodnych nocy. Obliczamy wstępnie, że gdzieś jedna tona węgla wystarczy nam na cały zimowy sezon z powodzeniem. Zdradzę małą tajemnicę. Tata rozpracowuje jeszcze lepszy model ogrzewania, jak sam twierdzi — półautomatyczny, urządzenie wykorzystujące też węgiel i działające na zasadzie klepsydry, opał po prostu sam by się dozował.*

— *Tak, zwolenników już nie własnej budowy, ale w ogóle idei jest coraz więcej. W wydaniu naszej mini-broszurki pomogli nam dziennikarze, mamy już gotowe obwoluty, w których wysyłać chcemy zainteresowanym dokumentację techniczną i wykazy materiałów. A cena dwóch kompletów, wynosząca niecałe 6 tysięcy złotych nie wydaje mi się, wobec całej sprawy, zbyt wygórowana. Oczywiście, jeszcze przed pierwszym projektem technicznym sporządzonym przez fachowca zgłosiliśmy naszego borowika do urzędu patentowego. O, proszę, wzór użytkowy „Domek rekreacyjny", z dnia 4 sierpnia tego roku, numer W 69001.*

— *Myślę, że ta skala przemysłowa, wielkoseryjna produkcja zabija wiele ciekawych pomysłów. Proszę pana, jestem pewna, że ten motel, czyli ojca spodek, z jego doświadczeniem, umiejętnościami wykorzystania materiałów odpadowych będzie wielokrotnie tańszy niż w fabryce, która „trzaskałaby" długie serie podobnych domków.*

Na razie Mirek trzaska kolejne zdjęcia wnętrza grzybka, włącznie z gospodarzami, nie opuszcza żadnego, nawet najbardziej fantastycznego projektu, jaki gospodarze wyciągają z szaf. Pani domu usiłuje na poczekaniu wpoić we mnie podstawowe zasady budowlane. Tłumaczy cierpliwie, jaki ma być fundament, gdzie wmontować metalowe pręty, gdzie obmurować cegłą, jak wzmocnić całą konstrukcję głównego trzonu domku i uszczelniać ściany. Egzamin, który za chwilę przechodzę nie wypada dla mnie pomyślnie, ale egzaminator obiecuje, że w razie czego wytłumaczy jeszcze raz, a może nawet dwa razy.

Późno już. Żegnamy się z uroczymi gospodarzami, którzy o swoim domku, planach i zamierzeniach mogliby godzinami opowiadać. Ale czas wracać. Opuszczamy dość niechętnie przytulne wnętrze Grzyba. Na ganku pani Danuta dorzuca na pożegnanie.

— *Witamy tu wszystkich bardzo serdecznie, a do listowej pracy wciągnęliśmy już i znajomych. Ja wiem doskonale co to znaczy tułaczka po sublokatorkach, płacenie co miesiąc ciężkich tysięcy za byle jaki pokój, w którym nie można głośniej kichnąć. A teraz, po latach marzeń mam dom. Własny. Jest tu cicho, ciepło, wygodnie. A ja jestem po prostu u siebie.*

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Foto.: M. Zajdler.

Album Głowackiego

Z racji retrospektywnej wystawy Zdzisława Głowackiego w Galerii Łódzkiej, w Muzeum Historii Miasta, która miała miejsce w styczniu 1980 roku ukazał się niedawno drukiem w miarę obszerny (jak na tubylcze warunki) album-katalog. Nie będę tu zwracał uwagi na mało istotny fakt, że wystawa miała miejsce w styczniu osiemdziesiątego roku, a album ukazał się trzy czy cztery miesiące temu. Cykl produkcyjny książki był u nas zawsze długi, a ostatnio jest jeszcze dłuższy. Pomnę także milczeniem to, że zwykle tego rodzaju wydawnictwa ukazywać się winny w czasie trwania wystawy, a nie w parę lat po jej zamknięciu. Powiem natomiast — dobrze, że się ukazał! I gdyby ukazał się jeszcze za dwa lata, też powiedziałbym, że dobrze iż jest! Powody wyjaśnię poniżej.

Zdzisława Głowackiego nie muszę przedstawiać. Malarz ten, urodzony w Łodzi, z Łodzią związany od 1948 roku pracą twórczą, pedagogiczną i społeczną, zajmuje na mapie artystycznej określone miejsce. Chciałbym natomiast słów kilka poświęcić samemu albumowi i sprawom ościennym.

Przyznam się, że z pewną niechęcią zabieram się do napisania tego, co mam napisać. Te słowa tyle razy spłynęły z mojego (i nie tylko mojego) długopisu, tyle razy były już drukowane i wypowiadane przy różnych okazjach, że w jakiś sposób mi zbrzydły. Odnoszę dojmujące wrażenie, że Czytelnikom również. Ale wedle mądrości, iż kropla drąży skałę i w ogóle dla dobra słusznej, jak mniemam, sprawy powtórzę wszystko raz jeszcze. Tym bardziej, że rzecz cała zamyka się w kilku zdaniach, aczkolwiek sam problem nie jest ani błahy, ani prosty.

Idzie mianowicie o to, że łódzkie środowisko plastyczne, liczne, aktywne, uczestniczące czynnie w życiu artystycznym kraju, wielokrotnie obrazami, grafiką, tkaniną, rzeźbą reprezentujące sztukę polską poza granicami nie doczekało się jak dotąd opracowań, monografii książkowych, albumów z prawdziwego zdarzenia. Krótko mówiąc jest to środowisko, o którym nie ma żadnych książkowych publikacji, które nie prezentuje się żadnym albumem, którego nigdy nie było i nadal nie ma na półkach księgarskich.

Oczywiście są opracowania przedwojennej awangardy, artykuły o Strzemińskim i grupie „ar", są wstępy do katalogów, artykuły w różnych pismach, są reprodukowane w różnych wydawnictwach dzieła łódzkich twórców itd. itd., ale wydawnictw o sobie osobnych to środowisko się nie doczekało. Wszystko to, co napisano o łódzkich twórcach jest rozproszone po najróżniejszych wydawnictwach, jak rozsypane kamyczki mozaiki. Są co prawda katalogi wydawane przez Muzeum Sztuki czy przez Biuro Wystaw Artystycznych z racji indywidualnych czy zbiorowych wystaw łódzkich twórców, lecz są to t y l k o katalogi. Niektóre zresztą bardzo dobrze i starannie wydane. Mam przed sobą katalog Leszka Rózgi wydany przez łódzkie Biuro Wystaw Artystycznych przy współpracy z Galerie Henning z Hamburga z okazji jego wystaw w Łodzi i Republice Federalnej. Aż miło wziąć tę publikację do ręki. Ale jest to t y p o w y, dokumentalny k a t a l o g, obejmujący grafikę, rysunek i malarstwo Rózgi z lat 1949—1978. Tyle, że wydany dobrze, na dobrym papierze z dobrymi reprodukcjami. Niemniej albumu grafik Rózgi nie zastąpi. A poza tym nie ma go w księgarni i pan Kowalski nigdy go nie ujrzy na oczy, nie kupi, chyba że przez przypadek w antykwariacie. Pan Kowalski na wernisażu, gdzie ewentualnie taki katalog mógłby podłapać, nie był. W Biurze Wystaw nie sprzedadzą mu go, bo nakład ośmiuset egzemplarzy podzielony na pół eliminuje automatycznie panów Kowalskich. A pan Kowalski jest akurat miłośnikiem grafik Rózgi i chciałby wejść do księgarni i kupić, choćby skromny album grafik Rózgi nie zastąpi. A poza tym w bibliotece. Nic z tych rzeczy. Zaś pani Kowalska ma taki gust, że lubi obrazy Liberskiego i też chciałaby mieć jego album, ale również nie kupi ani nie pożyczy z biblioteki. Bo po prostu takiego albumu nie ma. W najlepszej sytuacji jest córeczka państwa Kowalskich, która bardzo lubi obrazki pani Muszyńskiej i kolekcjonuje pocztówki z tymiż obrazkami. Specjalnie duży ich wybór znajduje w Hali Targowej przy Placu Niepodległości. Niektóre są już nawet naklejone na deseczki.

Pofelietonowaliśmy sobie nieco, a teraz wróćmy do sprawy. Otóż godzi się zwrócić uwagę na fakt, że środowisko plastyków łódzkich jest bodaj jedynym większym środowiskiem w kraju nie posiadającym dokumentacji książkowej. Warszawa, Gdańsk, Kraków, Wrocław, Lublin, Zielona Góra, Koszalin i tak dalej mają o swoich współczesnych twórcach publikacji na kopy. I nie jest to żadna przesada. Wielu plastyków, którzy w odpowiednim czasie wyjechali z Łodzi, doczekało się własnych albumów czy opracowań w książkach (na przykład Nowosielski). Może zatem trzeba wyjechać z Łodzi, jak zrobiło to wielu twórców (nie tylko plastyków).

Może również zrodzić się podejrzenie, że nie ma kto o plastykach łódzkich pisać. Profesor Henryk Anders, łodzianin, wykładowca w PWSSP w Łodzi, autor wielu wstępów do katalogów łódzkich twórców wydał w Arkadach książkę o grupie „Rytm". Janusz Zagrodzki niejednokrotnie dawał dowody znajomości tematu i sprawnego pióra pisząc o grupie „ar", Strzemińskim, Kobro, o konstruktywistach. Nie mam zamiaru sporządzać tu indeksu ludzi piszących w Łodzi o sztuce. Wymieniłem dwa z brzegu nazwiska, mógłbym więcej. Ale tu dostrzegam pewną ciekawostkę. Otóż ci piszący o sztuce wolą albo sięgać do historii albo pisać o twórcach spoza Łodzi. Co jest grane?

A samo środowisko też ma za złe, że o nim nie piszą, że nie wydają. Taki mały, łódzki węzełek gordyjski.

Wróćmy jednak do albumu Głowackiego. Z całą satysfakcją odnotowuję fakt jego wydania. Jest album o łódzkim malarzu i oby był zwiastunem następnych publikacji. Opracowany został przez Dział Historii Łodzi Współczesnej i Dział Sztuki Muzeum Historii Miasta Łodzi. Redaktorem jest mgr Antoni Szram, dyrektor Muzeum. Album w sztywnej oprawie zawiera 24 plansze barwne, 4 całostronicowe zdjęcia czarno-białe i 145 małych reprodukcji czarno-białych składających się na katalog prac malarskich. I tu niestety rodzi się sporo zastrzeżeń. Te 145 małych reprodukcji jest fatalnie wydrukowanych. U Głowackiego kolor odgrywał i odgrywa nadal ogromną rolę. Poza tym był okres, kiedy malarz uprawiał taszyzm, w którym to kolor i faktura były elementami wiodącymi. Zaś na tych małych reprodukcjach kompozycje taszystowskie są jeno szarobrudnymi prostokątami. Podobne jeden do drugiego nie dają najmniejszego pojęcia o istocie obrazów, a jedynie zaśmiecają album. Można z nich było śmiało zrezygnować dla niewątpliwego dobra całości.

Album zawiera ponadto tekst Antoniego Szrama zatytułowany „Głowacki i łódzkość", szkic biograficzny Marka Pawłowskiego oraz interesującą rozmowę Konrada Frejdlicha z malarzem. „Realizm XX wieku". Zacytuję z tej rozmowy dwa fragmenty, które w jakiś sposób interpretują postawę i osobowość Głowackiego.

Cytat pierwszy: „(...) *niczego nie potrafię robić lepiej, bo wszystkie inne moje zajęcia, a miałem ich w życiu niemało, wynikały z okoliczności zewnętrznych, a nie z instynktownej, niemal biologicznej potrzeby. Podczas okupacji nauczyłem się przewijać motory elektryczne, byłem także lakiernikiem, opanowałem podstawy księgowości. Ale wiedziałem, że jedynym narzędziem, którym potrafię się posługiwać naprawdę jest pędzel.*"

I drugi fragment wypowiedzi Głowackiego: „(...) *Często spoglądam za okno mojej pracowni na Łódź i uprzytamniam sobie, że w tym mieście można nie tylko żyć i pracować, ale jeszcze przy okazji zrobić coś pożytecznego. Właśnie dla tego miasta. Jak ci, którzy byli przed nami. Czy to nie dziwne? Mieszkam obok szkoły, do której chodziłem jako chłopiec. Koło mojego dzisiejszego domu grałem w piłkę. Ale najdziwniejsze, że dyrektorem tej szkoły był malarz Hohlinger. A później Władysław Strzemiński.*"

Jest jeszcze pomieszczony w albumie wybór publikacji o malarzu: „Artysta kontrowersyjny". Rozpoczyna się fragmentem recenzji z 1952 roku, a kończy na dacie 8 czerwca 1980 roku. Nie można zaprzeczyć, że z wielu względów jest to lektura frapująca i... pouczająca. Tak.

Album Zdzisława Głowackiego ma się ukazać — i to podaję z prawdziwą satysfakcją — także na półkach księgarskich w wolnej sprzedaży.

ANDRZEJ GRUN ■

Kronika kulturalna

18 grudnia w Klubie Pracownika Służby Zdrowia w Łodzi odbyło się Spotkanie Grupy Łódzkiej Unii Polskich Pisarzy Medyków z Zarządem. Omówiono wydawnictwa, które się ostatnio ukazały: **Almanach Unii Polskich Piasarzy Medyków. 1980—1981 „Spektrum III" oraz powieść Adama Abdańskiego „Romans z miasteczkiem".**

Stowarzyszenie Artystyczne zaprasza na widowisko satyryczno-rozrywkowe pt. **„GRAMY W CIEMNO"** z udziałem aktorów — Danuty Rinn, Haliny Kowalskiej, Hanny Zembrzyskiej, Barbary Winiarskiej, Marii Winiarskiej, Jana Kobuszewskiego, Edwarda Dziewońskiego, Zenona Wiktorczyka i innych. Akompaniuje zespół muzyczny w składzie: Tadeusz Suchocki, Janusz Mirecki, Andrzej Mystkowski.

Ośrodek Sztuki Młodych Łódzkiego Domu Kultury informuje, iż termin składania propozycji do **„Biblioteki Debiutów"** Wydawnictwa Łódzkiego na rok 1984 upływa z dniem 31 stycznia 1983 roku. Maszynopisy o objętości: poezja — 1 ark. wydawniczy (700 linijek); proza, krytyka literacka — około 100 stron maszynopisu prosimy składać w sekretariacie ŁDK, al. Kościuszki 56 lub w Wydawnictwie Łódzkim, ul. Piotrkowska 171/173

Uprzejmie informujemy, że Katedra Psychologii Wyższej Szkoły Pedagogicznej im. J. Kochanowskiego w Kielcach przy współpracy z innymi zainteresowanymi instytucjami organizuje w dniach 6—7 maja 1983 r., w Cedzynie k. Kielc, sympozjum naukowe na temat szeroko pojętej psychologii twórczości (artystycznej, naukowej, technicznej, organizacyjnej, pedagogicznej itp.).

Oczekujemy do dnia 15 stycznia 1983 r. zgłoszenia propozycji tematów referatów, komunikatów, doniesień, które należy przesyłać pod adresem:

Katedra Psychologii WSP
ul. Krakowska 11
25-079 K i e l c e.

Następny komunikat, zawierający program sympozjum, wszystkim instytucjom i osobom zainteresowanym nadeślemy w pierwszej połowie lutego 1983 r.

W 1983 r. odbędzie się jubileuszowy XX Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki w Opolu. Impreza ta ma duże znaczenie dla środowiska autorów, kompozytorów i wykonawców. Poprzednie jej edycje z powodzeniem wylansowały nowe formuły i style: wiele utworów o niekwestionowanych walorach artystycznych oraz popularnych przebojów.

Mając na względzie szczególny charakter tego festiwalu Towarzystwo Przyjaciół Opola, WPIA „Estrada Opolska" i Zarząd Główny Związku Polskich Autorów i Kompozytorów ZAKR ogłaszają konkursy na piosenkę: zamknięty i otwarty.

1. Celem konkursu jest wzbogacenie repertuaru XX Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki, przede wszystkim koncertu premier. Organizatorom zależy na utworach wartościowych artystycznie. Nie ograniczają ich formuły — przeciwnie, liczą na bogactwo form: od piosenki literackiej do popularnego przeboju.

2. W konkursie zamkniętym mogą brać udział tylko autorzy i kompozytorzy zrzeszeni w związkach i stowarzyszeniach twórczych, a w konkursie otwartym twórcy niezrzeszeni, nadsyłając utwory nigdzie dotychczas nie wykonywane i nie publikowane drukiem, w postaci nut na głos z fortepianem i 5 egz. tekstu w maszynopisie, podpisane godłem. W osobnej kopercie, opatrzonej tym samym godłem i tytułem utworu, należy umieścić nazwiska i adresy kompozytora i autora tekstu.

3. Utwory należy przesłać w terminie do dnia 28 lutego 1983 r. pod adresem: Zarząd Główny ZAKR, ul. Hipoteczna 2, 00-950 Warszawa, z adnotacją na kopercie „Konkurs na piosenkę" (zamknięty lub otwarty).

4. Jury — powołane przez organizatorów konkursu — może przyznać nie mniej niż 6 i nie więcej niż 12 równorzędnych wyróżnień — każde z nich w kwocie nie niższej niż 30.000 złotych (w konkursie zamkniętym) i 15.000 zł (w konkursie otwartym), do równego podziału między kompozytora i autora tekstu.

5. Jury zastrzega sobie możliwość innego podziału wyróżnień

6. Organizatorzy zastrzegają sobie ponadto prawo zakupienia utworów nie wyróżnionych przez jury.

7. Zarówno uzyskane wyróżnienie jak i zakupienie przez organizatorów utworów nie wyróżnionych nie oznacza automatycznego włączenia ich do repertuaru festiwalu. Jednakże organizatorzy gwarantują przedstawienie plonu konkursu Radzie Artystycznej oraz wykonawcom zaproszonym do udziału w festiwalu.

8. Uczestnicy konkursu zamkniętego mogą — w formie adnotacji na nutach lub kopercie zawierającej ich adresy — wskazać nazwiska wykonawcy i aranżera, którym chcieliby powierzyć piosenkę w przypadku wykonania jej w koncercie festiwalowym. Takie propozycje Rada Artystyczna XX KFPP Opole'83 rozpatrzy w pierwszej kolejności.

9. Każdy z autorów i kompozytorów może nadesłać na konkurs nie więcej niż 3 piosenki — wszystkie koperty z adresami będą otwarte po ogłoszeniu przez jury werdyktu. Prace nie wyróżnione i nie zakupione zostaną zwrócone autorom pocztą. ■

„Jolka, Jolka" ...i moje zdziwienie

Pewien znajomy, człowiek doświadczony i chyba nieco zadufany w sobie, twierdzi, że nie ma nic, co mogłoby go jeszcze w życiu kiedykolwiek zaskoczyć. Ja w tego typu deklaracjach nie idę aż tak daleko, ale przyznać muszę, iż od dawna nie przeżyłem prawdziwego zaskoczenia. Tymczasem dziwię się pewnym rzeczom i sprawom coraz częściej.

1.

Uczucie zdziwienia ogarnęło mnie na przykład po przeczytaniu ostatnio dwóch listów do redakcji. Były one sprowokowane zamieszczanymi przeze mnie wcześniej na łamach „Odgłosów" materiałami dotyczącymi „Rockowiska" i „kolaboracji" Zarówno list Andrzeja Dyszaka (choć niekoniecznie jego osoby musiało dotyczyć zdanie z mego felietonu), jak i pana Stefana Jóźwiaka (nie mam pewności, czy to on oddzierał róg mojego zaproszenia, czy któryś z jego kolegów, ale nie będę tego sprawdzał), zawierają jakby sugestię w kierunku polemizowania ze mną. Jednak po ich przeczytaniu przychodzi pewne rozczarowanie bowiem obydwa są jedynie uzupełnieniem tego, o czym pisałem, potwierdzeniem mojego spojrzenia. W każdym razie — dziękuję za zainteresowanie.

2.

Zdziwienia bywają pozytywne, bywają też negatywne. Obserwując branżę estradową widzi się często młodego wykonawcę, który nie dysponuje w danej chwili żadną siłą przebicia, a za rok czy dwa staje się gwiazdą; zdarza się też sytuacja odwrotna, kiedy to zawodzi lub obniża loty wykonawca, na którego się stawiało, który rokował ogromne nadzieje Kilka lat temu podczas finału Ogólnopolskiego Przeglądu Piosenki Młodzieżowej w Toruniu zauważyłem zdziwienie jednego z moich kolegów po występie Majki Jeżowskiej, która stała się wówczas rewelacją imprezy. Powiedział wprost: „To niemożliwe, widziałem ją rok temu na festiwalu w Zielonej Górze i była tam denna". Minęły dwa lata przebojów i popularności młodej piosenkarki i znów — jakiś czas temu — usłyszałem parę wypowiedzi na jej temat Krytycznych. Podobno znacznie gorzej dziś śpiewa A czy ktoś próbował porównać sobie grupę BAJM sprzed czterech lat z przebojem „Piechotą do lata" i dzisiejsze produkcje muzyczne tego zespołu? Rozwinął się na przestrzeni tych kilku lat, choć nie brak było w tym czasie artystycznych zachwiań w jego działalności. Podobnie ma się sprawa z Joanną Zagdańską ustalającą swoją pozycję w polskiej piosence Pamiętam też nie tak znów dawne łódzkie nagrania młodziutkiej piosenkarki z Lublina — Urszuli Kasprzak; nagrania dalekie od doskonałości. Kto teraz byłby w stanie rozpoznać ją w nowym wcieleniu — rockowej wokalistki występującej jako „Urszula", solistki zespołu „Budka Suflera"?

3.

Dwa miesiące temu stały komentator Listy Przebojów Programu III na łamach „Expressu Ilustrowanego", podpisujący się (dz), wyrażał zdziwienie, że redaktorzy radiowi przygotowujący tę listę mają własnych ulubieńców i nie mogą zrozumieć inklinacji słuchaczy do głosowania na kogo innego Nie jestem bynajmniej zwolennikiem tejże listy, czemu dałem wyraz przed dwoma tygodniami pisząc felieton, który ukazał się okraszony zdjęciem Mieczysława Fogga, o którym nie dość że nie było tam żadnego słowa, to nawet brakowało jakiegokolwiek bliższego skojarzenia treści z osobą nestora naszych piosenkarzy. I oto w któryś czwartek czytam w „Zwierciadle młodych" zamieszczoną tam notatkę, z której niedwuznacznie wynika, iż redaktorowi (dz) nie podoba się piosenka w wykonaniu nowego wokalisty grupy „Budka Suflera" — Felicjana Andrzejczaka zatytułowana „Jolka, Jolka, pamiętasz" Autor dziwi się, że młodzież jest zachwycona tym właśnie utworem, a nie piosenką Maanamu, która jemu z kolei się podoba.

4.

Ostatnio zostałem — wraz z kompozytorem Jackiem Malinowskim — zaproszony przez Redakcję Muzyki Rozrywkowej w Warszawie do komentowania propozycji do Radiowej Listy Przebojów. Przez cały ubiegły tydzień, codziennie o godzinie 17,20, na antenie programu I wygłaszaliśmy swoje uwagi na temat prezentowanych nam nowych piosenek, których wachlarz — trzeba przyznać — był dosyć różnorodny. W dyskusji na temat muzyki młodej generacji, jaka się któregoś dnia wywiązała, wyraziłem opinię, że w obecnej sytuacji, w dobie ekspansji rocka, możemy i musimy liczyć przede wszystkim na ową „naturalną selekcję" ze strony młodzieży, która jest głównym adresatem tej muzyki. Nie dla nas, kilkanaście lat starszych, jest ona przeznaczona, ale chcielibyśmy, aby młodzi słuchacze wykazali pewną dojrzałość w odbiorze, akceptując to, co reprezentuje określony poziom artystyczny, a odrzucając pozycje poniżej tego poziomu. Niestety, pozostaje to jak na razie jedynie pobożnym życzeniem, co potwierdzają m. in piosenki z Listy Przebojów Programu III. „Jolka, Jolka, pamiętasz" to utwór od paru tygodni znajdujący się na jej szczycie. Rozmawiałem z młodzieżą — im się ten numer naprawdę podoba.

5.

Poczynania Romualda Lipko i „Budki Suflera" obserwuję prawie od początku i autentycznie spora część muzycznych propozycji zespołu przypadła mi do gustu. Nie wiem, kto jest twórcą „Jolka, Jolka, pamiętasz" — muzyka poprawna wprawdzie nie może być jednak uznana za szczytowe osiągnięcie, natomiast tekst... Kto nie zna, niech posłucha. „Jolka, Jolka, pamiętasz lato ze snu, gdy pisałaś: tak mi źle, urwij się choćby zaraz, coś ze mną zrób, nie zostawiaj tu samego mnie..." Staram się tutaj nie podawać zwrotów wyrwanych z kontekstu, choć może już teraz nie wszyscy w to wierzą. „Żebrząc wciąż o benzynę gnałem przez noc..." — tutaj dowiadujemy się, że bohater nie opłacił prawdopodobnie ubezpieczenia za samochód, co pozbawiło go odpowiedniego załącznika. „Silnik rzęził ostatkiem sił..." — zupełnie tak samo, jak wykonujący tę piosenkę solista — „aby być znowu w tobie, śmiać się i kląć, wszystko było tak proste w te dni" O prostocie w tym bynajmniej nie prostym tekście będzie jeszcze mowa „Dziecko spało za ścianą czujnie jak ptak — niechaj Bóg wyprostuje mu sny, powiedziałaś, że nigdy, że nigdy aż tak słodkie były jak te twoje łzy". Składnia co najmniej nowatorska. „Plażą szły zakonnice, a słońce w dół wciąż spadało nie mogąc spaść..." — w całkowitym przeciwieństwie do poziomu tego poetyckiego obrazu znad morza. I dalej: „Mąż tam w świecie za funtem odkładał funt na Toyotę przepiękną aż strach". Oj, strach, ale nie tego auta, tylko „przepięknej" polszczyzny. „Mąż twój wielbił porządek i pełne szkło (o co chodzi — nikt nie wie — przyp. K. D.), narzeczoną miał kiedyś jak sen — z autobusem Arabów zdradziła go, nigdy nie był już sobą, o nie" Ciekaw jestem, jaką rolę w tej zdradzie odegrała rura wydechowa wspomnianego autobusu. Teraz będzie woda zamiast metafory: „W wielkiej żyliśmy wannie i rzadko tak wypełzaliśmy na suchy ląd...", a teraz dla odmiany — wóda: „Czarodziejka gorzałka tańczyła w nas, meta była o dwa kroki stąd". Na szczęście do mety tego tekstu też już nie jest daleko „Nie wiem ciągle dlaczego zaczęło się tak, czemu zgasło też nie wie nikt, są wciąż różne koło mnie, nie budzę się sam, ale nic nie jest proste w te dni ." Reszta jest milczeniem. I chwała za to autorowi. Jeszcze tylko refren: „Emigrowałem (tak, tak, nie ma pomyłki — przyp. K. D.) z ramion twych nad ranem, dzień mnie wyganiał, nocą znów wracałem. Dane nam było słońca zaćmienie, następne będzie może za sto lat" Mamy tu do czynienia nie tyle z klasycznym, ile raczej z krańcowym przykładem grafomanii. I to właśnie podoba się polskiej młodzieży z końca 1982 roku. Więc widocznie tak się teraz pisze. Chyba sam spróbuję, by przekonać się, czy to trudne. Może — ku swemu zdziwieniu — też tak potrafię.

6.

Tymczasem Czytelnikom, a zarazem słuchaczom piosenek, życzę w nowym roku wielu jeszcze zdziwień. Ale wyłącznie takich in plus.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI ■

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Kostka Rubika

Istnieje pogląd, iż krytyk literacki musi kiedyś napisać powieść albo wydać tomik wierszy. Jeśli nawet nie każdy to czyni — to praktyka pokazuje, że wielu ludzi zajmujących się zawodowo komentowaniem tekstów literackich wcześniej czy później chwyta za pióro, aby niejako dać przykład jak należy zmagać się z oporną materią słowa i idei. Ostatnio zdarzyło się to Wiesławowi Pawłowi Szymańskiemu, krytykowi i historykowi literatury, wyspecjalizowanemu w problematyce dwudziestolecia międzywojennego, docentowi Uniwersytetu Jagiellońskiego. Opublikował on właśnie pisaną w latach 1977—1979 trzytomową powieść o Czesławie Miłoszu. Tak przynajmniej utrzymywała kawiarniana plotka literacka z czasie, kiedy fragmenty powieści drukowane były w czasopismach. Tak też utrzymuje większość recenzentów i dzisiaj, gdy możemy przeczytać powieść w całości.

Czy rzeczywiście jest to książka o Czesławie Miłoszu? I tak, i nie. Tak — bo wystarczająco dużo biograficznych epizodów jej bohatera, Grzegorza, przypomina Miłoszowe dzieje. Nie — bowiem jest to rzecz w zamyśle bardziej ambitna: o pewnej formacji intelektualnej możliwej do ukształtowania się tylko w naszych, polskich, uwarunkowaniach, ale rzuconej od razu na szerokie tło kultury europejskiej. Tę też sprawę symbolizować ma tytuł powieści — „litewski niedźwiedź", oglądający i podziwiający w blaskach słońca słynną gotycką katedrę w Paryżu, Notre-Dame, to po prostu Grzegorz, wkraczający w system wartości wytworzony przez krąg śródziemnomorza. W świat ten, świat mitu, Grzegorz wkracza ze świadomością — towarzyszącą zresztą i jego otoczeniu, bo w końcu w okresie międzywojnia bardzo rozpowszechnioną — iż **„kultura starej Europy się wypala"**, czego najbardziej skrótowym, trwającym zaledwie przez mgnienie oka, potwierdzeniem okaże się obserwacja uciekającego z niemieckiego transportu i skaczącego do Wisły jeńca: *„ów wybrany przez skaczącego łuk przypomniał mu fragment wiersza (...) o katedrze odrzuconej w górę, ale ten łuk był łukiem katedry gotyckiej odrzuconej w dół, dopiero w ostatniej chwili wspaniała konstrukcja lotu uległa niewielkiemu, choć błyskawicznemu załamaniu..."* Spengler Ortega y Gasset, Sorokin, katastrofizm „Zagarystów" — to duchowy pokarm sporej ilości bohaterów „Niedźwiedzia w katedrze", z jednej strony przewrażliwionych Europejczyków poddających się sugestiom filozofów kultury, z drugiej jednakowoż bystrych obserwatorów zachodzących w otoczeniu — tym bliższym i dalszym — zmian i szaleństw oraz powrotu barbarzyństwa. Jakże chętnie więc poddawano się przekonaniu o zmierzchu kultury europejskiej, o kryzysie wartości, o zagładzie wszelkich znaczących w rozwoju cywilizacyjnym systemów myślowych, wierząc jedynie w nieśmiertelność (i to też przecież ograniczoną) sztuki. Jednocześnie jednak starano się dostrzec w tym świecie jakieś prawa, jakąś logikę pokonującą chaos, oscylując między racjonalizmem i fideizmem, skoro doświadczenie intelektualne uświadamiało iż *„rozum nie wszystko jednak otworzy i nie wszystko pozna"*, skoro pracownia intelektualisty okazywała się śmietnikiem pełnym rupieci i bibelotów równie nieprzydatnych jak te, zgromadzone w ciasnej izbie gotyckiej doktora Fausta:

Gdzie od posadzki do samej
powały
Pstrzą się w ścisku całe
góry książek,
Gdzie zakopconych
pergaminów zwały
Kurz warstwą kryje, mól
i robak drąży.
Bezużytecznych szkieł i retort
skład
Zapchany mnóstwem
dziwnych instrumentów,
Pełen domowych po
pradziadach sprzętów,
Oto twój świat!... A więc to
ma być świat?

(przekład F. Konopka)

Nie przypuszczał chyba olimpijczyk Goethe, że wygłaszany po dużej wódce monolog Fausta może się okazać niezłym zabiegiem terapeutycznym dla ludzi zawieszonych między światem wyobrażeń, światem prawdopodobieństwa a nieubłaganą rzeczywistością. A więc niezgoda na t a k i (zastany, odziedziczony, współkształtowany) świat przez jednych topiona w alkoholu, przez innych krzepiona lekturą klasyków literatury, jeszcze innych inspirująca do wysiłku, aby człowieka i jego rzeczywistość określić, opisać, zrozumieć. Można powiedzieć, że bohater „Niedźwiedzia w katedrze" należy do tej ostatniej kategorii. Jego wysiłki zmierzają w kierunku myślenia historycznego. Przygotowuje bowiem książkę o Maurycym Mochnackim, książkę, która byłaby nie tylko monografią myśliciela i działacza, ale również wyjaśniałaby sto kilkadziesiąt ostatnich lat polskiego losu. Pracę przerywa wojna, rękopis przepada, los się gmatwa.

Traktowanie „Niedźwiedzia w katedrze" jako *vie romancée* Czesława Miłosza byłoby chyba przesadą zatrącającą po trosze o sensację. Wprawdzie Szymański oparł dzieje Grzegorza o wydarzenia z życia autora „Doliny Issy", wprawdzie czyni aluzje do jego twórczości, niekiedy nawet bardzo konkretne (przedstawiając na przykład szczegółową genezę wiersza „Campo di fiori", nie wymienionego zresztą z tytułu), postać i twórczość laureata literackiej Nagrody Nobla anno 1980 nie wykraczają jednak — moim zdaniem — poza rozbudowaną i wygodną pretekstowość przy konstruowaniu ideowych perypetii literatury polskiej ostatniego półwiecza i życiowych przygód jej twórców. Nawet przeciętnie obeznany z tą literaturą czytelnik odnajdzie w powieści Szymańskiego postaci wzorowane na Jarosławie Iwaszkiewiczu, Julianie Przybosiu, Zofii Nałkowskiej, Marii Dąbrowskiej, Kazimierzu Wyce, Jerzym Putramencie i na jeszcze kilku innych pisarzach. Oczywiście nie wszyscy posiadają kryptonimy, przykładowo Irzykowski, Gombrowicz, Witkacy żyją na kartach powieści pod własnymi nazwiskami. Kryptonimy przeważnie są stosunkowo przejrzyste, bez trudu można się zorientować, że „Informacje Literackie" to „Wiadomości Literackie" itd.

„Niedźwiedź w katedrze" nie jest środowiskową powieścią z kluczem, choć mniej wnikliwy czytelnik na formule powyższej może poprzestać, zajęty poszczególnymi pisarskimi losami. Materia powieści Szymańskiego jest bardziej złożona — poszczególni bohaterowie są zazwyczaj zlepkiem cech wielu prawdziwych postaci, ich postawy indywidualne wypadkową sytuacji całego środowiska literackiego, a poczynania ich wywodzą się tyleż z konkretnych faktów historyczno-literackich, co i legendowej aury. Owe przetworzenia konieczne są nie tylko po to, aby zaistniało dzieło literackie czyli wytwór fikcji, potrzebne są również w celu wydobycia prawdy syntetycznej o postawach czołowych intelektualistów polskich minionych lat. Jeden z recenzentów napisał, że Szymański szuka prawdy o epoce — zgoda, tyle tylko, że epoka owa bardzo się w czasie rozciąga od Mochnackiego do Miłosza. Bowiem w powieści Wiesława Pawła Szymańskiego historia jest wszechobecna, to ona wytycza kierunek twórczości, ona jest nieubłaganą korektorką, jej miażdżące tryby są nieubłagane również dla pisarzy. Ową wszechpotężną presję historii uwidacznia zabieg najprostszy z możliwych: maniera stylistyczna mieszająca czasy, postacie, sytuacje. W jednym zdaniu obcują, oddzielone przecinkiem, wątki dotyczące Maurycego Mochnackiego, życia literackiego w dwudziestoleciu międzywojennym wątki okupacyjne, powojenne, a także sporo rzeczy najnowszych. Takie przemieszanie planów czasowych i fabularnych scala wydarzenia w jakieś wyższe układy czy porządki, historiozoficzne, cywilizacyjne, kulturowe, psychologiczne. Jednocześnie wymaga od czytelnika zwiększonej uwagi, jeśli nie chce on zwyczajnie przegapić wszystkich skojarzeń lub zestawień tworzących pomosty między dawnymi a nowymi laty, między odrębnością „ja" a typowością zbiorowości, między kostiumem historycznym a aktualiami.

Gatunkowo jest „Niedźwiedź w katedrze" tworem niejednolitym — panuje tu znaczne gatunków pomieszanie. Jest to bowiem powieść i biograficzna, i środowiskowa, i psychologiczna, i autotematyczna również. Pokazuje przecież jak można tworzyć literaturę z obcowania z literaturą, jak można szukać własnej tożsamości poprzez lekturę różnych tekstów literackich.

Literatury jako przedmiotu rozważań jest zresztą w „Niedźwiedziu w katedrze" sporo: dosłowne cytaty i aluzje, streszczenia dyskusji i artykułów, przypomnienie poszczególnych znaczących orientacji literackich i polemik wokół zróżnicowanych stanowisk — wszystko to uzmysławia jakąś bezsilność, wręcz nieprzydatność literatury, coraz większy jej rozbrat z tym, co się wokół rozgrywa. Bezradność twórcy — takim oto podtytułem można by chyba z powodzeniem opatrzyć powieść Wiesława Pawła Szymańskiego. Jej tytułowy bohater do końca przecież pozostał twórcą bezradnym. Od litewskich Trojanek, poprzez Warszawę, Paryż do względnie spokojnego azylu w uniwersyteckim mieście nad Zatoką San Francisco wiodła go właśnie bezradność wobec bogactwa życia połączona z przemożną chęcią zrealizowania własnego protestu, zaznaczenia swej odrębności, podkreślenia roli indywiduum, jaką ma ono ciągle jeszcze do spełnienia.

Gdyby na użytek recenzji oddać w sposób najbardziej zwięzły sens tej powieści można chyba zacytować jedno z jej końcowych zdań, w którym zawarta została konkluzja, coś w rodzaju *curriculum vitae* Grzegorza: *„życie ludzkie rozpięte jest między t a k a n i e, między tym, co zwie się rzeczywistością, a tym, co jest złudzeniem"*. I z tych to komponentów (by nie rzec: stereotypów) zbudował swoją powieść Wiesław Paweł Szymański, traktując je na podobieństwo kwadratowych pól modnej dziś bardzo kostki Rubika — spróbujmy je dowolnie układać, może w końcu pozwolą się nam ułożyć według jakiegoś wzoru.

■

W. P. Szymański: Niedźwiedź w katedrze. t. I Sonata na fortepian s. 210; t. II Słońce w Pirenejach s. 228; t. III Most nad Zatoką s. 189; Czytelnik, Warszawa 1981, nakład 10 320 egz., cena t. I/III zł 100. —

Dom

MIROSŁAW KUŹNIAK

Dom, w którym mieszkam (nie nazywam go moim nawet w myślach), leży na przecięciu dwóch najważniejszych arterii miasta. Jest duży, nie większy jednak od nowoczesnych wieżowców, które wylęgły się nieco dalej. Nie ma on nic wspólnego z tamtymi, wygląda przy nich jak usmolony garkotłuk przy butikowej pannie. Jego ciemne mury, z opadłym gdzieniegdzie tynkiem ani się umywają do kolorowych — zwłaszcza tuż po budowie — bloków. A przecież Dymowscy za nic w świecie nie zrezygnowaliby z mieszkania w tym domu. Zresztą nie tylko oni. Zbudowany niemal przed pół wiekiem, mieści w sobie pokoje o metrażu wprost nieprzyzwoitym, a w każdym razie wykraczającym poza wszelkie normy. Tylko dzięki temu udało się niektóre z nich przekształcić w pracownie malarskie. Kiedyś tych pracowni było dużo, jeszcze więcej artystów chętnych do ich zajęcia, z czasem jednak starsi powymierali, a młodsi uciekli w cichsze zakątki miasta. Pozostali najwytrwalsi, których ten dom wciąż był żywym przypomnieniem młodości, pierwszych malarskich wtajemniczeń, sukcesów i porażek. Do nich należał Artur Dymowski.

Gdy po raz pierwszy przyszedłem do Anny, byłem oczarowany rozległością pomieszczeń, przestrzenią, której tak mi zawsze brakowało w ciasnym pokoju akademickim, dzielonym z dwoma kolegami. Artur Dymowski umiał urządzić swoje mieszkanie. Ściany obwieszone obrazami i bronią, ciężkie portiery na oknach, meble obite ciemnymi pluszami stwarzały nastrój powagi i solidności, tak, właśnie dziewiętnastowiecznej, mieszczańskiej trwałości, podkreślonej dodatkowo setką drobiazgów, secesyjnych figurek, dzbanuszków i innych bibelotów, poustawianych na każdym wolnym miejscu. Stało to wszystko i kurzyło się z obojętną regularnością, z takąż samą regularnością matka czyściła je i odkurzała.

Gdy wprowadzaliśmy się z Anną do wybranego przez ojca pokoju, z satysfakcją zobaczyłem, że Dymowscy opróżnili go całkowicie, zostawiając nam dosłownie gołe ściany. Przyznaję, że byłem ujęty ich delikatnością, ale rychło na ścianach pojawiły się obrazy ojca, a w pokoju panieńskie sprzęty Anny. Gdybym miał wtedy pieniądze na nowe meble, może bym bardziej zdecydowanie protestował. Ale nie miałem. Anna była zadowolona.

— Zobacz, wszystko wygląda tak jak było przedtem, nic się nie zmieniło.

Powstrzymałem się od powiedzenia, że jednak nieco się zmieniło, choćby poprzez fakt, że ja jestem, ale Anna wyglądała na tak szczęśliwą, że nie chciałem jej psuć nastroju. Pamiętałem dobrze jej zgoła nieoczekiwaną reakcję, gdy któregoś dnia zdecydowałem się wspomnieć o jej przyrzeczeniu kontynuowania studiów. Czas był po temu sposobny, zaczynał się drugi, zimowy semestr.

— Zwariowałeś? — Anna była oburzona. — Teraz? W trzy miesiące po ślubie? Daj mi trochę odpocząć. A zresztą, myślisz, że ja nie pracuję? Nie zdajesz sobie sprawy, ile pracy musimy z mamą włożyć w utrzymanie tego domu. Przedtem był tylko ojciec, a teraz jesteś ty... Och, mężczyźni nigdy tego nie zrozumieją!

Starałem się zrozumieć. Rychło doszedłem do wniosku, że tamta rozmowa była zupełnie niepotrzebna. To nie tylko Anna cieszyła się z mojej ustabilizowanej, unormowanej godzinami pracy, to ja także w głębi duszy nie chciałem, nawet nie pragnąłem, żeby Anna wychodziła z tego domu, żeby szła tam, gdzie mnie nie będzie... Aż tak jesteś o nią zazdrosny, Michałku? — zadałem sobie pytanie i poczułem gdzieś tam w środku rodzącą się pretensję do Anny. O co? Diabli wiedzą. Chyba nie o to, że ją kocham...

Na przekór sobie polubiłem mieszkanie Dymowskich, to nie znaczy, że czułem się tam dobrze, przeciwnie, od początku te wielkie pokoje przygniatały mnie, krępowały i drażniły swoją obcością. Ala Anny każdy mebel, każdy bibelot miał swoje dzieje, swoją historię, z każdym z nich czuła się związana w jakiś niepojęty dla mnie sposób, którego nie umiałem przeniknąć ani zrozumieć. W jej opowiadaniach o nich pojawiały się osoby, których nie znałem, sprawy, których nigdy nie dane mi będzie przeżyć... Dopiero niedawno uświadomiłem sobie, że ja nie czuję się związany z żadnym drobiazgiem, o którym mogłbym uczciwie powiedzieć, że jest mój, co wcale nie musi oznaczać prostej zależności, zwykłego stanu posiadania. Anna również nie traktowała tak swoich bibelotów. Po długim namyśle doszedłem do wniosku, że w tym wypadku „mój" znaczy wpisanie historii każdej z tych rzeczy w swoje życie. Sprobowałem nawet coś takiego odnaleźć w pamięci i... poczułem się zaskoczony, niczego nie odnalazłem. Kołatał mi się w pamięci obraz jakiegoś zegara, przywiezionego przez ojca z jarmarku do domu. Ów zegar stał się powodem piekielnej awantury między rodzicami, w której jak zwykle przeważył rozsądny głos matki. Matka nie znosiła niepotrzebnych jej zdaniem zakupów. Była oszczędna. Zegar mimo moich nieśmiałych protestów powędrował na strych, a ja za wtrącanie się w sprawy dorosłych zostałem natychmiast ukarany dyscypliną, wiszącą stale na ścianie w sieni. Po odejściu ojca, to znaczy, po jego haniebnej ucieczce z panią Polą, matka wyciągnęła jednak zegar ze strychu odkurzyła go i postawiła w kącie. Odtąd ilekroć na niego patrzyłem, wspominałem... nie, nie awanturę — ojca... Potem przez długi czas trwał ten zegar, w mojej pamięci. Gdy odjeżdżałem do miasta, stał na swoim miejscu, wielki, czarny, z posrebrzaną tarczą i płaskim jak talerz wahadłem...

W akademiku, w którym mieszkałem przez całe studia, każdy objaw przywiązania do jakiegoś przedmiotu bywał natychmiast wyszydzany przez kolegów. W zbiorowisku tak różnych ludzi musi w którymś momencie nastąpić kodyfikacja nie spisanych, a przez to nawet trwalszych, praw. Inaczej, wszystko ginie, rozpada się w totalnym bałagnie. W moim akademiku obowiązywała wspólnota dóbr doczesnych. Na pierwszym roku byłem zachwycony, potem konieczność dzielenia wszystkiego z wszystkimi — męczyła. Na ostatnim roku stało się po prostu uciążliwe, ale nie mogłem się już wyłamać. Młodzi znów byli zachwyceni... W każdym razie doszedłem do przekonania, że nie opłaca się nawet kupować potrzebnych książek, ponieważ istniała niemal pewność, że zaraz poznikają w innych pokojach, rozpełzną się po całym osiedlu i nigdy już nie trafią z powrotem do prawowitego właściciela. Nic więc dziwnego, że w domu Dymowskich poczułem się niemal zdruzgotany ilością drobiazgów należących t y l k o do Anny, t y l k o do ojca, tylko... do mnie. Tak, bo Anna zaraz na drugi dzień po ślubie rozpoczęła skupowanie zupełnie niepotrzebnych przedmiotów. Z przerażeniem patrzyłem, jak wraca ze sklepów obładowana lakowym Buddą, drewnianą głową Chrystusa Frasobliwego, dziełem anonimowego ludowego twórcy, dzbanuszkiem bez ucha ze ślicznie wymalowaną parą zakochanych, nachylających się wdzięcznie ku sobie głowami... Na mój nieśmiały protest wobec tego szaleństwa Anna ze zdumieniem szeroko otworzyła oczy.

— Nie rozumiesz, że z tego tworzy się dom... — tłumaczyła mi ze śmiertelną powagą.

— Z dzbanuszków?

— Owszem.

— Z Buddy?

— Dlaczego nie?

Czułem się pokonany.

— To będzie szalony dom.

— Już jest! — Anna śmiała się szczęśliwa, że tak łatwo się poddałem i zaakceptowałem jej nieprawdopodobne zakupy. Oczywiście, Buddę i resztę drobiazgów obejrzał ojciec. Na dzbanuszek ledwo spojrzał, taki sam los podzielił lakowy Budda, nieco więcej uwagi poświęcił Frasobliwemu. Nie był zachwycony, nawet nie musiał nic mówić. Anna jednak czekała na pochwałę. W końcu zdołał coś tam wybąkać. Anna była rozczarowana.

Po jego wyjściu powiedziała, nie patrząc na mnie:

— Ojciec nie lubi, jak coś przybywa w domu bez jego wiedzy... No cóż, teraz będzie musiał się z tym pogodzić.

■

Fragment powieści, która ukaże się w przyszłym roku.

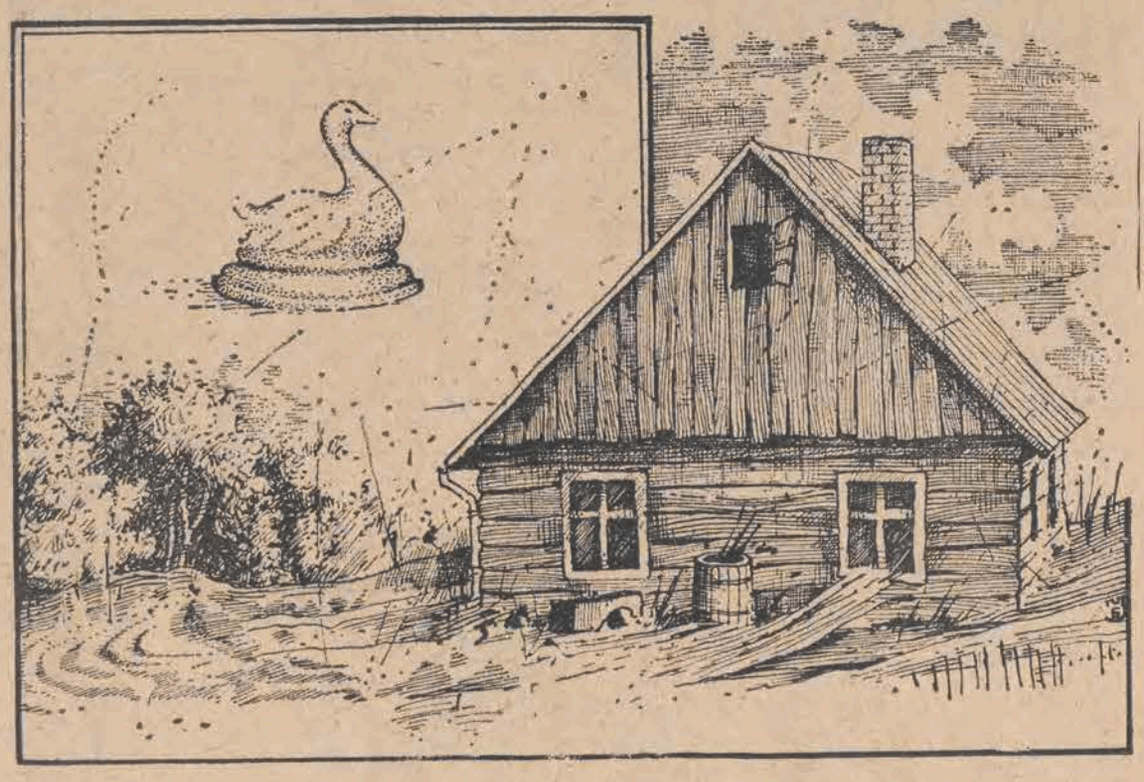

Rys.: Janusz Szymański-Glanc

Gwiazdy na Nowy Rok

BOHDAN GADOMSKI

TA STRASZNA BABA

IRENA

Z Ireną Dziedzic umawiałem się na spotkanie tuż przed jej ostatnim występem w roli prezenterki na Festiwalu Interwizji w Sopocie. Jeszcze była kierownikiem działu kultury DTV, jeszcze była szefową „Tele-Echa" i... jeszcze była cesarzową polskiej TV. Przygotowując się do sopockiej gali, a że traktowała ten występ bardzo poważnie, prosiła mnie o przełożenie wywiadu dla „ITD" na wrzesień 1980 roku. — Muszę wypocząć — oświadczyła — aby sztuczne rzęsy dobrze się trzymały i jakoś wyglądały przed kamerami Interwizji. Znakomita dziennikarka, specjalistka od wywiadu telewizyjnego, uprzedziła mnie: „Chyba pan wie, a jak nie wie, to niech się dowie, że w robocie, to ja jestem siekiera".

Wiedziałem o tym, dlatego do spotkania z Ireną Dziedzic przygotowywałem się szczególnie wnikliwie, przeprowadzając kilkanaście wywiadów pomocniczych na temat jej osoby. Najcenniejsze były informacje od kolegi ze studiów i zaufanej przyjaciółki pani Ireny.

Po sierpniu '80 i po ostatnim jak do tej pory Festiwalu Interwizji w Sopocie o pani Irenie wiedziano, że jest nie tylko wybitną dziennikarką, wspaniałą prezenterką estradową, ale i przewidującym politykiem. Wolała się wycofać zanim by jej podziękowano. Skompromitowana w prasie przez Janusza Ratzko, który wydobył na światło dzienne akta jej dawnych spraw sądowych i opatrzył odpowiednim komentarzem, wycofała się także z TV i czynnego życia dziennikarskiego. Do czasu, kiedy to poróżniła się z Jerzym Połomskim, prowadziła jego estradowe recitale. Ale już pełna obaw, nieufności do wszystkich i wszystkiego, nie opuszczała apartamentu w łódzkim Hotelu „Centrum" nawet na posiłki, które przywożono jej do pokoju.

Zabarykadowana w swoim super-luksusowym segmencie na Saskiej Kępie w Warszawie, ogrodzonym siatką z najnowocześniejszymi urządzeniami alarmująco-zabezpieczającymi, w przepysznie urządzonych apartamentach, czuła się bezpiecznie. Jej obaw nie podzielała jednak służba, bo któż zgodziłby się na zupełną izolację i zerwanie kontaktów nawet z rodziną?

„Irena jest wielka i wspaniała", powiedziała do mnie pewna znana aktorka, a jej bliska przyjaciółka, ale jest taka samotna...

W sytuacji, jaka powstała, do spotkania na ringu prasowym z Ireną Dziedzic nie doszło. I może nawet nie dlatego, że Dziedzic tego nie chciała, ale przede wszystkim dlatego, że dojść już nie mogło. Była przecież z góry skazana na przegraną. Od siebie mogę tylko dodać, że w prywatnej rozmowie jest wyciszona, choć rozgadana, sentymentalna, choć twarda. Fascynująca kobieta, która odeszła zbyt wcześnie z parnasu naszych największych super-star...

A oto nie zmieniona do dziś wersja mojego scenariusza rozmowy z Ireną Dziedzic. Pytania konkretne i określające ją bardziej niż może sama by to zrobiła. Ale konwencja wywiadu — ring, pozwalała na zastosowanie różnych chwytów, stawka była wysoka: paść lub wygrać. Trafiła kosa na kamień.

— Pracę rozpoczynała Pani bardzo prozaicznie, bo jako barmanka w Barze „Feniks". Czy pamięta Pani ten bar?

— ...

— Na studiach w Krakowie szło Pani dobrze, ale po dyplomie nie najlepiej. Będąc początkującą dziennikarką prasową (Wrocław, 1947 rok), została Pani wyrzucona z redakcji dziennika za przeprowadzenie fikcyjnego wywiadu z wielką osobistością wojskową, bodajże w stopniu marszałka. Ale Pani to jednak nie załamało?

— ...

— Zawsze miała Pani wielki tupet. Przykładem — wejście do TV. Barbara Marszel, pierwsza spikerka TVP, nie zdążyła się nawet zorientować, kiedy zamknęła się Pani w studio spikerskim na klucz, odsyłając zdumioną Marszel do domu na bezterminowe zwolnienie. Nie dziwię się teraz przydomkowi dla Pani: „kobieta-gangster".

— ...

— Później wymyśliła Pani „Tele-Echo". Gdyby np. mnie tam Pani zaprosiła — odmówiłbym, bo po co udawać, że się odpowiada na pytania, jeżeli odpowiedzi są z góry wyuczone na pamięć, a całość wyreżyserowana (przez Panią) i nie było mowy o wychyleniu się poza ramki schematu i salonowość rozmowy.

— ...

— Oprócz dzieci, tkaczek, dyrektorów i Pani znajomych, było w „Tele-Echu" kilka wybitnych osobistości i osobowości. Wiem, że czasami czuła się Pani pokonana. Ciekawy jestem, czy teraz padną jakieś nazwiska?

— ...

— Niełatwo Panią pokonać. Nawet były prezes Komitetu d.s. Radia i TV, Maciej Szczepański, miał z Panią trudności. W pierwszym tygodniu jego pracy, na liście zwolnionych pracowników figurowało nazwisko... Dziedzic Ireny. Ale Pani do TV szybko powróciła. Nie zapytam w jaki sposób się to Pani udało, bo i tak mi Pani nie odpowie. Ale zapytam o satysfakcję Pani z nagrody przyznanej przez przewodniczącego Radiokomitetu za wybitne zasługi?!

— ...

— Kto projektował Pani bajeczne kreacje na Festiwale Interwizji w Sopocie?

— ...

— Kto finansował?

— ...

— Ile zapłaciła Pani firma produkująca futra z lisów za reklamę ich wyrobu w Sopocie? O, to była profesjonalna robota zawodowej modelki, kurs przeszła Pani w Paryżu?

— ...

— Na festiwalu w Sopocie zdominowała Pani nie tylko Jacka Bromskiego, który mi się na tę dominację uskarżał. W pofestiwalowej recenzji czytamy: „Irena Dziedzic wyraźnie dawała do zrozumienia, że piosenkarze Festiwalu Interwizji nie przeszkadzają jej w występach". Wszyscy Pani Ireno? Bez wyjątku?

— ...

— Po sopockiej gali pozostały Pani trasy estradowe po kraju, takie chałtury, jak to Wy nazywacie. Pani lubiła na nie jeździć i to często, z Jerzym Połomskim, jako prezenterka jego recitalu. Pytałem pana Połomskiego o szczegóły Waszych występów, ale odpowiadał mi: „nie wiem, nie pamiętam, nie mogę odpowiedzieć". Jak Jak Pani sądzi — dlaczego był taki wystraszony?

— ...

— Odkąd się pokłóciliście, już nie może Pani nikogo publicznie strofować. Pamiętam, jak kiedyś na koncercie estradowym zdenerwowała się Pani zachowaniem pewnej osoby na widowni i powiedziała: „Prosze pani, niech pani sobie da spokój z tą lornetka i przesiądzie się do pierwszego rzędu, tu lepiej widać — ile mam zmarszczek". I co — przesiadła się?

— ...

— Ale w TV jednak bała się Pani zbliżeń kamery i uzyskała specjalne zezwolenie na filmowanie przez raster (urządzenie rozmazujące) nakładany na objektyw kamery. Co by to było — gdyby nowy prezes Radiokomitetu nie wyraził zgody?

— ...

— Co będzie Pani robić na emeryturze?

— ...

— Jestem rozczarowany odpowiedzią, bo myślałem, że będąc w przedsionkach najwyższych szczebli władzy w tym kraju, zechce Pani pójść w ambasadory?

— ...

— O, wygląda Pani już na zmęczoną.

Irena Dziedzic jest rzeczywiście zmęczona, po procesach i potyczkach prasowych z Januszem Ratzko, rozpoczęła nowy bój, tym razem z Ryszardem Markiem Grońskim na łamach „Polityki". Wszystkich jednakowo straszy sądem. Może dlatego, że z wykształcenia jest prawnikiem? Ale czy to pomoże pani Irenie w odzyskaniu twarzy i nazwiska? Nie jestem przekonany, a Ty Czytelniku?

MĘCZENNICA

VIOLETTA

Pozornie wydawałoby się, że na temat legendarnej już, a na pewno jedynej w swoim rodzaju pieśniarki („głos taki zdarza się raz na 100 lat"!), Violetty Villas napisałem już wszystko. A jednak..., gdy zajrzałem do teczki z jej nazwiskiem, spostrzegłem wiele notatek, z których można by stworzyć jeszcze jedną opowieść, ba! napisać scenariusz filmowy lub książkę. Powracam więc do jej osoby raz jeszcze, od kulis.

Kiedy w 1979 roku skontaktowałem się po raz pierwszy telefonicznie z Violettą Villas, przeżyłem nie mniejszy szok, aniżeli w czasie już bezpośrednich, wielogodzinnych spotkań sam na sam w jej zakratowanej i tajemniczej willi w Magdalence pod Warszawą.

Głos w słuchawce wydawał się jak zza siedmiu światów, choć można było rozpoznać do kogo należy.

— Umieram, potrzebuję pomocy — szeptała Violetta Villas w słuchawce.

— Ale co się stało Pani Violetto?

— Chciałam napalić w piecu, ale nagle zasłabłam i później zaczadziałam.

— Nie wzywała Pani pogotowia, lekarza?

— Nie, bo wstydziłam się, nie chciałam, aby zobaczyli mnie w takim stanie. Nie mogę już dłużej z panem rozmawiać, bo czuję, że opuszczają mnie siły. Proszę zatelefonować za kilka dni, gdy będę zdrowsza.

Przerażony stanem ulubionej artystyki poczułem się w obowiązku zawiadomić o fakcie Pogotowie Ratunkowe w Łodzi, które odesłało mnie do dyżurnego lekarza miasta Warszawy. Z kolei ten uspokoił mnie słowami: znamy te liczne histerie gwiazd, ona jest na pewno pijana, niech się pan nie przejmuje, ale zadzwonimy tam.

Kiedy późnym wieczorem raz jeszcze połączyłem się z mieszkaniem Violetty Villas, telefon odebrał jej 23-letni syn, który uspokoił mnie, bo właśnie przyjechał z wojska na przepustkę, jest przy mamie i wie, co należy w takich sytuacjach robić.

Było to moje pierwsze spotkanie z Violettą Villas. Przez następne trzy miesiące prowadziłem z artystką rozmowy telefoniczne, podczas których dowiedziałem się o niej wiele, ale wszystko było podane w tonacji bardzo łzawego melodramatu. I kiedy już byliśmy bliscy ustalenia terminu spotkania, nieopacznie zasugerowałem Villas, aby obejrzała w Tv nowy recital Zdzisławy Sośnickiej i zwróciła uwagę na jej nowy repertuar zgodny z tendencjami światowej mody i nowoczesne podanie piosenek.

— Jak pan śmie porównywać mnie z Sośnicką, która ma usta od ucha do ucha i nie ma prawdziwego piana?!! Nie wiem co pana łączy z tą panią — krzyczała Villas, ale proszę już więcej do mnie nie dzwonić!!

Mimo to — zadzwoniłem. Villas przez dwa miesiące rzucała słuchawkę, a przy okazji obrzucała mnie obelgami. W trzecim miesiącu, doszła do wniosku, że pora zakończyć nasze kłótnie i wyznaczyła termin spotkania.

Kiedy pojechałem pod bramę jej willi, prawie samotnie stojącej w sosnowym lesie w Magdalence, zobaczyłem różową kopertę zaadresowaną na moje nazwisko i przyczepioną do siatki.

„Piszę ten list do pana i płaczę. Dzisiaj nie możemy się spotkać, bo musiałam nagle wyjechać. Sprawa pilna. Wrócę wieczorem, proszę do mnie zadzwonić; to opowiem panu dlaczego i ustalimy termin następnego spotkania".

Wieczorem, Villas opowiadała o włamaniu do willi, o zdewastowanych meblach, o tysiącu innych rzeczy związanych z jej umęczaniem przez nieznane osoby w białych rękawiczkach...

Jadąc ponownie do Magdalenki nie sądziłem, że w tym dniu zostanę przyjęty. Ale oczekiwała mnie niespodzianka. Dębowe drzwi otworzył mi staruszek, który przedstawił się jako kamerdyner pani Villas i... przestąpiłem próg niedostępnego domu.

— Hello, zaraz schodzę — usłyszałem słynny głos na piętrze. — Witam pana w moim domu. Rumcajs — zabawiaj pana. Tylko wypuść Hitlerka do ogrodu. Kamerdyner Rumcajs wysadził kundelka Hitlerka za kratę w oknie i próbował mnie bawić rozmową. Było to zbędne, bo kolorowe pokoje Villas, a szczególnie jej niezliczone portrety na ścianach, a nawet pod szkłem na stole (ten w kąpielowym stroju i pozie sex-bomby) były wystarczająco zajmujące.

Po 25 minutach, zaczęły skrzypieć schody na piętrze i ktoś bardzo powoli, krok po kroku schodził w dół.

Była to sama Violetta Villas.

Na głowie miała swoją słynną perukę w milionach pukli, na niej tiulową czerwoną chustę, z przodu zwisały dwa własne warkocze zaplecione w czerwone tiulowe kokardy. Twarz, ramiona, całe ciało było wysmarowane brązowym podkładem teatralnym. Ostra charakteryzacja twarzy, sztuczne rzęsy u góry i dołu powieki, do nich silny czarny podkład, co przez szkła różowych okularów (-6) potęgowało niesamowitość wyrazową całości.

Strój stanowiła mini-sukienka w biało-czerwoną kratkę o przepastnym dekolcie z przybrudzonymi od farby białymi falbankami wokół. Przy rękawach sukienki białe tiulowe bufki. Na szyi trzy rzędy koralików czerwonych i białych, takie same były przymocowane do białego paseczka w talii. Całość uzupełniały modne ongiś buty „muszkietery" (białe za kolana).

Villas przekrzywiła monstrualnej wielkości głowę, spojrzała spod sztucznych rzęs i różowych okularów, witając mnie słowami: „No i co?".

Tylko jakaś cudowna przytomność umysłu i świadomość wielu trudów, jakie musiałem pokonać, aby stanąć przed obliczem gwiazdy sprawiły, że nie straciłem przytomności.

— O, dzisiaj żadnego wywiadu nie będzie. Jestem chora, całą noc nie spałam. Pisałam, tworzyłam... Piszę wiersze, sztuki teatralne, powieść autobiograficzną... Kiedyś to panu pokażę.

— Jest Pani sławna, uznana, legendarna w swojej popularności i kontrowersyjności. Proszę powiedzieć, czy odpowiada Pani taka legendarna otoczka za życia, w okresie, gdy znajduje się Pani w pełni sił twórczych?

— Legenda, która mnie otacza, przynosi mi coraz więcej bólu i łez. Bo co ja z niej mam? Chyba tylko cierpienia, o których nie mogę powiedzieć, bo pomyślą, że szukam współczucia. Pragnę życzliwości i zainteresowania tym co robię, co jeszcze chciałabym zrobić.

— Ale przecież Pani nigdzie teraz nie śpiewa?

— Nie śpiewam, bo zostałam odsunięta od estrady, telewizji, radia przez pewne osoby. Tylko czasami wyjeżdżam na koncerty estradowe po małych miastach i miasteczkach. Niech się pan kiedyś ze mną wybierze. Zobaczy pan w jakich warunkach występuję. Często nie mam gdzie się umyć, uczesać. Wcale nie wymagam apartamentów i dywanów na scenie, o co mnie posądzano. O moich występach szeroko rozpisywała się prasa, ale nie wspomniano o tym, że towarzyszyła mi pijana orkiestra i przypadkowo skompletowany balet, na co nie miałam żadnego wpływu. Organizator tych „koncertów" postarał się zrobić wszystko, aby mnie oczernić.

— Ale po co Pani te estradowe chałtury, przecież jest Pani milionerką?

— Byłam. W USA miałam wszystko. W kraju moje dolary zarobione ciężką pracą w Ameryce, moja biżuteria, futra, mercedes, nawet ta rozlatująca się willa zawsze były solą w oku dla zawistnych ludzi. Słyszał pan o włamaniach do mojego mieszkania? Okradziono mnie ze wszystkiego. Czy pan wie, że posądzono mnie o sfinansowanie kradzieży? Gdyby nie moja wiara w Boga, chyba nie wytrzymałabym tego wszystkiego, co spotkało mnie po powrocie z Las Vegas.

— Pozornie o Violetcie Villas wszyscy wszystko wiedzą. Czego nie znają „doskonale" poinformowane osoby?

— Nikt niczego o mnie nie wie, bo nikt nie zadał sobie trudu, aby poznać prawdę, sprawdzić uzbierane z różnych źródeł informacje o mnie. A ja czekałam, że przyjdą i zapytają. Nikt nie zna mnie prawdziwej, bo nigdy nie chciał poznać. Mówią, że mam kaprysy wielkiej gwiazdy. Chciałabym spotkać się z osobą która była świadkiem moich kaprysów. Jestem przeciętnie skromna. W pracy wymagam porządku i dyscypliny. W życiu nie znoszę fałszu i zakłamania. Od lat jestem bez pracy i tylko wiara w Boga utrzymuje mnie przy życiu. Ale wybaczyłam wszystkim wszystko, nawet wrogom, bo umieć wybaczać to największa sztuka życia.

Napisałam książkę autobiograficzną „Nie wstydzę się swoich łez" i może tam zainteresowani znajdą mnie taką, jaka jestem naprawdę.

Violetta Villas nie napisała jeszcze ani jednego zdania do wspomnianej książki. Chciała podyktować mi wspomnienia, ale do współpracy nie doszło. W trakcie autoryzacji wywiadu („Z Las Vegas do Pruszkowa") dla tygodnika „ITD", obraziła się na postawione pytanie: kto sprawuje opiekę artystyczną, reżyserską nad jej recitalami estradowymi.

— To ja jestem najlepszym reżyserem dla siebie! Jestem artystką światową i nie potrzebuję żadnego reżysera! Stek wyzwisk i dwa sławetne rzuty we mnie: filiżanką z kawa oraz popielniczką, zakończyły nasze ostatnie spotkanie.

Gdyby nie szczęśliwy przypadek, nie mógłbym dzisiaj opisywać swoich spotkań z Violettą.

Ale żyję i dopisuję najnowszą wiadomość na jej temat. Villas wbrew zapowiedziom nie udała się do klasztoru. Cierpi i modli się w prywatnej kaplicy w podziemiach swojej willi. Pozostawmy ją w tym stanie.

■

Kulisy spotkań z gwiazdami mógłbym otworzyć jeszcze szerzej, ale pozostawię to już do książkowego wydania moich wspomnień.

Niektóre z wypowiedzi gwiazd są oczywiście nieautoryzowane. Komputerowa pamięć pozwoliła mi jednak na wierne ich zakodowanie i obecne przekazanie Czytelnikom „Odgłosów" na „gwiazdkę".

Polemiki • Opinie • Poglądy

Historia i... histeria

Zdziwiłby się niepomiernie przeciętny, czyli „statystyczny" Polak, gdyby mu przed wojną powiedziano, że już w następnym pokoleniu zacznie odżywać kult osoby mającej swego czasu niezbyt wielu zwolenników, a której zasługi dla kraju przez większość współczesnych podawane były w wątpliwość a nawet oceniane zdecydowanie ujemnie. Każdy kto sięga pamięcią w tamte czasy musi zdawać sobie sprawę (bez względu na swoje ówczesne czy dzisiejsze sympatie polityczne), że ogromna większość obywateli żywiła wobec osoby marszałka Józefa Piłsudskiego co najmniej niechęć, jeśli nie nienawiść. Kto temu nie wierzy, niech przejrzy przedwojenną prasę wszelkich odcieni i zada sobie przy tym niewielki trud przybliżonego określenia wpływów partii opozycyjnych.

Gdyby bowiem zsumować sympatyków endecji, socjalistów, ludowców i in., okazałoby się, że co najmniej dwie trzecie, jeśli nie trzy czwarte społeczeństwa głosowało na te właśnie stronnictwa, które — z lewa i prawa — zwalczały „sanację" obarczając Piłsudskiego i jego obóz całkowitą winą za wszystkie społeczne i gospodarcze niepowodzenia, za ogólne zacofanie kraju i kierunek jego polityki zagranicznej.

Wypominano Piłsudskiemu krwawy przewrót wojskowy z maja 1926 r., proces brzeski przeciwko bezprawnie uwięzionym posłom opozycyjnym, brutalne traktowanie, a nawet stosowanie tortur wobec politycznych więźniów obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej, zsyłanych tam bez wyroku sądowego, skrytobójczy mord na generale Zagórskim, odsunięcie generała Sikorskiego polityczny flirt z hitlerowskimi Niemcami grubiańskie i niekiedy obelżywe odnoszenie się marszałka nie tylko do przeciwników, lecz nawet do ludzi z bliskiego otoczenia, wulgarne słownictwo w publicznych wystąpieniach i wypowiadanie ujemnych opinii o narodzie i społeczeństwie...

W niektórych dzielnicach kraju niechęć do osoby Piłsudskiego była powszechna przede wszystkim na ziemiach byłego zaboru niemieckiego. Polacy z tych dzielnic nie mogli mu bowiem darować odwracania się plecami w najkrytyczniejszych momentach narodzin państwa polskiego od Poznańskiego, Pomorza, Śląska, pomijając wrogość wobec marszałka ze strony mniejszości narodowych — Ukraińców, Białorusinów, znacznej części społeczności żydowskiej. Wyjątek stanowiła mniejszość niemiecka, której spora część z aprobatą odnosiła się do zacieśniającej się współpracy polsko-niemieckiej, kontynuowanej przez jego następców aż do wiosny 1939 roku, wskutek czego umacniała się i tak już uprzywilejowana pozycja polskich Niemców, zrzeszonych po części legalnie w prohitlerowskich organizacjach (wielu z nich lub ich potomków przebywa dziś w RFN i ze zrozumiałą sympatią odnosi się do przedwojennej Polski, a jednoznacznie angażuje przeciwko dzisiejszej, za to właśnie, iż nie stanowi ona politycznego „przedłużenia" Polski przedwrześniowej)...

Należy przypomnieć, że wbrew nastrojom większości społeczeństwa przedwojenna władza jeszcze za życia marszałka wznosiła mu pomniki, mianowała ulice miast i szkoły jego nazwiskiem, nakazywała młodzieży śpiewanie piosenek i recytowanie wierszy o „komendancie". Pomyśli więc ktoś, że może czyn niepodległościowy brygadiera Piłsudskiego równoważył w oczach ówczesnej opinii tamte jego winy i „grzechy". W rzeczywistości jednak legenda legionowa miała niewielki społeczny zasięg i utrzymywała się jedynie w środowiskach prorządowych — oficerskiej kadry, policji, w sferach urzędniczych (określanych nieraz przez opozycję lekceważąco „pomałowa inteligencja", z uwagi na znaczny udział we władzach ludzi niewykwalifikowanych i nie dość wykształconych — z legionowego naboru).

Przeważał w społeczeństwie pogląd, że udział garstki legionistów w I wojnie miał z wojskowego punktu widzenia znaczenie jedynie symboliczne, a ponadto uznawano go za błędny ze względu na polityczne zaangażowanie się po stronie Austrii, a więc i Niemiec, które zresztą wojnę przegrały, przeciwko Rosji, a więc także Francji, Anglii, Stanom Zjednoczonym, czyli zwycięskiej koalicji.

Jedyne chyba co jako tako cementowało patriotyczną, nacjonalistycznie zabarwioną, emocję wokół osoby marszałka, to — czczona uroczyście w dniu Matki Boskiej rocznica tzw. Cudu nad Wisłą, choć i tu sukces militarny przypisywano na ogół strategii francuskiego generała Weyganda, panowała bowiem dość powszechnie opinia (podtrzymywana zwłaszcza przez endecję) o dyletantyzmie wojskowym Piłsudskiego. Zresztą w kołach lewicowo-demokratycznych krytycznie oceniano polityczny (a poniekąd i moralny) sens interwencji Piłsudskiego skierowanej przeciwko młodej władzy radzieckiej po stronie międzynarodowych sił kontrrewolucyjnych.

Ten krytyczny, bądź niechętny stosunek społeczeństwa polskiego do postaci Piłsudskiego znacznie się zaostrzył po klęsce wrześniowej, do czego przyczyniła się m.in. — szeroko komentowana w rozmowach Polaków — mowa Hitlera po pokonaniu Polski, oddająca obłudnie hołd pamięci „wielkiego marszałka", a także gest komendanta niemieckiego garnizonu okupacyjnego m. Krakowa, gen Hoebbertha, który złożył wieniec w krypcie wawelskiej na grobie Piłsudskiego (nb. pamiętano jeszcze o sprzeciwie kardynała Sapiehy przeciwko złożeniu zwłok Piłsudskiego (określanego często jako niedowiarek i „mason") obok szczątków królów polskich.

Niczego tu zresztą nie komentuję, lecz jedynie przytaczam opinie, które przeważały w społeczeństwie w latach przedwojennych, w okresie okupacji i pierwszym okresie powojennym. Wywarły one także wpływ na konstytuowanie się na Zachodzie polskiego rządu emigracyjnego generała Sikorskiego, w którym przedstawiciele partii opozycyjnych nie chcieli widzieć reprezentantów przedwojennego obozu rządzącego.

Nasuwa się więc pytanie, jak do tego doszło? Jakimi pokrętnymi ścieżkami krąży świadomość zbiorowa, że niekiedy synowie i wnuki tych, którzy w przeszłości dzielili sympatie polityczne pomiędzy Witosa, Dmowskiego, Korfantego, Sikorskiego, Paderewskiego, Niedziałkowskiego, Leńskiego i zwalczali namiętnie obóz piłsudczyków, dziś nie tylko nie rozumieją tamtych podziałów politycznych, ale i czczą pamięć Józefa Piłsudskiego na równi z jego politycznymi wrogami. Jak to się dzieje, że na dźwięk jego imienia reagują emocjonalnie, czego przykładem mogą być wzruszenia niektórych widzów, uzewnętrzniające się na granej obecnie w Łodzi „Gałązce rozmarynu".

Istota pytania sprowadza się, moim zdaniem, do kwestii, dlaczego ojcowie i dziadowie dzisiejszych widzów nie przekazali otwarcie i uczciwie swojego krytycyzmu pokoleniu następców? Nie potrafili czy nie chcieli przekazać? Jest to postawa o niemiłym posmaku moralno-wychowawczym.

Usprawiedliwiam jedynie tych spośród „starych", którzy przed wojną żywili kult wobec postaci marszałka. Nie było ich jednak wielu...

JERZY KWIECIŃSKI

Kiedy urodził się Jezus?

Jeszua-ha-nocri czyli Jezus z Nazaretu, urodził się pod koniec panowania „króla Żydów" Heroda Wielkiego, zmarłego na przełomie marca i kwietnia 4 roku przed naszą erą. Niestety dokładnej daty narodzin Jezusa nie można ustalić, gdyż brak jest odpowiednich źródeł pozakościelnych, a pisma ewangeliczne są nieprecyzyjne. Autorzy chrześcijańscy przyjmują dziś — jako najbardziej prawdopodobną — następującą chronologię życia Jezusa Chrystusa: narodzenie — 7 lub 6 rok p.n.e., początek działalności publicznej — 28 r. naszej ery, ukrzyżowanie — 7 kwietnia 30 roku.

Przez pierwsze wieki chrześcijaństwa nie przywiązywano wagi do tego, w jakich d o k ł a d n i e latach żył i działał Jezus. Zadowalano się orientacyjnymi danymi na podstawie nazwisk osób panujących. W tamtej epoce czas i kalendarz miały znaczenie drugorzędne, ludzie bardziej żyli w przyrodzie i przestrzeni niż w historii. Toteż dopiero w 525 roku ówczesny papież Jan I (523—526) polecił, aby ustalić konkretny rok narodzin Chrystusa. Wykonał to mnich scytyjski Dionizy Mały. Obliczył on, że Herod Wielki zmarł w 754 roku od założenia Rzymu, co uznano za początek ery chrześcijańskiej. Ale później okazało się, że mnich Dionizy pomylił się w swoich rachubach o 4 lata. W rzeczywistości bowiem Herod umarł w 750 r. ab urbe condita. Jezus zatem musiał urodzić się co n a j m n i e j cztery lata przed początkiem naszej ery. Powinno się więc cofnąć nasz kalendarz, lecz nie podjęto takiej decyzji ze względu na wielkie zamieszanie, jakie by spowodowała.

Żydzi niechętnie tolerowali króla Heroda Wielkiego. Uważali go za „pół — Żyda", ponieważ pochodził z Idumei, kraju niedawno zjudaizowanego, sąsiadującego od południa z Palestyną. A poza tym Herod blisko współpracował z Rzymianami i popierał obcą kulturę hellenistyczną. Był to władca zdolny i energiczny, a równocześnie bardzo ambitny i zazdrosny o swą władzę. W nieprzyjaznym otoczeniu stał się chorobliwie podejrzliwy. W 7 roku p.n.e., kazał stracić dwóch własnych synów z pierwszego małżeństwa — Aleksandra i Aristobulosa, a w 4 roku kolejnego syna — Antypatra. Echem tych wydarzeń jest chyba ewangeliczny przekaz o rzezi dzieci w Betlejem i okolicach.

Według św. Łukasza Jezus przyszedł na świat podczas spisu ludności, który zarządził sam cesarz August. Warto zaś wiedzieć, że w religii i świadomości żydowskiej spis był zakazany i traktowany jako ciężki grzech. Pismo Święte podaje, że za przeprowadzenie spisu ludności przez króla Dawida, Bóg zesłał karę na Izrael w postaci zarazy, od której zmarło siedemdziesiąt tysięcy osób. Rzymianie niewątpliwie wiedzieli o tym przesadzie. Nie jest wykluczone, że nakazali zrobić spis, aby „ukarać" Heroda i Żydów za podjęcie na przełomie 9 i 8 roku p.n.e. samowolnej wyprawy przeciw Nabatejczykom. Dla Rzymian mógł to być świetny pretekst do zarządzenia spisu, a dane o liczbie ludności w każdej prowincji miały dla nich przecież ważne znaczenie. Z pewnej inskrypcji wiadomo, że uprawnienia do przeprowadzenia spisu w Palestynie otrzymał w okresie 10 — 8 roku p.n.e. Kwiryniusz, późniejszy legat Syrii, o którym wspomina ewangelista. W rzeczywistości spis ten mógł się przeciągnąć o rok dłużej niż planowano i wtedy rodzice Jezusa zgłosiliby się w 7 roku przed naszą erą. Ale nie ma niestety wystarczających dowodów potwierdzających odbycie wówczas takiego spisu. Wiarygodne dane dotyczą tylko spisu przeprowadzonego w Judei na przełomie 6 i 7 roku n a s z e j e r y.

Jeśli nie można ustalić dokładnego r o k u narodzin Jezusa, to skąd w takim razie znany jest d z i e ń Bożego Narodzenia — 25 grudnia. Otóż przyjęto go w 354 roku za papieża Liberiusza (352 366). A uczyniono tak, ponieważ w owym dniu ludność cesarstwa powszechnie i uroczyście obchodziła Dzień Narodzin Niezwyciężonego Słońca (Dies Natalis Solis Invicti). Jeden z myślicieli zanotował: „Podaje że powodem, dla którego przeniesiono wspomianą przez Ojców uroczystość na grudzień, jest fakt następujący. Poganie w tym dniu obchodzili uroczyście święto narodzenia Słońca. Weszło w zwyczaj, że do tych obrzędów zapraszano i dopuszczano także chrześcijan. Postanowiono tedy w tym dniu obchodzić święto narodzin „Prawdy". Przyjmując więc tradycyjną datę święta, zmieniono przedmiot kultu.

Należy podkreślić, że Słońce stało się w III wieku głównym bóstwem opiekuńczym rozległego imperium rzymskiego. Było to zresztą jedyne bóstwo, którego kult występował u niemal wszystkich ludów wielonarodowościowego cesarstwa. W roku 218 obwołano cesarzem czternastoletniego chłopca — rzekomego syna Karakalli — będącego dotąd arcykapłanem boga słońca El Gabala w syryjskim mieście Emesa (dzisiejsze Homs) nad Orontosem. Wszedł on do historii jako Heliogabal, a zasłynął (oprócz wielkiej rozpusty) z upowszechniania kultu solarnego. W III wieku ogromną popularnością cieszył się ponadto, dość skutecznie konkurujący z chrześcijaństwem, kult boga światłości i słońca — Mitry. Dzień narodzin tego bóstwa obchodzono 25 grudnia.

W dniu 25 grudnia oddawano cześć Słońcu nie tylko jednak w pogańskim Rzymie, lecz także u Persów, Celtów, Słowian i innych. Dlaczego? Otóż po prostu w tym czasie przypada łatwy do zaobserwowania moment zimowego przesilenia słonecznego — zwycięstwa dnia nad nocą, słońca nad ciemnością. Po okresie, kiedy dni stawały się coraz krótsze, następuje przełom i dnia zaczyna przybywać.

Cesarz Aurelian uznał w 274 roku uroczystość Dies Natalis Solis Invicti świętem państwowym, a osiemdziesiąt lat później Kościół ustanowił w tym dniu święto Bożego Narodzenia. Przyjęto zatem, że Jezus — tak jak Mitra i Słońce — narodził się 25 grudnia. Ale nie wszyscy chrześcijanie od razu zastosowali się do nowego obyczaju. W Aleksandrii zaakceptowano go dopiero w 430 roku, a w Jerozolimie w połowie V wieku.

Niektórzy wierni czcili przez jakiś czas 25 grudnia jako święto narodzin jednocześnie Słońca i Jezusa. Wskazuje na to list pasterski papieża Leona I Wielkiego (440—461), w którym czytamy: „Są wśród nas tacy, którzy uważają, że uroczystości należy obchodzić nie tyle z powodu narodzin Chrystusa, co z powodu wschodu nowego słońca.." A dalej papież ubolewał, że „zanim oni wstępują do bazyliki świętego apostoła Piotra, stają na schodach, odwracają się i schylają pokornie głowę w kierunku słonecznego dysku". Natomiast pewien biskup zaprezentował taką oto interesującą postawę: „Jest rzeczą dobrą, że lud nazywa dzień urodzin Pana naszego dniem Sol novus. Nie usiłujemy bynajmniej tego zmienić, gdyż wraz z narodzinami Zbawiciela następuje odnowa zbawienia dla całego rodzaju ludzkiego, ale również jasności słońca. Jeżeli podczas męczeństwa Chrystusa słońce się zaciemniło, musi ono z konieczności zaświecić jaśniej w dniu jego narodzin". Ta metoda postępowania okazała się bardzo skuteczna. Dlatego papież Grzegorz I Wielki (590—604) zalecał jej stosowanie w przypadku wszystkich świąt pogańskich. A dziś już mało kto wie, jakie uroczystości obchodzili nasi dalecy przodkowie zanim ustanowiono to czy inne święto chrześcijańskie.

Reasumując: nie wiemy zatem, kiedy na pewno urodził się Jezus z Nazaretu. Ale nie jest to najważniejsze. Liczy się idea, która głosił oraz tradycja, do której przywykliśmy.

EDMUND LEWANDOWSKI

Tama czy tylko sieć?

Nie tak dawno denerwowały nas ceny książek oferowane przez handlarzy z Hali Targowej czy z Rynku Bałuckiego. Dziś ich proceder przejęły państwowe i prywatne antykwariaty. Ceny pną się w górę i na dobrą sprawę nikt nie jest w stanie przewidzieć czym się to skończy. Najwłaściwszym określeniem tego stanu rzeczy byłoby słowo spekulacja. Wiadomo, że dobrej książki nie uświadczysz w księgarni, choć drukarnie opuszczają coraz to nowe tytuły. Książka gdzieś ginie, rozchodzi się dziwnymi kanałami by w końcu znaleźć się w rękach spekulantów i handlarzy. Jakże często, jakiś tytuł spotyka się wcześniej na straganie niż na ladzie księgarskiej. Jeszcze nie ma książki w zapowiedziach prasowych, a już jest na czarnym rynku. Ktoś powie, że radą na to jest drukować tyle, żeby nasycić zapotrzebowanie społeczne. To prawda. Ale z tym nasyceniem musimy poczekać, a sytuacja staje się coraz dramatyczniejsza i prawie nie do opanowania.

Dziś w kupowaniu książek prześcigają się antykwariaty współczesne „Domu Książki", antykwariaty prywatne i straganiarze. Bierze ten, kto daje więcej.

Ostatnio „Dom Książki" wprowadził w swoich placówkach obowiązujący cennik. Np. za *Wielką Encyklopedię Powszechną* w 13 tomach płaci od 30.000 do 35.000 zł, z czego sprzedający otrzymuje trzy czwarte, a jedną czwartą zabiera dla siebie „Dom Książki" Dalej: za czterotomową *Encyklopedię Powszechną* płaci 16.000 zł, za trzy tomy *Słownika Języka Polskiego* — 4.000 zł, za 13 tomów *Norwida* — 8.000 zł, za 27 tomów *Conrada* — 6.000 zł, za 5 tomów *Gałczyńskiego* — 3.000 zł, za *Kuchnię Polską* — 2.000 zł itp. Ale antykwariusze prywatni protestują, twierdząc, iż nie stać ich na tak wysokie ceny, więc dalszy ich byt jest zagrożony. Z kolei „Dom Książki" uważa, że to prywatny sektor antykwaryczny przepłaca i w ten sposób odciąga sprzedających od państwowej lady.

Gdzie leży prawda?

— Jak zwykle po środku — odpowiada zastępca dyr. d.s handlowych „Domu Książki" w Łodzi mgr *JAN GRUSZCZELAK*. — Nasze przedsiębiorstwo uznało, że istniejący system zakupów książek antykwarycznych wprowadza sporo nieprawidłowości i pozwala na nadużycia. Dlatego Rada Zrzeszenia Księgarstwa podjęła w dniu 4.XI. br., specjalną uchwałę w sprawie zasad ustalania cen na wydawnictwa antykwaryczne. Na jej podstawie wydaliśmy zarządzenie do wszystkich naszych placówek znajdujących się na terenie czterech województw (miejskiego łódzkiego, piotrkowskiego, sieradzkiego i skierniewickiego), w którym piszemy, że: *„1. W okresie roku od daty ukończenia druku książki, zamieszczonej w metryczce, cena sprzedaży książki w antykwariacie państwowego przedsiębiorstwa „Domu Książki" nie może być wyższa od ceny nominalnej. W przypadku braku w metryczce bliższego określenia (miesiąca) ukończenia druku książki — okres karencji trwa do drugiej połowy następnego roku. 2. Przy wycenie książek zaliczanych do antykwariatu współczesnego, od wydania, których upłynął okres roku, stosuje się zasady dotychczas obowiązujące"*. Jednocześnie zwróciliśmy się do prezydenta m. Łodzi z prośbą, aby odpowiednim zarządzeniem zobligował antykwariaty prywatne do stosowania powyższych zasad przy zakupie i wycenie książek. Natomiast Zrzeszenie Księgarstwa zwróciło się do Ministerstwa Kultury i Sztuki z apelem, aby przedstawione wyżej zasady obowiązywały wszystkich prywatnych antykwariuszy w kraju. Jesteśmy przekonani, że działania te położą tamę odpływowi książek na czarny rynek, ukrócą spekulację, a jednocześnie, w razie popełnienia nadużyć, pozwolą organom kontroli na wykrycie osób trudniących się nielegalnym handlem.

Pomimo sceptycyzmu, przyłączam się do tych życzeń.

EUGENIUSZ IWANICKI

Komu niepotrzebna jest makulatura?

Cztery miesiące temu (1 września 1982 roku) w „Odgłosach" zamieszczona została notka pt. „Komu potrzebna makulatura?" W notce tej zawarta była propozycja nawiązania kontaktu z jedną ze szkół łódzkich, której uczniowie systematycznie odbieraliby odkładające się w redakcji zdezaktualizowane czasopisma, gazety czy po prostu zbędne papierzyska. Tego samego dnia zgłosili się do nas pierwsi (...i ostatni, niestety) ochotnicy. Ze Szkoły Podstawowej nr 24, z klasy VII b. Systematycznie odbierają makulaturę.

— Dlaczego zgłosiliście się na nasz apel?

BEATA: — Bo chcielibyśmy zrobić coś, co by pozwoliło nam wyróżnić się. Pokazać, że nie jesteśmy zwykłą, szarą, znudzoną klasą; bez zapału i inicjatywy.

— Czy odpowiada wam ta forma zbiórki?

BEATA: — Tak, oczywiście! Przede wszystkim dlatego, że nie musimy tułać się od mieszkania i żebrać o każdy kilogram makulatury. Mamy stałe miejsce, wyznaczone dyżury osób, które jadą do „Odgłosów" i odbierają nasz „skarb". Chcielibyśmy, by trwało to dłużej.

— Gdyby inne redakcje lub instytucje wystąpiły z podobną inicjatywą, czy podjęlibyście i tę akcję?

OLA: — Tak, bardzo chętnie. Wtedy włączylibyśmy w większym stopniu resztę klas naszej szkoły.

— A jak jest ze zbiórką makulatury w szkole?

IZA: — Kilkoro z nas posiada brązowe odznaki za zbieranie makulatury. Klasa nasza jest w szkolnej czołówce. Natomiast szkoła przoduje na Bałutach.

— Jakie są losy surowców wtórnych zbieranych przez was?

OLA: — Sprzedajemy je a uzyskane dzięki temu pieniądze przeznaczamy na cele klasowe.

— Na przykład?

BEATA: — Z funduszy finansujemy dla klasy kino lub teatr, a także wycieczki turystyczne. Nie każdego z naszej klasy byłoby stać na opłacenie drogich przecież obecnie, wycieczek, np. w Góry Świętokrzyskie, do Gdańska czy Gniezna. Z pieniędzy tych korzystamy również przy organizowaniu różnego rodzaju imprez klasowych, jak chociażby dyskoteki, „Andrzejki" czy „Mikołajki"

— Kiedy widzę ich zapał — mówi wychowawczyni klasy VII b, mgr **Jadwiga Urbańczyk** — jestem jeszcze bardziej przekonana do tego, co robią. Jak już zdążyły się pochwalić, mają w zbieraniu surowców wtórnych spore osiągnięcia. Moi wychowankowie traktują tę akcję jako swoistą pomoc, jako swój drobny wkład w poprawę sytuacji w kraju. Moi podopieczni postawili sobie za punkt honoru — wieść prym w tej dziedzinie, a ja wysoko cenię te ambicje.

Muszę się przyznać, iż publikując wspomnianą notkę miałam pewność że zgłoszeń będzie, jeśli nie mnóstwo, to przynajmniej wiele. Tak się nie stało.

Czy doprawdy nikt poza nimi, nie potrzebował makulatury?

MIROSŁAWA BARTOSIK

■

W kręgu fantastyki

STAR-CLUB

Huśtawka Pustelnika

WIKTOR KOŁUPAJEW

19

Sven i Nik wskoczyli do windy i pojechali na dół. Nikołaj po drodze przekazał:

— Erli. Pojawił się ich wszędołaz. Schodzą z akumulatora. Mam wrażenie, że teraz skierują się do Centralnej. My też schodzimy do łazika.

— Wracajcie na Centralną. Postarajcie się, żeby was nie wykryli.

Ale już zostali wykryci. Nagle zza czwartego akumulatora wyskoczył wszędołaz z dwoma wieżyczkami i dziesiątką luf z każdej strony. Henry rzucił maszynę do przodu, na przełaj, żeby dać Svenowi i Nikowi możliwość ukrycia się za pancerzem swojej maszyny. Obcy, najwidoczniej, nie oczekiwali spotkania z kimkolwiek i ich wszędołaz gwałtownie zahamował, huśtając się na resorach. Henry podjechał naprzód. Ciężki blaster leżał na siedzeniu obok niego, ale w biegu i tak nie mógłby go użyć. Łazik nie był przecież maszyną bojową.

Obcy przez kilka minut nie dawali znaku życia. Zupełnie, jakby w ich wszędołazie nikogo nie było. Panowała kompletna cisza. Przez ten czas Sven zdążył ustawić swoją maszynę obok maszyny Henry'ego. Po chwili wszędołaz obcych posunął się nieco do przodu. To samo zrobili Sven i Henry. Odległość między maszynami zmniejszyła się do kilku metrów. Nikołaj powiadomił Erli'ego o wszystkim, co się działo.

— Cofajcie się do Centralnej! — krzyczał Erli.

— Ale oni wtedy pojadą za nami — odpowiedział Nik.

— Niech podchodzą. Tu nas będzie dwa razy więcej.

— Dobrze.

Obcy nie przejawiali agresywnych zamiarów. Przeciwnie, jedna za drugą znikały z wieżyczek lufy ich nieznanej broni. Następnie jeden z luków wszędołazu otwarto i pokazał się w nim człowiek z brązową skórą, złocącą się w promieniach zachodzącego słońca. Coś krzyknął, ale nie można było rozróżnić poszczególnych słów.

— Erli, też mamy wyjść? — spytał Trajkow.

— Poczekajcie! Henry wam powiedział, co udało się nam jeszcze ustalić?

— Pokrótce.

— Więc słuchajcie. Ci obcy nie mają tu zupełnie nic do rzeczy. Kiedy Ezra przekazał bazom sygnał ewakuacji, już było za późno. Przyspieszenie czasu na biegunach Pustelnika skokowo osiągnęło dużą wielkość! Na dwudziestej bazie czas zaczął płynąć 20 000 razy szybciej niż u nas. W kierunku równika gradient upływu czasu stopniowo malał. To wywołało potworny huragan. Powietrze z obszaru, gdzie czas biegł szybko, wciskało się na obszar, gdzie czas biegł wolniej. Huragan praktycznie natychmiast objął całą półkulę północną. Następnie płynna krzywa zmiany prędkości przyspieszenia czasu zmieniła się w skokową. Tam, pomiędzy izochronami* i teraz szaleją huragany. Wszystkie bazy zostały zniszczone prawie w jednym momencie. Reszty dokonała selwa. Przyczyna takiego skoku czasowego jest nieznana. A teraz jeszcze ci obcy. Z baz nie mogli się tu dostać dlatego, że jeśli ktoś nawet ocalał po huraganie, to już go nie ma. Minęło tam kilkadziesiąt lub kilkaset lat. Ci obcy nie mogą pochodzić z Pustelnika.

Człowiek z brązową skórą już stał przed łazikiem Henry'ego i coś pokazywał przy pomocy znaków.

— Zdaje się, że prosi, żeby go wpuścić do maszyny — powiedział Henry. — Wpuścić? On nie ma broni. I w ogóle, zdaje mi się, są pokojowo nastawieni.

— Niech najpierw wytłumaczy, czego chcą.

Henry do połowy wysunął się z luku i na migi próbował zapytać czego chcą, ale nic mu z tego nie wyszło. Wtedy po prostu zapytał:

— Czego chcecie na Centralnej?

Brązowy człowiek podszedł całkiem blisko do łazika. Henry powtórzył pytanie. Obcy zawołał:

— Kozalez! Potrzebny Kozalez!

Henry'ego na moment zamurowało, potem otrząsnął się ze zdumienia i przekazał do mikrofonu:

— Erli! Ty im jesteś potrzebny.

— Ja? Co, oni mówią naszym językiem?

— W każdym razie ja go zrozumiałem.

— Weź go do maszyny i jak najszybciej tu przyjeżdżaj. Sven niech na razie zostanie ze swoją maszyną na miejscu. Lepiej na razie nie dopuszczać tu wszędołazu obcych.

— Zrozumiałem — odpowiedział Henry i gestem pokazał człowiekowi, że może wejść do maszyny.

Po kilku minutach byli przy głównym wejściu do Centralnej. Obaj milczeli. Henry poprowadził obcego do działu łączności. Obcy, trochę przestraszony, przekroczył próg i rzekł:

— Dzień dobry! Potrzebny mi Kozalez.

— To ja — odpowiedział Erli wstając mu na spotkanie.

Obcy szybko podszedł do niego i wyciągnął rękę. Erli z niedowierzaniem uścisnął ją.

— Przedzieraliśmy się tu około trzystu lat — powiedział obcy — a w każdym razie w Wielkim Mieście minęło trzysta lat. Wysłał nas Konstak. On co prawda już nie żyje. Umarł już dawno, ale zostawił nam program działania. Przed nami też były ekspedycje, ale, najwidoczniej nie udało im się dotrzeć, skoro to wszystko jeszcze istnieje — i powiódł ręką dookoła.

— Co istnieje? — spytał Erli.

— Ta stacja. Musimy ją wysadzić. Tak jest powiedziane w programie Konstaka.

— Kto to taki ten Konstak i co to Wielkie Miasto?

— Konstak był wielkim uczonym. Czyżbyście o nim nie słyszeli?

— Jak mogłem o nim słyszeć, skoro wędrowaliście tu przez trzysta lat? Mnie wtedy jeszcze nie było. No, a co to za Wielkie Miasto? Planeta?

Obcy przecząco pokręcił głową.

— System słoneczny?

— Nie...

— Więc co? Galaktyka?

— Nie. Potrzebny jest globus.

Ale globusa niestety nie było w pobliżu.

— Rozumiecie, to była baza. Kiedyś z Centralnej do tej bazy można się było dostać w ciągu dziesięciu godzin. A teraz potrzeba trzystu lat. Nie jesteśmy fizykami. Realizujemy tylko program Konstaka. Tam jest powiedziane, że jeśli nie damy rady sami wysadzić akumulatorów, to powinniśmy znaleźć Kozaleza. Mamy list. Tylko on jest bardzo stary. Trzeba go niezwykle ostrożnie czytać. Pisał go sam Konstak.

— Czym dojechaliście z Wielkiego Miasta do Centralnej?

— Wszędołazami. Mieliśmy pięć wszędołazów. Dotarł tylko jeden. Reszta zginęła.

Erliemu zakręciło się w głowie. Przecież oni muszą być z dwudziestej bazy! Ale przez trzysta lat tam wszyscy musieli poumierać. Więc skąd oni się wzięli?

— Konstak to Konrad Stakowski? — krzyknął.

— Tak. To Konrad Stakowski. Ale zazwyczaj na vwał siebie Konstakiem.

— Sven! — krzyknął Erli do mikrofonu. — Przyprowadź tu swój łazik. I wszędołaz tych ludzi też. To nasi. Są z dwudziestej bazy!

— Jak to z dwudziestej? Co, znowu nowa hipoteza?

— Nie, Sven. Stara! Teraz wszystko jest jasne. Jak najszybciej ich tu przyprowadź.

Brązowy człowiek ze zmieszaniem rozglądał się wokół.

— Ilu ludzi jest w waszej maszynie?

— Jedenastu. Ja jestem dwunasty. Ośmiu zginęło.

— Jak się nazywasz?

— Enriko.

— Jesteś na pewno głodny jak diabli? My zresztą też. Eva i Seona, chciałem was prosić...

Dziewczyny już wszystko zrozumiały. Włączyły i nastroiły automaty kuchenne...

Wkrótce do Centralnej wpadła wataha brązowych ludzi. Sven i Nik nieufnie szli z tyłu z blasterami na ramionach.

— Wyrzućcie te zabawki — powiedział im Erli.

Kiedy wszyscy się trochę uciszyli, Enriko powiedział:

— Gdy na bazie otrzymali sygnał ewakuacji, zaraz powstał straszny huragan. Baza była zniszczona. Na szczęście była to najbardziej zaludniona baza. Było w niej czternaście osób. W pierwszym momencie nie doliczono się jednego... Pozostali zdążyli się ukryć w pomieszczeniach piwnicznych stacji. Wyjść z tych piwnic udało się dopiero po pięciu latach. I dopiero po trzydziestu latach mniej więcej oczyszczono teren bazy z selwy, ale powstał problem śmierci głodowej. Konrad Stakowski umarł do tego czasu. Stopniowo znaleziono sposób przerabiania pełzaków i woreczków na coś jadalnego. Potem nastąpiła czterdziestoletnia zima i noc.

— Ale wszyscy, którzy byli na bazie, powinni byli dawno umrzeć?

— Konrad Stakowski od samego początku wiedział, co się zdarzyło na Pustelniku i nakazał, aby koniecznie ktoś dostał się do Centralnej. Ci, którzy mieszkali na bazie od samego początku, nie mogli nawet o tym marzyć. A kobiety rodziły dzieci. Po trzystu latach, kiedy odjeżdżaliśmy, było tam około sześciuset osób. Teraz na pewno jest o wiele więcej. Ale Pustelnik musi zginąć. Na Pustelniku powstał generator czasu. Jego pierścień emisyjny biegnie wzdłuż równika. Kiedy tylko czas na biegunie Pustelnika zrówna się z czasem, który upłynął w tym pierścieniu, nastąpi wysycenie i Pustelnik eksploduje. Stakowski nie wiedział kiedy to nastąpi.

— Za około piętnaście dni — powiedział Erli.

— Ten pierścień emisyjny ma półtora tysiąca lat.

— Trzeba go rozerwać na możliwie dużej przestrzeni. W tym celu należy wysadzić akumulatory i Centralną. Zbadaliśmy zapasy energii. Wystarczy jej, ale nie znamy schematu połączenia akumulatorów. Na bazie nikt go nie znał. Nie było tam inżynierów. Ale nie można czekać piętnastu dni. Trzeba wysadzić Centralną najszybciej, jak się tylko da. Wielkie Miasto ledwie wiąże koniec z końcem. Bardzo źle się im tam teraz dzieje.

— Może zrzucić im żywność z wirolotu? — powiedział Sven.

— Nie — odparł Erli — bariera energetyczna musi być tam bardzo silna.

— A „Fiołek"?

— „Fiołek" może lądować tylko na małej szybkości. Poza tym nie ma tam lądowiska.

Po obiedzie wszyscy niezwłocznie wzięli się do roboty. Część z nich pod dowództwem Erli'ego ładowała na „Fiołka" różne cenne przyrządy, osprzęt, materiały badań i wszystko, co niezbędne, aby kolonia Pustelnika po zniszczeniu Centralnej mogła przeżyć do przybycia „Warszawy".

Schematu połączenia akumulatorów nie znaleziono, co znacznie skomplikowało zadanie. Próbując rozplątać ten kłębek, mogli męczyć się dłużej niż piętnaście dni.

I wtedy właśnie Erli przypomniał sobie, co zdołał zauważyć na rulonach papieru, które widział u Ezry i Jumma. Teraz był pewien, że żyją oni w jakimś innym wymiarze czasu, w którym oprócz Centralnej i ich dwóch, nikt i nic nie istnieje. Oni rozumieją, co się z nimi stało, gdyż to właśnie oni kierowali eksperymentem. A Erli już się zaczynał domyślać, co to był za eksperyment. Omawiali właśnie wyniki doświadczenia, kiedy to wymknęło im się spod kontroli.

Ezra i Jumm najczęściej pojawiali się w sztabie i w sali łączności jakby przypuszczając, że tam powinni być ludzie. Często rozwijali nie istniejący już dla innych schemat, jakby zapraszając do odrysowania go. Przed zachodem słońca udało się to zrobić Svenowi.

A o północy wszystko było gotowe do wybuchu.

Trajkow miał wznieść się na „Fiołku" i pozostać na orbicie Pustelnika do czasu, kiedy w którymś miejscu nie zostanie przygotowane lądowisko.

Pozostali mieli lecieć wirolotami. Trzeba było koniecznie przygotować im ochronę. Konrad Stakowski opracował program wysadzenia akumulatorów w ten sposób, żeby przyspieszenie czasu dodatnie lub ujemne zniknęło nie skokiem, lecz płynnie. Należało uniknąć drugiego niszczącego huraganu.

Na początku pierwszej nocy startował „Fiołek". Wkrótce usłyszeli spokojny głos Trajkowa:

— Wszystko w porządku.

Następnie z Centralnej odleciały z ludźmi dwa bagażowe wiroloty. Prowadzili je Sven i Erli. Pozostałe wiroloty wzleciały bez pilotów. Ich szyk został zakodowany w pamięci sterujących komputerów tak, by trzymały się w stałych odległościach od wirolotu Erli'ego.

Razem z Erlim leciała Eva i kilka osób z dwudziestej bazy.

— Przypomniałem sobie — usłyszeli nagle głos Trajkowa. — Przypomniałem sobie, gdzie widziałem tę chuśtawkę! Jest przecież narysowana na ścianach Centralnej! Na samym równiku jest równe pasmo równoległe do ziemi. A im dalej na północ czy południe tym większy kąt nachylenia tej chuśtawki. I znak kąta jest różny. W kierunku bieguna północnego jest dodatni, a w kierunku południowego — ujemny.

— Szkoda, że już za późno, żeby wrócić — rzekł Erli — Dziwne. Przecież wszyscy ją widzieli, a nikt jakoś nie potrafił tego sobie uświadomić.

Wiroloty leciały zwartą grupą, oddalając się wzdłuż równika w kierunku wschodnim i lekko na północ.

20

Oddalili się na około 500 kilometrów od Centralnej, kiedy rozległ się wybuch. Nocne niebo rozjaśnił błysk potężnej eksplozji.

Po godzinie w eterze rozległy się słowa:

— Dlaczego ewakuacja? Ezra, co się tam u was dzieje?

To mówili z dziewiętnastej bazy, położonej prawie przy biegunie południowym. Tam od momentu katastrofy minęło zaledwie kilka minut.

Erli uśmiechnął się nerwowo.

— Powiedz im, Eva, żeby wszyscy pozostali na swoich miejscach. Henry przekaże im komunikat.

Potem lecieli w kierunku dwudziestej bazy.

Erli włączył autopilota i wyciągnął z kieszeni dwa listy. Jeden był od Konrada Stakowskiego, a drugi od Ley.

„Witaj Erli! — pisała Ley.

Tak chciałabym cię jeszcze zobaczyć..."

Złożył list i chciał go podrzeć, ale rozmyślił się i położył na kolanach siedzącej obok Evy.

— Kiedyś przeczytasz — powiedział.

Eva przecząco pokręciła głową.

„Erli" — pisał Konrad Stakowski.

„Jednak udało się nam osiągnąć to, czego chcieliśmy. Możemy rządzić czasem. Wierzę, że będziesz kontynuował naszą pracę. Wyobrażam sobie urządzenie, na którego jednym biegunie czas będzie przyspieszał, a na drugim zwalniał. Eksperymenty, na które ludzie przedtem potrzebowali lat, teraz będzie można przeprowadzać w ciągu sekundy. Nawet nie mogę sobie wyobrazić, jak daleko zajdzie ludzkość, gdy opanuje czas, zmuszając go, by biegł według jej uznania.

...Szkoda, że to odkrycie pociągnęło za sobą katastrofę. Ale wierzę, że będziesz kontynuował tę pracę, postaram się pomóc Ci...

Jeśli namiętność dziennikarza zwyciężyła w tobie fizyka — oto początek twojej książki.

Nie dowiedzieliśmy się więc, jaka cywilizacja pozostawiła na Pustelniku swój ślad. Może nawet nie była to żadna obca cywilizacja? Może za dwadzieścia lat to urządzenie zostanie skonstruowane na Ziemi, stamtąd przewiezione na Pustelnika i przesunięte w czasie. Przecież na Ziemi już od dawna prowadzone są prace związane z próbami opanowania czasu. Ezra i Jumm żyli tą ideą. Długo nie mogliśmy zrozumieć, czym naprawdę jest Centralna, jej gigantyczne akumulatory, bazy... A później odkryliśmy pierścień emisyjny Pustelnika i stopniowo doszliśmy do wniosku, że za pomocą tego urządzenia można eksperymentalnie sprawdzić wzajemne zależności i relacje czasu i przestrzeni. Główna część ekspedycji zajmowała się badaniami planety, starając się wyjaśnić jednak, kto był przed nami na Pustelniku. W jednym z licznych pomieszczeń Centralnej zostały znalezione notatki robocze. Zwykłe pospieszne zapiski, z których niewiele można zrozumieć, ale jednak... Doszliśmy do wniosku, że ktoś przed nami już próbował zajmować się eksperymentami z przestrzenią i czasem. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że notatki sporządzone zostały w ziemskim języku. I w niektórych miejscach widniał twój podpis. Rozmawiałem z Ley. Powiedziała, że nie miała żadnych twoich notatek, żadnych dokumentów, nic, co pochodziłoby od ciebie. Nie mogłem zrozumieć, gdzie mógłbyś zajmować się podobnymi badaniami. Nic o nich nie wiedziałem. I wreszcie skąd twoje notatki się tu znalazły?

Do naszego eksperymentu przygotowywaliśmy się długo i starannie. Cztery dni po starcie „Fiołka" z Centralnej, Ezra zakomunikował, że można zaczynać eksperyment.

Na Centralnej pozostali tylko Ezra, Jumm i Eva. Pozostali odlecieli wirolotami na bazy. To miał być kolosalny eksperyment i brakowało nam ludzi.

Jedenastego o 7.00 wszystkie dwadzieścia baz oznajmiło, że są gotowe do przeprowadzenia eksperymentu. Eksperyment rozpoczął się o 7.15. Ezra wydawał rozkazy poprzez system łączności zewnętrznej i kolejno włączał akumulatory. Jumm natychmiast przy pomocy komputera opracowywał wyniki i na bieżąco wnosił poprawki do programu.

Mniej więcej do godziny ósmej wszystko szło jak w poprzednich laboratoryjnych próbach... Akumulatory zużyły 70 proc. zgromadzonej energii, a zmian krzywizny przestrzeni w najbliższym otoczeniu Pustelnika nie dało się zauważyć. Ezra zaczął się denerwować. Mniej więcej o ósmej trzy, przyrządy zanotowały niewielkie zmiany zakrzywienia przestrzeni. Przyspieszenie czasu równało się zeru. Ezra zdecydował się przerwać eksperyment. Jumm nastawał by go kontynuować. Po minucie okazało się jednak, że ich spór nie ma już sensu. Eksperyment wymknął się spod kontroli. Ezra wyłączył akumulatory, ale zakrzywienie przestrzeni utrzymywało się w dalszym ciągu. Potwierdziło to zjawisko wszystkie dwadzieścia baz. Następnie zakrzywienie przestrzeni zanikło, ale zaczęło się przyspieszenie czasu, zauważalne zwłaszcza na równiku. Na biegunach żadnych zmian nie dało się zauważyć.

O ósmej dziesięć przyspieszanie czasu ustało, a przyrządy ponownie zarejestrowały narastające zakrzywienie przestrzeni. Przyspieszenie czasu było niewielkie — około jednej sekundy na godzinę.

Ezra przekazał wszystkim, że eksperyment wymknął się spod kontroli i wszyscy mają przygotować się do powrotu na Centralną.

Rozhuśtywanie systemu Przestrzeń — Czas trwało jeszcze dwadzieścia dwie minuty... Potem przyspieszenie czasu zaczęło gwałtownie wzrastać. Przerwana została łączność między bazami i Centralną.

Dopiero po pięciu latach udało się nam wyjść z podziemi. Erli, a jeśli to były twoje przyszłe notatki? Przecież wtedy nie musielibyśmy już szukać innej cywilizacji. Przecież to by oznaczało, że to my sami zbudowaliśmy wszystkie obiekty na Pustelniku. Erli, powinieneś nauczyć się rządzić czasem..."

Przed nimi było już widać drugą bazę.

— Erli — rzekł Henry — chcę zatrzymać się tu na kilka minut... Rozumiesz mnie...

— Tak, Henry — i Erli wyłączył mikrofon.

Czternaście wirolotów zastygło w miejscu, a jeden, wykonawszy ostry wiraż, skierował się w stronę lądowiska. W promieniach wschodzącego słońca wyglądał jak maleńki, złoty żuk.

KONIEC

Tłum.: EWA i DARIUSZ MILERSCY

* Izochrony — tu, linie na których czas płynie z jednakową prędkością (przyp. tłumacza).

WSPÓŁREDAGUJE WARSZAWSKI SFAN-CLUB,
ALEJE JEROZOLIMSKIE 2, GROTEKA, 00-375 WARSZAWA

W kręgu fantastyki

Firma poleca swoje usługi

KRZYSZTOF KOCHAŃSKI

KRZYSZTOF KOCHAŃSKI urodził się 18 października 1958 r. Mieszka w Koszalinie. Jest absolwentem Wyższej Szkoły Inżynieryjnej w Koszalinie (specjalność — inżynieria środowiskowa). Pracuje w WPS „SPEC" Słupsk. Fantastyką interesuje się od dawna. Jego debiutem prasowym i zarazem jedynym jak dotąd opublikowanym utworem było opowiadanie „Nie oszukasz czasu" („Na Przełaj" nr 7/79). W najbliższych numerach „Odgłosów" opublikujemy kolejne opowiadania tego autora, zaś w numerze 5 (czyli 2/83) miesięcznika „Fantastyka" ukaże się jego opowiadanie pt. „Sekret czwartej planety".

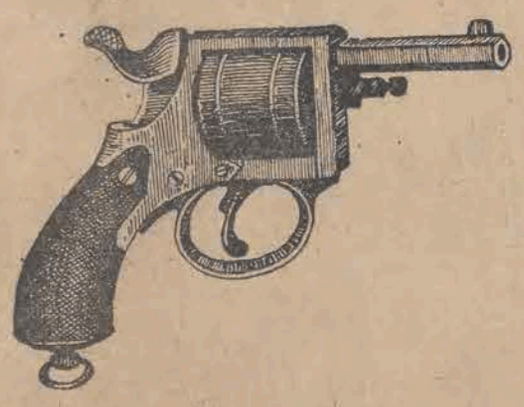

Ted Morgan był zniechęcony.

Ted Morgan był zniechęcony i rozgoryczony.

Ted Morgan był zniechęcony i rozgoryczony życiem, które, jego zdaniem, dla nikogo nie miało żadnej wartości. Ani dla niego samego.

Szczególnie samotny czuł się od czasu, gdy opuściła go pewna kobieta.

Przed budynkiem zatrzymał się, ale była to tylko chwila wahania. Wreszcie zdecydował się i energicznym krokiem wszedł na schody, które doprowadziły go do solidnych, dwuskrzydłowych drzwi. Powoli nacisnął klamkę i wszedł do środka.

— Witam! Witam szanownego pana — portier wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Proszę dalej. Bardzo proszę.

— Ja chciałem... ten... Przeczytałem ogłoszenie... w gazecie i... — Morgan poczuł się speszony.

— Doskonale pana rozumiem. Zapraszam. Pokój, który pana interesuje ma numer czwarty. Proszę bardzo.

— Ale, czy to już... tak od razu...

— Ależ skąd! — zaperzył się portier, robiąc jeszcze bardziej uprzejmą minę. — Najpierw formalności, szanowny pan dokona wyboru i dopiero po uiszczeniu opłaty... Przepraszam, mam nadzieję, że ma pan przy sobie gotówkę, bo czeków, ani żadnych zastawów nie przyjmujemy.

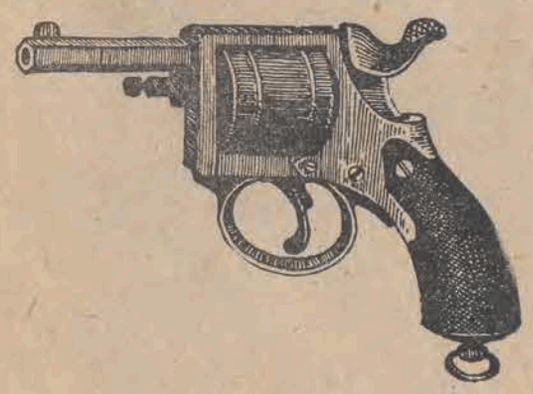

— Tak, wiem... Czytałem.

— No więc, proszę się nie wahać. Nasze usługi są naprawdę najwyższej jakości. Nie będzie pan żałował swojej decyzji, to jest... chciałem... przepraszam bardzo, oczywiście, że nie będzie pan żałował. Tak mi się tylko powiedziało.

Paplanina portiera zaczynała drażnić Morgana i gdy opanował chęć, by nie skierować się ku drzwiom wyjściowym, otworzył inne — te z numerem cztery.

Mężczyzna, który go przywitał, nie był już tak służalczo uśmiechnięty jak portier, ale zachowywał się nie mniej uprzejmie od niego.

— Który ze sposobów pana interesuje, panie...

— Morgan.

— Tak, więc który?

— Ja nie jestem jeszcze zdecydowany, nie znam możliwości firmy, ani...

— Zaraz coś wybierzemy. Pewnie myśli pan o czymś raczej bezbolesnym?

— Czy może być inaczej? — zdziwił się Morgan.

— Oczywiście! Nawet nie wyobraża pan sobie, jakie zaskakujące życzenia mają niektórzy klienci.

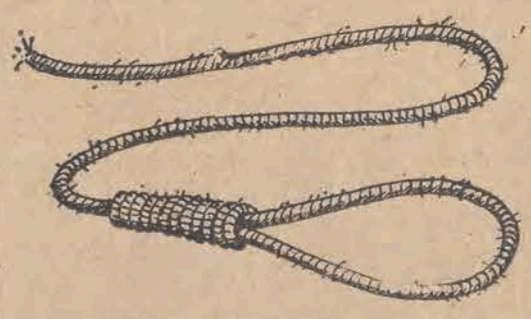

— Nie. Ja wolałbym coś spokojnego.

— Służę uprzejmie. Mam taką niespodziankę... W sam raz dla pana. Za 160 dolarów.

— Zgadzam się — wykrztusił Morgan i zdziwił się, że przyszło mu to z taką łatwością.

Wkrótce szli pustym korytarzem.

— Przypominam — odezwał się przewodnik Morgana — że w każdej chwili może się pan wycofać z interesu, ale gotówki już nie zwracamy.

— Wiem, przeczytałem dokładnie umowę, nim złożyłem pod nią swój podpis.

Marmurowymi schodkami zeszli do piwnicy. Chłód i przyćmione światła lamp zrobiły na Morganie przygnębiające wrażenie. Nagle zdał sobie sprawę, że drżą pod nim nogi... Bał się.. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bał.

Przystanął. Chciał coś powiedzieć przedstawicielowi firmy, ale nie mógł wykrztusić słowa. To strach ścisnął mu gardło. I wtedy coś w nim pękło.

Postanowił wrócić. Po prostu wrócić, nim mógł to jeszcze uczynić.

Zostawił w piwnicy zdumionego przewodnika i wybiegł na górę. Gdy zobaczył portiera, zwolnił i próbował uśmiechnąć się. — Zrezygnowałem — rzucił tonem wyjaśnienia. — Może innym razem.. Chociaż wątpię.

— I niech was wszyscy diabli! — krzyknął wychodząc.

— Proszę pana! — portier dogonił go już na ulicy — Oto kilka ulotek. Reklamówki firmy. Niech pan rozda je znajomym. Bardzo proszę.

Morgan wziął plik kartek, ale po kilku krokach zmiął je i wrzucił do kosza. Po chwili namysłu wrócił i wyjął ze śmietniczki jedną ulotkę. „Na pamiątkę" — pomyślał. Rozprostarł pognieciony arkusik i przeczytał:

FIRMA „MĄDRE ZEJŚCIE" POLECA SWOJE USŁUGI. JEŻELI ZNUŻYŁO CIĘ ŻYCIE — ZGŁOŚ SIĘ DO NAS. TYLKO U NAS POPEŁNISZ SAMOBÓJSTWO NIE SPRAWIAJĄC KŁOPOTÓW OTOCZENIU I NIE WYWOŁUJĄC SKANDALU. OFERUJEMY WIELE WARIANTÓW SAMOBÓJCZEJ ŚMIERCI!

ZAPRASZAMY!!!

Morgan usłyszał szybkie kroki. Odwrócił się. Z budynku wybiegł jakiś facet, którego wkrótce dogonił portier, trzymający w ręku plik reklamówek. Tamten nie przyjął ich.

— Wie pan co? — powiedział przechodząc obok Morgana. — Dzisiaj wiem, że życie to najcenniejsze co posiadam.

— Może mi pan nie uwierzy — odrzekł Morgan — ale ze mną jest tak samo.

I nagle zrozumiał. Zrozumiał, dlaczego tej firmie zezwala się na funkcjonowanie.

Ruszył przed siebie gwiżdżąc jakąś skoczną melodię. Ale gdy włożył ręce do kieszeni, dobry humor momentalnie gdzieś wyparował. Zdał sobie sprawę, że nic jeszcze dzisiaj nie kupił a stracił już 160 dolarów.

■

„Kreks" na gorąco

„Jak kogut, nad swoją gnojówką fruwający śmiało, zadziornie napuszony człowiek będzie tylko zgrzytem, szalonym dysonansem w muzycznej przestrzeni. Kontrapunktem wycia w zwarłowanej fali czasu, która gówna tak samo jak perły obtacza, a diamenty szlifuje jak szkiełka".
Andrzej Krzepkowski, „Kreks" (s. 141)
(zamiast motta)

Powieść tę zapowiadano długo i szumnie. Zanim jeszcze ukazała się w księgarniach znalazła się na „liście bestsellerów" czasopisma „Fantastyka", a w nieoficjalnych rozmowach z ludźmi zbliżonymi do serii „z dżdżownicą" słyszało się opinie w stylu „No, były w serii książki słabsze, ale jak się ukaże „KREKS" (tytuł ten często opatrywano przymiotnikiem „rewelacyjny"), to dopiero zobaczycie..."

Ukazał się. Zobaczyłem. Zawyłem.

Zaiste, książka ta jest godna nie tylko znaleźć się w doborowym towarzystwie „Neuronów zbrodni", „Bez przerwy wypełniać tę ciszę", czy „Pierwszych podróży w czasie", ale też stać się perłą tej kolekcji i uwieńczeniem serii „z dżdżownicą". W ogóle powinna ona być ostatnią pozycją w serii, bo chyba już nic gorszego nie da się wymyślić (chociaż nie wiadomo, „obiecujący" autorzy pójdą pewnie za ciosem).

„Kreks" w swej warstwie treściowej jest poświęcony rozważaniom nad problemem **„Co myśli mrówka, kiedy walą się na nią dwa tłuste półdupki" (s. 44).** Aby odpowiedzieć na to ważkie pytanie autor potrzebował 200 stron. Wypełnił je mętnymi dywagacjami na temat wszystkiego, spisanymi najnieudolniejszą polszczyzną, jaką w życiu widziałem. Główny bohater Carl Enoor, vel noor, vel Carlos eN (używa też innych pseudonimów) jest jednocześnie wszystkimi postaciami w książce i przeżywa kilkanaście różnych sytuacji naraz. Żeby utwór był bardziej czytelny Carlos Enoor występuje też jako autor książki, ale opisuje siebie raz w pierwszej, raz w trzeciej osobie (zmieniając osobę wpoł akapitu) i miesza fragmenty zdarzeń przeszłych, teraźniejszych i przyszłych. Żeby było jeszcze łatwiej to zrozumieć, wszystkie opisywane w „Kreksie" zdarzenia okazują się na końcu dziać jednocześnie i mieć z sobą pewne związki. No i żeby w ogóle czytelnikowi nie utrudniać życia, to i tak nic z tego wszystkiego nie wynika. Zaś jeśli chodzi o formę, to ideą przewodnią jest tu „eksperyment". Wielką krzywdę wyrządzili niektórym autorom SF ten, kto „ciekawym eksperymentem formalnym" okrzyczał „Wytrzymać ciszę", czy „Lęk" M. Kurpisza. Echa tak pojętego „nowatorstwa formalnego" dźwięczą i w „Kreksie". Niestety, pisanie w czasie przyszłym lub pomijanie dużych liter i znaków interpunkcyjnych żadnym nowatorstwem formalnym nie jest. W podobny sposób zabawiali się różni awangardyści już pod koniec XIX wieku.

Wróćmy jednak do treści. Sam kreks jest to rodzaj jakby **„sportu" przyszłości, „szalona gonitwa po kosmosie", „zaproksymowanych (?) kosmolotów (...) przescigających czas, zakręcających w nim, zapętlających swoje szlaki w niemożliwe esy" (s. 26).** Pan Krzepkowski nie poświęca wiele miejsca na opis tych pojazdów, ale muszą one jako żywo przypominać Trabanta lub Syrenę 102-S, skoro wyprzedzone kosmoloty ogląda bohater w lustrze, (s. 79), a gdy rakieta rozwija wielką, niewątpliwie nadświetlną prędkość **„światła czołowych reflektorów układają się za nią jak miniaturowa Mleczna Droga" (s. 99).** Można to sobie wyobrazić **„kurewsko plastycznie" (s. 107).**

Konsekwentnie rozwija autor swe, uwidocznione w poprzednich utworach, zamiłowanie do niezrozumiałych słów. „Kreks" i bez nich jest bełkotem, więc nie będę nawet próbował rozszyfrowywać tych mini-zagadek. Zasygnalizuję tylko istnienie w powieści takich tajemniczych rekwizytów jak **„zaproksymowane kosmoloty", „zębami mereżkowane ulice", „transsłoneczny metal"** czy **„neutronowy bicz"** (być może jest to skojarzenie starego wynalazku amerykańskiej SF, neuronowego bicza z bombą neutronową). Ale są to w sumie drobiazgi.

„Kreks", jak już nadmieniłem, jest napisany językiem bardzo nieudolnym. Charakterystyczne cechy stylu Andrzeja Krzepkowskiego to zaczynanie zdań od „więc" i stosowanie szyku przestawnego, przypominającego dzieła Jana Chryzostoma Paska. Wrażliwy na piękno polskiego języka czytelnik autentycznie cierpi, gdy wysilając **„stulone w chłonną parabolę zmysły" (s. 107)** usiłuje to czytać. Ograniczę się tylko do kilku cytatów: **„Ponadczasowe i niezmienne będą chichotać złośliwie i tańczyć jak kat na skazańcu skaczący, by z niego krew wydusić, buchającą ustami" (s. 141), „W długim ślizgu szczupakiem wzdłuż stalowej ściany Enoor — wyciągnięty teraz i w środku napięty jak struna — zerknie przez ramię na rozświetlające się coraz intensywniej i mocniej dysze bandyckiej rakietki" (s. 40), „Na dalekiej planecie, gdzie dwie odmienne rasy żyją przy sobie tak blisko, jak półdupek przy półdupku" (s. 56), „Millda jest (...) tak kurewsko cholernie podobna do tamtej dziewczyny" (s. 76), „Trójnogi są łagodne jak antylopy miny" (s. 181), „Zawrze się w nim sztywny kwiat w woziwody butonierce, Milldy kołka wbijanego w ziemię wspomnienie, Carla obraz porannego słońca przebijającego chłodne cienie liści" (s. 170).**

Wystarczy? Można by takimi cytatami zapełnić całe „w kręgu fantastyki" i jeszcze pół „Kolumny ajencyjnej". Cóż. **„Statystycznie biorąc wszyscy jesteśmy ludźmi" (s. 168).** Ale tylko niektórzy pisarzami.

A przy okazji warto nadmienić, że ukazanie się w druku takich kawałków jak **„człowiek po równo nosi w sobie życia i zniszczenia", „dziesięć do szóstej razy", czy „tak powstanie hybryd — z nich...",** wystawia też świadectwo redaktorowi książki. To prawda, że książki są ostatnio trudno dostępne, ale jeśli ktoś chce się literaturą zajmować zawodowo, powinien sprawić sobie słownik poprawnej polszczyzny i od zasu do czasu tam zaglądać.

Mimo potwornych cierpień, jakie to ze sobą niosło, starałem się w tej powieści czegoś doczytać. Poświęciłem na to **„Kilkanaście godzin, ciągnących się jak gówno przylepione do buta"** (Cytat ze str. 106) i przyznaję, że jest w tym utworze zaprzepaszczony pomysł na całkiem dobrą powieść, a pod grubą warstwą grafomanii tkwią pewne literackie wartości. Wyciągać je na światło dzienne nie jest moją sprawą — znam układy i wiem, że „dzieło" to i tak znajdzie swych gorliwych chwalców.

Jedyne miłe zaskoczenie, jakie mnie spotkało, to zmiana przez KAW projektodawcy okładki. Ilustracja Wiktora Żwikiewicza jest o wiele lepsza od wszystkich poprzednich okładek serii, choć znacznie poniżej możliwości tego artysty. Podejrzewam, że zrobiła tu swoje nasza poligrafia.

Ale po co właściwie ja to wszystko napisałem? Na dobrą sprawę za całą recenzję wystarczył by cytat, którego użyłem „zamiast motta". Mówiąc krótko, wydanie „Kreksu" to absolutna kompromitacja tak dla wydawnictwa, jak i dla autora. Za jedno tylko chcę panu Krzepkowskiemu podziękować: dzięki jego powieści dowiedziałem się, co myśli mrówka, kiedy walą się na nią dwa tłuste półdupki.

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ ■

Rozwiązanie

Pewnego dnia na bezkresnych przestrzeniach Sahary wylądował Statek Obcych. Milczał, jakby ludzi po prostu ignorował. Może w ogóle dla niego nie istnieli?

— Co to jest? — Człowiek zadał pytanie Komputerowi.

— Żałuję, ale brak mi słów — odpowiedział Komputer i przepalił się.

Ale Człowiek nie odszedł z tego świata. Uważał, że jego przeznaczeniem jest zadawanie pytań. I — co najważniejsze — uznał też możliwość istnienia pytań, na które nie ma odpowiedzi.

Pomyślał jednak chwilę i sam znalazł odpowiedź na postawione pytanie.

„To jest NIC" — wyjaśnił sobie tajemnicę Statku Obcych.

I problem przestał istnieć.

ZBIGNIEW BAJERLEIN ■

Bułyczow na ekranach

Uwaga miłośnicy książek Kiryła Bułyczowa.

Jak donosi tygodnik „EKRAN" w numerze 5/82, Roman Kaczanow wspólnie z Kiryłem Bułyczowem jako scenarzystą i Nataszą Orłową, projektantem scenografii, zrealizowali sensacyjny film pt. „Tajemnica trzeciej planety". Treścią filmu będą przygody Alisy, która wraz z ojcem, profesorem biologii wyrusza na poszukiwanie zwierząt dla ziemskiego ogrodu zoologicznego. Wedle mojego rozeznania film, przynajmniej częściowo, będzie oparty na książce K. Bułyczowa „Diewoczka iz Ziemli", znanej polskiemu czytelnikowi pod tytułem „Podróże Alicji".

Czy film wejdzie na nasze ekrany, a jeśli tak to kiedy — na razie nie wiadomo. W najbliższym jednak czasie postaramy się zaprezentować kilka kadrów z tego filmu na naszych kolumnach.

M. D. ■

Kosmostworki ANDRZEJA BIEDRZYCKIEGO

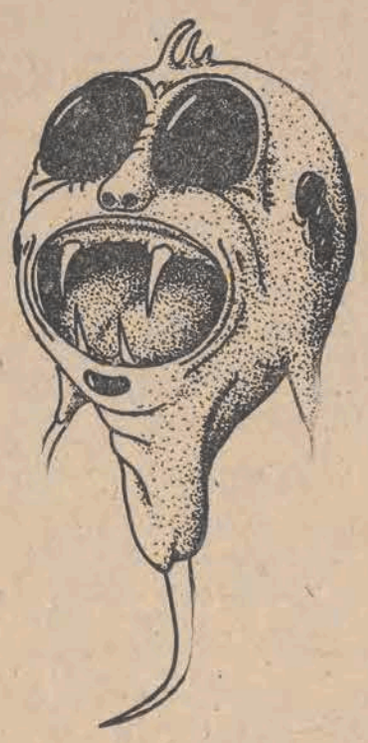

Okrutnica Takoma — *Lmmita fuzra*

ZGŁASZAMY REZYGNACJĘ

DO
KOLEGIUM REDAKCYJNEGO
w miejscu

Trudne warunki pracy, ustawiczne kłopoty materiałowe, a nade wszystko brak przeświadczenia, iż Kolumna Ajencyjna osiągnęła zadawalająco wysoki poziom, zmusza nas do samokrytycznego złożenia rezygnacji z mocą natychmiastową. Postaramy się jednak zapomnieć o tym, co było złe, a zapamiętać to jedynie, co było dobre.

AJENT
(podpis nieczytelny)

PRZYJMUJEMY REZYGNACJĘ

DO OBYWATELA AJENTA
w miejscu

Monotonne narzekania Obywatela na różnorodne trudności, a nade wszystko wspólny brak przeświadczenia, iż Kolumna Ajencyjna osiągnęła odpowiednio wysoki poziom, skłania nas do życzliwego przyjęcia złożonej rezygnacji. Postaramy się jednak zapomnieć o tym, co było złe, a zapamiętać to jedynie, co było dobre.

ZA KOLEGIUM
(podpis nieczytelny)

KOLUMNA 21 — POŻEGNALNA; NOSTALGICZN A I LIRYCZNA

RAFAŁ ORLEWSKI

ANONIMSCY

„Mówię — bom smutny — i sam pełen winy" —
Chciałem zawołać słowami geniusza,
Żem za kulisy niejednej rodziny
Zajrzał bez kwiatów i bez kapelusza.

Tam kwiat i ukłon. Prawie raj na ziemi.
Wszyscy wspaniali. Każdy się poświęca.
Trochę narzekań. Szeptów. Biadolenia.
Nikt się od pracy (cudzej) nie wykręca.

W ogóle — cacy. Szacunek narodu.
A nieodświętnie? Kulcik samochodu.
Za wychowanie. Za trud i wysiłek.
Jak topić w łyżce. Jak obrobić tyłek.

Jak tym ideom dać wysoką rangę.
— Starą metodą płodzi się anonim.
Piszą ŻYCZLIWI skargę, skargę, skargę —
Co ON wie o NIEJ, co ONA wie o NIM.

Piętrzą się akta. Mnożą dochodzenia.
Płynie czas pracy pod hasłem „Kto kogo".
I rosną nowi twórcy. Bez imienia.
Jak to się dzieje? Anonimscy — m o g ą !

Wesołego Nowego Roku!

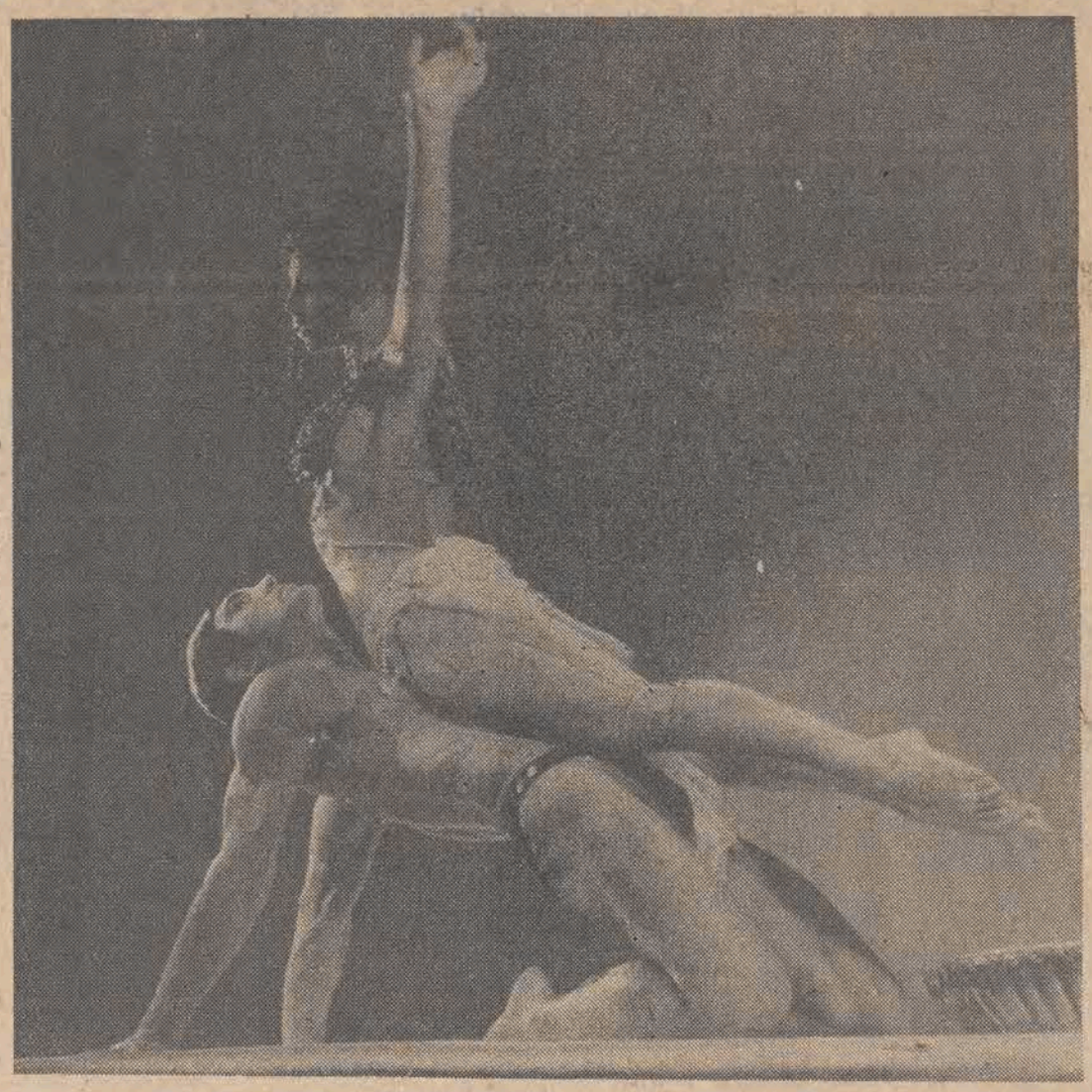

SUPERUKŁADANKA

No tak, odgadli Państwo: zdjęcie pochodzi z „Gilgamesza", jednego z najpiękniejszych spektakli Wrocławskiego Teatru Pantomimy przygotowanego przed laty przez Henryka Tomaszewskiego.

Co prawda — zgodnie z naszymi przewidywaniami — nikt nie był aż tak nierozsądny, aby ciąć nasze prześliczne Kolumny Ajencyjne i SUPER-UKŁADANKĘ wyklejać, praca wykonana w wyobraźni też jednak zasługuje na pochwałę, której niniejszym Czytelnikom udzielamy.

Po głębokim i w pełni dojrzałym namyśle postanowiliśmy zwieńczyć naszą działalność prawdziwie mocnym akcentem: poetyckim debiutem dziesięcioletniej autorki Małgorzaty Marendziak. Oczywiście trudno oceniać te dziecięce utwory „dorosłymi" kategoriami, trudno przesądzać, czy z Małgosi wyrośnie poetka czy malarka — jest, sądząc z wierszy, ogromnie uczulona na kolory — czy może lekarka albo jeszcze ktoś inny. Wiersze są jednak naprawdę ładne. Małgorzacie życzymy zaś przy okazji wiele, wiele szczęścia w nadchodzącym roku i wszystkich latach następnych.

Małgorzata Marendziak (lat 10)

O Janeczce

Co powiemy o Janeczce,
małej schludnej dzieweczce?
Łąka się bieli od lnu,
cóż po Janeczce tu?
Janeczka, miła dzieweczka
zmieniła imię na Biedroneczka,
a jak zmieniła niedługo żyła
i w jasne niebo wyfrunęła.

Łąka

Czerwone tulipany, żółte żonkile,
ile na łące kwiatów, ile?
Dwa żółte tulipany, dziesięć czerwonych,
szkoda, że nie ma zielonych.
Zielone w marzeniach płyną,
otworzysz oczy, już zginą.
Na łące rosną marzenia, sny
dla mnie nieprawdziwe,
prawdziwe dla czarnej pchły.

Rys. Jarosław Szymański

Do naszego spadkobiercy

Drogi Nasz Spadkobierco, Drogi Przyjacielu (byłoby jeszcze milej gdybyś okazał się być kobietą; mógłbym wtedy z cieniem nadziei napisać po prostu: Droga Przyjaciółko!), Drogi Przyszły Ajencie!

Nie zamierzam Cię straszyć, ani tym bardziej już na starcie podkładać tak zwanej świni, bądź jednak zupełnie pewien, że inni uczynią to z większą wprawą i całkiem bezinteresownie. Naszym podstawowym błędem było oderwanie się od żywego życia, uprawianie tak zwanego pure nonsensu i innych figlików. Wystrzegaj się tego, a jeżeli zaangażujesz jakiś personel — goń go bezlitośnie do roboty. Myśmy nie gonili i marnie na tym wyszli!

Przekazuję Ci też trzy teczki: grubą, cienkawą i prawie pustą.

W tej ostatniej znajduje się tak zwana proza, niestety niezupełnie rozrywkowa, gdybyś jednak — o czym myślałem w chwilach depresji — chciał zmienić profil lokalu tj. kolumny, może coś Ci się nada.

W cienkawej są rysunki, przeważnie ociekające krwią, a nawet trochę makabryczne. Dbaj jednak o młodych autorów, pamiętaj też, że to my, ajent — pospołu z „Karuzelą" co prawda — odkryliśmy Jarosława Szymańskiego.

Dbaj jednak i o autorów zasłużonych, choćby o Eugeniusza (dla przyjaciół Gienia, zwanego również Dziadkiem) Iwanickiego, któremu wynajęliśmy rubrykę, lecz ta — jak na złość — akurat na pożegnalnej kolumnie nie chciała się zmieścić.

Fraszki, maksymy i złote myśli — znajdziesz w teczce najgrubszej. Nigdy nie zdołaliśmy doprosić się liczydeł albo nawet zwykłej wagi, nie umiemy więc powiedzieć, ile tego jest na kilogramy czy na sztuki, sporo wszakże.

Wybór gustownych przerywników reprodukujemy poniżej. Korzystaj z nich wedle chęci.

I to byłoby — z grubsza — na tyle. Trzymaj się, Przyjacielu, bo niekiedy do Ciebie pisywał i zdalnie podtrzymywał na duchu.

BYŁY AJENT

P.S. Przejmując aktywa, przejmiesz — mam nadzieję — również passywa, zadbaj więc — proszę — o rozstrzygnięcie ogłoszonych przez nas konkursów i dopilnuj wysłania ewentualnych nagród. Pana A. K., laureata konkursu „Czyja to noga?", obsłużyliśmy osobiście

Alfabetyczna lista autorów

Zamieszczając — zgodnie z obietnicą — ALFABETYCZNĄ LISTĘ AUTORÓW PUBLIKUJĄCYCH NA KOLUMNIE AJENCYJNEJ, czujemy się w obowiązku wyjaśnić, iż:
— lista pomija tłumaczenia i przedruki (m.in. rysunków Peyneta i Jujki, znakomitych facecji Horacego Safrina, etc., etc.) uwzględniając jedynie twórców którzy przysłali utwory na nasze, tj. ajenta ręce;
— w nawiasach podaliśmy miejsce zamieszkania niektórych autorów, zaś w przypadku rysowników — ich pseudonimy;
— autorów pominiętych — przepraszamy, z całą pewnością nie był to wynik złej woli, a zwykłego roztargnienia.

PROZAICY, POECI, FRASZKOPISARZE

ADAM BIEŃKOWSKI
TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI
HENRYK CZARNECKI
PAWEŁ DOREJKO (Warszawa)
KRZYSZTOF DRZEWIECKI
TADEUSZ FANGRAT (Warszawa)
BOHDAN GADOMSKI
ROMAN GORZELSKI
KAZIMIERZ GUZIK (Polanica Zdrój)
JAN GWÓŹDŹ
EUGENIUSZ IWANICKI
HENRYK JAGODZIŃSKI (Wrocław)
BARBARA JANKE-BIANEK (Pabianice)
SERGIUSZ KUKUŁA
WOJCIECH KAWECKI
WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI
JERZY LESZCZYŃSKI (Kraków)
MAŁGORZATA MARENDZIAK
DARIUSZ MUSZER (Zielona Góra)
RAFAŁ ORLEWSKI (Piotrków Tryb.)
RYSZARD PRZYMUS (Warszawa)
ZDZISŁAW WOJNOWSKI (Opole)

RYSOWNICY

ANDRZEJ ADAMOWICZ
ADAM BIEŃKOWSKI („Polikarp")
JÓZEF SKONIĘCZNY („Skony")
JAROSŁAW SZYMAŃSKI
ANDRZEJ WALECKI

MILI KORESPONDENCI

CIOTKA
ANDRZEJ KRAKOWSKI
„ŚCIĄGA" — zespół kabaretu z Gliwy.
WŁADEK (sax ten)

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

AJENT
CÓRKA AJENTA
KUZYN AJENTA
MLECZNI BRACIA AJENTA
RECENZENTKA (ex-narzeczona kuzyna ajenta)
STARSZY KUCHCIK
SZEF KUCHNI

FRASZKI

Tadeusz Fangrat

O ŁÓDZKIM ZOO

Historia tego ZOO
(ach któż z młodych to wie!)
swój początek wzięła
od małp w Helenowie.

Roman Gorzelski

UNIWERSALNY TRĘBACZ

Dmie
Dwie.

1 Nagłe zastępstwo

Ciężko jest – ale lepiej niż w USA!

Mamy podobno więcej magistrów na tysiąc ludności niż Stany Zjednoczone — satyryk i estradowiec, mgr (inżynier zresztą) z kabaretu „Elita" Tadeusz Drozda wygłaszał niegdyś całe monologi na ten temat, rozśmieszając do łez publiczność i siebie na dodatek. I co się okazuje? Nie ma się co śmiać — jak doniosła „Polityka" pewien amerykański uczony twierdzi, że jakość życia jest u nas nieporównanie wyższa niż w USA!

Uprzedzam ataki rozwścieczonych rodaków — Richard Estes to nie jest pseudonim Jerzego Urbana, ani żaden agent Kominternu, tylko uczony z Pensylwania University, który zupełnie serio, metodami naukowymi bada jakość życia w poszczególnych krajach. Tyle że dla niego jakość życia nie oznacza ani relacji między zarobkami, a cenami ani jakości samochodów i sprzętu elektronicznego ani dostępności towarów na rynku. Tym się zresztą też zajmuje i nie zaprzecza wpływu czynników gospodarczych na jakość życia. Tyle że nadaje im odpowiednią rangę W czterdziestoczteropunktowej skali Estesa tylko cztery punkty dotyczą gospodarki. Estes natomiast za podstawę wartościowania przyjmuje m.in. analfabetyzm i wykształcenie, zdrowie i opiekę socjalną, uczestnictwo polityczne, prawa kobiet, wzrost gospodarczy, inflację, czynniki kulturowe, procent ziemi uprawnej, huragany i susze, dochód na mieszkańca, śmiertelność niemowląt, wpływ wojskowych oraz częstotliwość rozruchów politycznych. Otóż w tabeli Estesa Polska ma 168 punktów a USA zaledwie 116 (Pierwsza, Dania osiąga 201 pkt.).

Gwoli ścisłości dodać trzeba, że badania Estesa dotyczyły lat 1969/70 i 1979/80. Jak łatwo zauważyć amerykański uczony mógł brać pod uwagę burzliwe wydarzenia roku 70 i 80 przy pozycji „częstotliwość rozruchów politycznych", nie mógł natomiast uwzględniać stanu wojennego w pozycji „wpływ wojskowych".

A i tak mu wyszło, że u nas całkiem nieźle.

Oczywiście badania Estesa budzą wiele kontrowersji.

Choćby pierwsze miejsce Danii. Szwedzi, cieszący się od lat wyjątkowo wysoką stopą życiową i bardzo rozwiniętymi funkcjami opiekuńczymi państwa czują się wręcz urażeni. Zwłaszcza, że tak jak Finowie i Norwegowie traktują tradycyjnie Duńczyków z góry. Coś tak mniej więcej, jak Niemcy nas i vice versa. Tak że przyjęta przez amerykańskiego badacza skala wartości budzi wątpliwości. W takim jak nasze choćby społeczeństwie, gdzie możliwość posiadania luksusowego samochodu jest traktowana jako wartość dużo wyższa od — powiedzmy — możliwości posiadania przyzwoitego mieszkania. Takie natomiast istotne atrybuty naszego życia społecznego, jak bezpłatne szkolnictwo wszystkich szczebli, czy bezpłatna opieka lekarska albo gwarantowane prawo do pracy już dawno straciły walory przywileju — traktujemy je jak wodę i powietrze — coś co jest, zawsze było i być musi...

Natomiast od pewnego czasu przywykliśmy do myśli, że funkcje opiekuńcze naszego ustroju, naszego nadwerężonego kryzysem systemu ekonomicznego winny być nadal rozwijane. Najlepszy przykład — sprawy młodzieży. Narażę się teraz wielu ludziom, ale świerzbi mnie pióro od dawna, żeby napisać, iż młodzieży z racji wieku nic szczególnego się nie należy — przynajmniej nic więcej niż pozostałym obywatelom. Wiem, młodym jest ciężko na progu dojrzałości, na starcie do życia. Ale nie wynika z tego, że starym jest dobrze! Każdy przywilej, jaki otrzymują młodzi polega przecież na uszczupleniu praw reszty społeczeństwa...

Doszliśmy do wniosku, że życie należy ułatwiać nie wszystkim, tylko wybranym grupom, którym jest najciężej. (Ze zrozumiałych względów nie czepiam się tu emerytów, rencistów i niepełnosprawnych, tym niemniej nie chciałbym, gdybym miał teraz lat dwadzieścia, być traktowany przez państwo i społeczeństwo jak niepełnosprawny...).

Otóż ciężko, proszę Państwa, jest piłkarzom — poszerzyć bramki! Ciężko jest mleczarzom, bo wstają o trzeciej w nocy — przesunąć godziny roznoszenia mleka na popołudnie! Ciężko jest dzieciom bo muszą chodzić do szkoły pięć (sic!) dni w tygodniu i mają zaledwie dwa miesiące wakacji — tydzień szkolny ograniczyć do trzech dni, a wakacje za to — cztery miesiące! Dziennikarzom jest ciężko, bo z dnia na dzień muszą pisać co na świecie — wydać raz dobrą gazetę, potem ją tylko co dzień drukować z nowym programem telewizyjnym i prognozą pogody!

Ogólnie biorąc — jest ciężko, ale — jak udowodnił amerykański uczony — i tak lepiej niż za oceanem. Oby tak dalej!

Do siego Roku!

ANDRZEJ KAROL

2 Zdarzenia i zwierzenia

Foto Kudaj

Jak ten czas leci! Gdzieś tak dwadzieścia lat temu wracaliśmy z jakiejś obsługi. Tak nazywaliśmy wszelkie oficjalne narady i konferencje, z których relacja musiała być nazajutrz w gazecie. Gienek pracował w „Expressie", ja w „Głosie".

Gienek oczywiście robił „obrazki" — czyli prezydium, przewodniczącego, a czasem gościa z Warszawy, który z reguły gościł na sali przez pierwsze pół godziny. Potem w gazecie ukazywały się standardowe zdjęcia podpisane „Foto Kudaj" Szczerze mówiąc, to te narady były dość sztampowe — czasem, mimo konkurencji, wymienialiśmy się materiałami — Gienek chętnie dawał swoje „obrazki" do „Głosu", ja nieraz korzystałem z notatek kolegów z „Expressu", i — oczywiście — odwrotnie...

Narady, bywało, kończyły się późno, ja biegłem na Żwirki, aby w drukarni napisać sprawozdanie, Gienek biegł do swojej klitki — ciemni na Piotrkowskiej, aby stamtąd przesłać przez kierowcę „obrazek" do drukarni.

Powtarzam, było to dwadzieścia lat temu. Miałem niewiele ponad dwadzieścia lat. Gienek był ode mnie starszy o dwadzieścia lat, ale nigdy ani do niego, ani o nim nikt nie mówił „pan Kudaj", lecz wszyscy do dziś mówią — Gienek Jest bowiem kolegą, prostym, bezpośrednim, chętnie pomogającym młodszym.

Dwadzieścia lat temu — jesienią — staliśmy na rogu Kościuszki i Andrzeja. Ja czekałem na tramwaj w kierunku Żwirki (nikt nas wówczas samochodami nie rozpieszczał), Gienek szedł do ciemni na Piotrkowską.

Mieliśmy jeszcze trochę czasu. Numer gazety zamykano około dwunastej w nocy.

Szumiało miasto, snuli się ostatni przechodnie i wówczas zobaczyliśmy człowieka, który szedł sobie alejami Kościuszki z waltornią.

— Popatrz — powiedział Gienek — zaraz będzie koncertować jesień.

Trzy lata później ukazał się w WŁ mój tomik „Obrona krajobrazu", w którym znalazł się wiersz zakończony frazą:

„w tej nocy na wprost
wyciągniętej dłoni
tuż za krawędzią palców
koncertuje jesień".

Ten wiersz zadedykowany jest w książce Gienkowi Kudajowi jako współautorowi.

Skąd się wzięła ta bardzo osobista refleksja? Otóż dowiedziałem się, że Gienek Kudaj zakończył swoją zawodową działalność i przeszedł na emeryturę. Ale dla dziennikarza — a przecież Kudaj jest dziennikarzem, tyle, że głównie wypowiadał się poprzez zdjęcia — nie ma emerytury.

Przebogate archiwum Kudaja będzie procentować jeszcze przez całe lata To bogactwo dokumentacji fotograficznej — kilkadziesiąt tysięcy zdjęć — jest nieocenionym źródłem wiedzy o czasie, który minął. Myślę, że ktoś pomyśli o tym, aby umożliwić Kudajowi opublikowanie albumu jego archiwalnych fotografii.

„Foto Kudaj" był obecny przy wielu wydarzeniach, ma utrwalone na kliszy czasy i sprawy. Nie robił wyłącznie obowiązkowych „obrazków" z narad i konferencji, robił także wielkiej piękności zdjęcia artystyczne, takie, jakie może zrobić tylko zakochany w swoim mieście łodzianin.

Wiem zresztą, że choć signum „Foto Kudaj" zniknie z łamów łódzkiej prasy, dokumentacja fotograficzna tego miasta rodzić się będzie nadal. Dla dziennikarza nie ma emerytury, gdy jest prawdziwym dziennikarzem. A Eugeniusz Kudaj jest właśnie tym, dla którego praca w gazecie była i jest pasją życia.

JERZY WILMAŃSKI

3 Lewym okiem

Zbieram sny!

Święta idą — odpocznijmy trochę od Historii, co się na naszych plecach z dnia na dzień pisze, od dręczących nas na co dzień kłopotów i spraw wielkiego świata. Co do mnie — kiedy chcę sobie zafundować taki odpoczynek, sięgam do starych pism i gazet, tych sprzed pół wieku i więcej, zamykających czas pamiętny przecież, a jakże inny, jak daleki!

Zapewniam Was — można w tych lekturach znaleźć wiele uroku. Nawet w rubrykach drobnych ogłoszeń, krótkich, streszczonych do kilku, kilkunastu słów, a zdolnych poruszyć wyobraźnię i dać asumpt do zamyśleń nad ludzką kondycją. Zabawmy się dzisiaj wspólnie w takie świąteczne czytanki.

Oto parę ogłoszeń specjalnego typu: nadawali je zakochani, którzy inaczej kontaktować się ze sobą nie mogli, a więc przede wszystkim panowie żonaci z zamężnymi paniami. Słowa skoncentrowane do szyfru, bo każde kosztuje, musi ich być jak najmniej, a tyle mają do powiedzenia! Postronny podglądacz — jak my — zapewne nie wszystko rozumie, ale dośpiewać może sobie całą nowelę, czy dramat dwojga szukających się serc:

— „Jeśli Żegiestów — spotkamy się. Daj wiadomość wprost czy chciałbyś — A.". (Ilustr. Kurier Codzienny z 10. 06.1938 r.).

— „Rozpacz zabije. Koniecznie przyjedź" (IKC z 6.10.1936).

— „Daj możność przesłania, abyś pewnie otrzymał. Dlaczego obawa przybycia? Odpowiedz. Niezdrowe. Całuję. LW". (IKC z 6.03.1936).

— „Emil proszony jest o znak życia. Wszystko przebaczone — Inka" (IKC z 6.03.1936).

— „Mix. Spotkanie odwołane. Myśl o małżeństwie była niepoważna. Wszystko było okłamywaniem obu Pań — zgrzeszyłem — zaraz wyjeżdżam — W.". (IKC z 16.06.1938)

— „Roma: czekam 23 lutego, jak zawsze, daj znać, jak pisałam. Pozdrawiam i całuję". (IKC z 15.02.1937).

Albo inny gatunek ogłoszeń świadczący o nieskończonej różnorodności typów ludzkich, zamiłowań, dziwactw:

— „Sny ciekawe zbieram. Lwów 1, poste-restante, nr leg. 47". (IKC z 15.02 1937).

— „Czterdziestoletni emeryt wojskowy pragnie osiedlić się w głuchej samotnej sadybie — bezinteresownie kto ułatwi? Oferty Nr. 1241". (IKC z 15.02. 1937).

— „Administrator lat 34, na poważnym stanowisku, posiada większą gotówkę, poślubi z braku znajomości Panią o miłym charakterze, materialnie niezależną, do lat 60. Łaskawe zgłoszenia z fotografią...". (IKC z 15.02.1937).

A oto przyczynek do historii snobizmu ludzkiego:

— „Przez adopcję nadam historyczne nazwisko z tytułem hrabiowskim. Pod I. S..." (IKC z. 15.02.1937).

— „Instytut heraldyczny przeprowadza sprawy legitymacyjno-szlacheckie, poszukiwania archiwalne, sporządza wyciągi herbowe, rodowody. Warszawa, Obrońców 31". (IKC z 15.02. 1937).

Podobny „instytut" istnieje dzisiaj także, noszący zresztą odpowiednio unowocześnioną nazwę „Punktu usługowego". Kto stanowi klientelę takiego punktu, kto szuka przodków z herbami i szlacheckich indygenatów — trudno zgadnąć; w każdym razie pamiętamy przecież i takie lata, kiedy w ankietach na siłę wypisywało się „pochodzenie robotniczo-chłopskie", albo: „Matka — bezkonna wdowa...".

Nie o snobizmie, a wręcz o jego odwrotności — o autentycznej biedzie zmuszającej do rezygnacji nie tylko z herbów i tytułów, ale z ambicji zawodowych, ba — z własnych dzieci! — też znajdziemy niejedno świadectwo w rubrykach drobnych ogłoszeń:

— „Dziecko 11-to miesięczne oddam za swoje lub na wychowanie. Zgłoszenia... (Dziewczynka)" (IKC z 15.02 1937).

— „Władający językami polskim, niemieckim, francuskim i włoskim poszukuje pracy portiera hotelowego, fabrycznego. Pierwszorzędne świadectwa z zagranicy, energiczny, zdolny, złoży kaucję. Łaskawe zgłoszenia..." (IKC z 15.02.1937).

I wreszcie coś z branży, z którą mam na co dzień do czynienia:

— „Dziennikarskie artykuły, prelekcje redaguje potrzebującym — literat". (IKC z 15 02. 1937).

To się przynajmniej nazywa dyspozycyjność Bez jakichś tam światopoglądów, kontestacji, fochów, bez haseł o posłannictwie i inżynierii dusz: pan płacisz, a ja piszę Drobny anons w prasie pozwoli nam nawiązać kontakt, po odejściu od kasy reklamacji i zwrotów nie przyjmujemy.

Wesołych Świąt!

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI (ĆWIEK)

4

Resztki ze świątecznego stołu

Kolejka posuwała się powoli, z przodu dobiegały odgłosy pluskania i chlupania. „Dobre rybki, świeżutkie, nie jakieś tam mrożone kilka miesięcy temu poskudztwo" — cieszyłam się. Radość trwała krótko. Zawinięty w gazetę mój karp energicznie machnął ogonem. Z trudem opanowałam chęć panicznej ucieczki. Już wiedziałam: ja go nie zamorduję. Ale od czego są mężczyźni? Mąż na nieśmiałe pytanie: „Zabijesz rybkę?" niebezpiecznie pozieleniał na twarzy. Zaczęliśmy więc szukać mordercy. Wytypowaliśmy panią M. Kobieta słusznej postury, pozbawiona sentymentów i na dodatek lubi ryby. Wymyśliłam więc — jak się zdawało sprytnie — że jedną rybę dostanie w prezencie, a za to i z naszymi zrobi porządek. Zadowolona z pomysłu wręczyłam jej karpia. Rybim zwyczajem otworzył pysk. „Zabierz go — zawołała pani M., a w jej głosie zadrgały nuty histerii. Ja go nie chcę, on żyje". Żył i mój.

Kolejne typy także zawiodły. Wysłuchałam za to wielu dobrych rad: połóż pod koło i przejedź, ale przez głowę, nie po brzuchu. Wsadź do piecyka, od gazu szybko padnie. Do zamrażalnika go, a potem przykryj ścierką i rżnij pod spodem, żeby nie było widać, jak łypie...

W Wigilię nad talerzem unosił się apetyczny zapach. Skórka była chrupiąca, przyrumieniona, obok chrzan. Dobra rybka. Świeża zawsze lepsza niż mrożona. Skąd się wzięła na talerzu, skoro nikt nie chciał jej zabić?

Z innymi świątecznymi produktami było mniej kłopotów. W odpowiednim czasie pojawił się tzw. dziadek i konspiracyjnym szeptem zapytał: „szyneczkę pani weźmie?". Tu odezwał się dwugłos mojej moralności (jakby tak wszystkie roznoszone po domach szynki trafiły do sklepów, to dla każdego byłoby więcej, niż przydziałowe 30 dkg) i żołądka (bierz, bo to może ostatnia okazja). Żołądek był głośniejszy.

Po dwóch tygodniach umówiłam się ze znajomym posiadaczem działki i beczki na wędzenie. O bardzo wczesnej, niemal nocnej porze, żeby nikt nie widział, bo jednak to jakoś nie bardzo wypada. Przechodziłam przez bramę ogródków działkowych, niespokojnie rozglądając się na boki. Za mną i przede mną, tak samo chyłkiem, ciągnął spory sznurek ludzi z wiadrami i pękatymi torbami. Wkrótce nad wszystkimi działkami unosił się pachnący jałowcem dym.

Kolejna ważna sprawa — trzeba czymś wznieść toast „wesołych świąt". To, co na kartki rozeszło się na początku miesiąca. Bez kartek — kilometrowe kolejki, szkoda czasu i zdrowia. Na szczęście był dodatkowy przydział cukru. W kiosku z warzywami poprosiłam o 20 kg tanich jabłek, mogą być obite. „Na co pani aż tyle" — zdziwił się sprzedawca. Odpowiedziałam zgodnie z prawdą. W oku kioskarza pojawił się błysk zainteresowania. „Pani da przepis — poprosił — bo ja zawsze z ryżu, ale nie najlepiej wychodzi".

Tym sposobem węzłowe problemy świąt zostały rozwiązane. Ciasto to już drobnostka — 6 jajek na kartki, do sernika potrzebne osiem, ale od czego targ i prywatne sklepy? Jeszcze kapusta, grzyby suszone (jeden spory kapelusz borowika 120 zł), bieganie po sklepach w poszukiwaniu drobiazgów pod choinkę. A w nocy — bo dzień na to wszystko za krótki, tym bardziej, że i w pracy od czasu do czasu coś trzeba zrobić — obłęd szorowania, prania, porządkowania w szafach itp., ponurych czynności. „I po co to robisz — zapytał znajomy, któremu tłumaczyłam, że wstydzę się podawać rękę, zniszczoną ciężkimi robotami — w domu ma być zawsze czysto, nie tylko na święta". Racja, ma być i przeważnie nie jest tak najgorzej. Jednak — jak wiele kobiet — nie potrafię opanować w tym czasie chęci przewrócenia domu do góry nogami. Przy świątecznym stole usiadłam wykończona, ale w przewrotny sposób zadowolona z bolącego krzyża i spierzchniętych rąk. Przecież mimo kryzysu udało się. Było wszystko, co być powinno. Pachniało choinką, ciastem i pastą do podłogi.

„To już ostatni raz — stwierdziłam. W przyszłym roku jedziemy na wczasy, odpoczniemy". Nikt mi nie wierzył. I słusznie. Za rok powtórzą się kłopoty z karpiem, szynką i sprzątaniem. Dobrze, że się powtórzą. Jak dobrze, że dopiero za rok.

AGATA

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olchnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Igor Sikirycki (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański, Giano (grafik), Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony sekretariat i redaktor naczelny 652-44 sekretarz redakcji 680-99 publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153-201045-139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 2839. F-11.

Czy czuje pani bluesa?

ANDRZEJ JÓŹWIAK

Śnieg. Dachy domów, wystawy sklepów, reklamowe neony bogato inkrustowane szronem. Podobno w Hofgarten — parku pochodzącym jeszcze z napoleońskich czasów — kilka gałęzi starych drzew wygięło się, a potem pękło pod ciężarem śniegu. Powietrze czyste i zimne. Potęguje to dodatkowo weinachtliche Stimmung (nastrój gwiazdkowy).

Szał świątecznych zakupów. W wielkim sklepie muzycznym na Berliner Allee regały nabite kolorowymi okładkami longplayów, kasetami, singlami, zdjęciami gwiazd muzyki rockowej, barwnymi plakatami i folderami, Beatles, Pink Floyd, Rolling Stones, Led Zeppelin, Rod Stewart, AC/DC, ABBA, Roxy Music, Bee-Gees, David Bowie, Kraftwerk, Stevie Wonder, Bob Marley. Obok duże stoisko z nagraniami Beethovena, Wagnera, Chopina, Brahmsa. Prezenty dla melomanów w każdym wieku.

Z dyskretnie umieszczonych kolumn głośnikowych „leci" ostry rock przerywany krótkimi informacjami Thomasa Gottschalka.

— Thomas Gottschalk to prawdziwa gwiazda — mówi Lucka. — W ubiegłym roku w konkursie na telewizyjną gwiazdę zdobył w kategorii mężczyzn „brązowy medal".

— A wśród kobiet? — pytam

— No tu bezkonkurencyjna była Farah Fawcett. Wiesz ta od „Aniołków Charliego"... Jej przyznano złoto.

Thomas strzela jak kulomiot: *...ma pięć sióstr i pięciu braci. Jego naturalne włosy to blond, ale na estradzie ma zawsze czarne. Żyje ze swoją żoną w separacji, chociaż ma z nią dwoje dzieci. Tak, tak, tak, TAAK — to Shakin' Stevens i jego światowej sławy szlagiery: „Marie, Marie" i „You drive me crazy". A jego prawdziwe nazwisko? Pytacie o to w licznych listach... Mike Barrat. Zwany jest angielskim Presleyem. SHAKIN' STEVENS w świątecznym nastroju i jego wielki hit...*

Po Düsseldorfie oprowadza mnie Lucka, która robi jakąś bliżej nie sprecyzowaną karierę. W tym roku ściągnęła tu swoją siedmioletnią córkę Dominikę. Do tej pory dzieckiem zajmował się Artur — ojciec dziecka — i jego matka. Na „starość" obudziły się w Lucce macierzyńskie uczucia.

— Widziałeś się z Arturem? — jakby od niechcenia pyta Lucka przeglądając okładkę „Babylon by Bus" Boba Marleya. Kiedy potwierdzam, Lucka dodaje — mówił coś?

— Powiedział, że zadusi cię własnymi rękami. Cytuję... uduszę ją i jej szatańską krzyżacką rodzinę za przeszmuglowanie dziecka do RFN.

Chodzi tu o to, że Lucka wywiozła dziecko, kiedy Artur był służbowo za granicą. Lucka złożyła przed sądem fałszywe zeznanie, że Artur pozostał w RFN na stałe. Dobra, naiwna sędzina przekonana, że jest to wybieg mający na celu legalne wywiezienie dziecka i połączenie się całej rodziny w kraju dobrobytu — wyraziła zgodę na wyjazd Dominiki. Kiedy dziecko było już w RFN, Artur wrócił i zastał mieszkanie puste. Szalał.

— Prostak! — Lucka myśląc o Arturze skrzywiła się. — On nigdy nie czuł bluesa.

Domki z dachami pokrytymi czapą śniegu wyglądają, jak ze snu czarodzieja. Te domki z czerwonej cegły to obóz dla polskich uchodźców w Düsseldorfie. 200 metrów od Lichtstrasse. Przemysłowa dzielnica Flingern Nord.

— Zaczekam w samochodzie — mówi Lucka — nie chcę mieć nic wspólnego z tą hołotą...

O, Lucka to jest dama. Ma dwa pokoje z kuchnią. A tutaj pokoje 6—8-osobowe. Białe szpitalne łóżka. Stół. Krzesła. Wspólna ubikacja na korytarzu.

Szukam Maćka. Mieszka tu ze swoim psem Docentem. Mieszkańcy rozmawiają niechętnie. Oni są już bez powrotnego biletu. Zresztą od samego początku wykupili bilet w jedną stronę. Ich stacja to stacja upokorzeń lub (wątpliwego) sukcesu. W tej chwili nie są już zresztą tacy pewni, czy wylosowali najlepszy los na loterii. Pogmatwany współczesny dzień. Niepewność jutra. Tęsknota. Poszarpana biografia...

No i co z tego stareńki, że nie jest nam łatwo. A czy w Polsce jest łatwo. Tu jest inaczej. Tu się stareńki czuje bluesa.

Najpierw wysiedli z pociągu. Potem było biurko, a za nim facet lub dwóch. W przypadku Maćka były to dwie kobiety o urodzie wskazującej na bliskie pokrewieństwo z Frankensteinem. I seria pytań z ankiety.

NAZWISKO, IMIĘ, DATA I MIEJSCE URODZENIA, ZAWÓD, KOLOR WŁOSÓW, KOLOR OCZU, BLIZNY, ZNAKI SZCZEGÓLNE, WZROST, WAGA, RELIGIA, KARANY? CZY BYŁ CZŁONKIEM NIŻEJ WYMIENIONYCH ORGANIZACJI? PZPR? JAKIE FUNKCJE SPRAWOWAŁ? TYTUŁY, ODZNACZENIA, DYPLOMY...

Chłopcy z Flingern Nord nie są mi chętni, a poza tym spieszę się, bo śnieg to manna z nieba. Dziesięć DM za godzinę odśnieżania. Oby padał we dnie, w nocy, przez cały rok.

Wszystkie pojazdy włączyły światła mijania. Lucka jedzie ostrożnie, bo wiezie skarb. Siebie.

I człowieka z prowincji Europy. Mnie. Na ulicę wyjechały już maszyny odśnieżające, a ludzie w pomarańczowych kurtkach sprawnie przecierają szlak.

— Do Hofgarten? — pyta.

Hofgarten. Na ulicy tłok, gwar i dobiegające ze wszystkich stron głośne, radosne życzenia: gesegnete, froehliche Weinachten! (Wesołych Świąt Bożego Narodzenia).

Maciek odśnieża ścieżki starego parku Hofgarten. Jest sam w parku. On, jego szalejący w śniegu pies Docent i łopata. Pomarańczowa sylwetka na białym tle. Gdzieś daleko martwą bielą przecięta czarną wstęgą — dziełem lodołamacza „Bismarck" — majaczy Ren.

— Jak mnie znalazłeś w tym tłumie? Maciek przerywa na chwilę robotę. — Widzisz, przygoda dla mężczyzn. Śnieg, lód, Klondyke, wielka delta Yukonu, wierny pies, a ja samotny na tym pustkowiu. London, chłopcze, czuł bluesa jak mało kto...

Miesięczny zarobek Maćka w kraju sześć tysięcy zł. Obiady w stołówce: 1.500. Mieszkanie: 900. Światło, gaz: 350. Alimenty: 1.500. Papierosy: 1.600. Śniadania, kolacje? Ubranie? Do 1980 roku Maciek grał we wszystko. Zajmował go cały świat. W maju 1981 przestał grać.

Moje miejsce jest w kraju? A dlaczego nie tutaj? I tu i tam są przestępcy seksualni, prostytutki, chuligani, alkoholicy, wariaci, ekshibicjoniści, debile i te normalne ludzkie glisty, które bezinteresownie plują ludziom w życiorysy. Znałeś przecież tego mojego mundrola docenta? Fachowiec od stawiania kropek... Pamiętasz go... ten chudy z tłustymi włosami. Mojego psa nazwałem Docent. I to było całe moje odegranie się na tym gnojku.

— Docent. Do nogi. — woła Maciek.

Żebyśmy już mieli całkowitą jasność: pies Docent jest suką.

Lucka wynudziła się w samochodzie i teraz chaotycznie opowiada o Dominice. Dziecko uczy się bardzo dobrze. Po niemiecku mówi perfekt. Nauczycielka wprawdzie stwierdziła — i tu Lucka chwilę waha się czy mi to dalej mówić, ale decyduje się w końcu — że Dominika czasem w trakcie lekcji ni stąd ni zowąd wchodzi pod ławkę i nie chce stamtąd wyjść, ale... I tu Lucka bardzo zgrabnie tłumaczy, że dziecko w ten sposób wyłącza się z otoczenia i rozładowuje swoje stressy.

— To jest bardzo dobre dla psychicznego zdrowia dziecka — z naukową powagą instruuje mnie Lucka — że nie tłumi kompleksów w sobie, ale ostentacyjnie manifestuje...

— Wchodząc pod ławkę?! — prawie krzyczę.

— Jesteś innego zdania?

— No wiesz... Jeden rozładowuje stressy skacząc z jedenastego piętra, drugi inaczej... Skonsultuj to z Arturem.

— Ach, daj spokój. Zobacz jakie podłe, egoistyczne listy pisze do Dominiki. — Lucka rzuca mi kilka kartek na kolana. — Psycholog kopany.

Mój najdroższy Piegusku. Dlaczego nie odpowiadasz na moje listy? Czy pamiętasz, jak chodziliśmy razem do Lunaparku? Bardzo lubiłaś jeździć na karuzeli. Czasem braliśmy z sobą Betty, pamiętasz? Raz, kiedy jechałaś tym pięknym, kolorowym westernowym pociągiem, to Betty odwiązała się od płotka i chciała za tobą wskoczyć do wagonika. Mało nie wpadła pod lokomotywę. Zawsze po „Teleranku" przychodziłaś do mnie i pytałaś, czy jedziemy na Zdrowie. A te szelmowskie oczka, aż ci błyszczały. Kiedy zgadzałem się, wrzeszczałaś na cały dom: Hurra! Hurra! biegłaś do babci, a Betty gryzła cię po bosych piętach...

— Prostak. Literat. — Lucka zaperzyła się i mało nie wjechała na krawężnik. — Chce rozbudzić w dziecku wspomnienia, nostalgię. O, czytaj jeszcze to!

A wieczorem wyświetlaliśmy filmy. Te o zającu i wilku. Najbardziej podobał się wszystkim ten film, w którym wilk na motorze goni zająca i wpada na szlaban kolejowy, a kask leci mu z głowy prosto pod koła pociągu. Zajączek spokojnie odjeżdża na rowerze...

— Kinoman. Rozczula się nad zajączkiem. Egoistycznie obciąża pamięć dziecka. W lutym 1981 r., chciałam mu dać 200 DM, bo mi dupę obrabiał, że nie płacę na dziecko. Przy świadkach, żeby potem nie zaprzeczył. Wzięłam dwójkę przyjaciół, usiadłam na wprost, wyjęłam 200 DM, położyłam na stoliku i mówię: MASZ. PRZY ŚWIADKACH. A on zsiniał, oczy mu krwią nabiegły, wepchnął mi te pieniądze do torebki i jak nie ryknie: spierdalaj! Widzisz go prostaka, a tutaj zajączek go wzrusza...

— Co mówi Dominika na te listy?

— Nic nie mówi. Nie jestem taka debilka, żeby jej pokazywać ten fałsz i egoizm. Jeszcze dzisiaj wywalę je do kosza. Niech sobie pisze do ONZ.

Universum 6500 (radio Hi-Fi Compact System, Kasetofon deck-Dolby, Adapter Magnetsystem, Wzmacniacz 200 Watt). Jak na warunki domowe moc nagłośnienia zdolna wysadzić dom w powietrze. Przyjęcie zapowiada się ciekawie. Po pokojach snują się sylwestrowe dziewczyny w różnych stylach. Sztuczna jodła z migającymi żaróweczkami, dyskotekowe światełka w rogach salonu, a z głośnikowych kolumn „Oczy Bette Davis" w wykonaniu Kim Karness.

Strzelam szklaneczkę ginu z lodem i tonikiem. Poprawiam: ale już bez lodu i toniku. Snująca się koło tarasowych drzwi smukła dziewczyna z rudym jeżem na głowie i agrafką w uchu zbliża się do mnie. Mała lady punk z dużymi cycami, chłopięcymi udami...

— Kim Karness śpiewa tak ochrypłym głosem, że ją zawsze mylę z Rod Stewartem — mówi do mnie mała lady punk i uśmiecha się czule od rudych kłaków strzyżonych na jeża do tej złotej agrafki — klipsa. Stajemy przed regałem z płytami.

BONEY M. BLONDIE. CHICAGO. ELECTRIC LIGHT ORCHESTRA. JOSE FELICIANO. ELLA FITZGERALD. DONNA SUMMER. ROBERTA FLACK. ERUPTION. KANSAS. KISS. NAZARETH. LUIS ARMSTRONG. FLEETWOOD MAC. STEVIE WONDER. TANGERINE DREAM. PINK FLOYD. KENNY ROGERS. REO SPEEDWAGON. BOB MARLEY...

I wprost nie wierzę własnym oczom. Między floydami leży płyta z czarno-białą okładką. Przemówienie — Norymberga 1938. Gorączkowo łapię płytę, a z okładki patrzy na mnie Adolf Hitler. Führer skrzyżował dłonie w okolicy genitaliów. Buty z cholewami błyszczą jak lustro. Jeden naród. Jedno państwo. Jeden wódz. Totalne zwycięstwo. Totalna zagłada. Obok Hitlera wielki pies Blondie. Mąż stanu nie może sobie pozwolić, by fotografowano go z małym psem. Niemiecki owczarek, to jedyny pies godny prawdziwego mężczyzny.

Za Adolfem stoi Heinrich Himmler — na wpół belfer, na wpół dziwaczny błazen (określenie Speera). Wielki Inkwizytor: pilność, fanatyzm, bezwzględność. Ożenił się z Margą Concerzową, starszą od niego o siedem lat pielęgniarką z Bydgoszczy.

Czerni się sylwetka Rudolfa Hessa. Następca wodza. Chory, niezdolny do powzięcia decyzji (ocena Rosenberga). Kiedy 10 maja 1941 r. poleciał samolotem do Anglii, aby w tajemnicy przed nazistowską mafią załatwić pokój z Anglią — Führer obiecał mu po powrocie dom wariatów lub rozstrzelanie.

Obok Hermann Göring — wierny paladyn, sybaryta, drugi po wodzu od maja 1941 r. Na samym końcu stoi oddany giermek: Joseph Goebbels.

Wszyscy stoją i trzymają skrzyżowane ręce na kutasach. Taka moda. Przed nimi falujące mrowie. To rozentuzjazmowani reprezentanci rasy panów, członkowie Wielkogermańskiej Rzeszy.

— Muszę mieć tę płytę — wyjaśniam rudej lady punk — gotów jestem ją podwędzić.

Wprawdzie sklepy są zapchane różnymi tego rodzaju „pamiątkami" ze snów o potędze i bolesnym przebudzeniu, lecz przecież to jest Norymberga-38. Ostatni rok pokoju na świecie.

NRD-owscy nie przepuszczą — uspokaja mnie lady punk, — możesz mieć problemy. Oni nie czują bluesa.

Lucka na sylwestra nie przyszła, chociaż to jej znajomym jest właściciel tego mieszkania. Lucka ma silną migrenę. Okazało się, że bez jej wiedzy tuż przed świętami mała Dominika napisała (i wysłała) długi list do Artura. Po niemiecku.

Strzelam dwa szybkie koniaki. Lady (ma na imię Gloria) otwiera szeroko bławatne aryjskie oczy. Ona wie, że koniaku się tak nie pije.

Czas burzy i naporu. Przysuwam się do niej i mówię: Szczęśliwego Nowego Roku.

Zaczynam czuć bluesa...